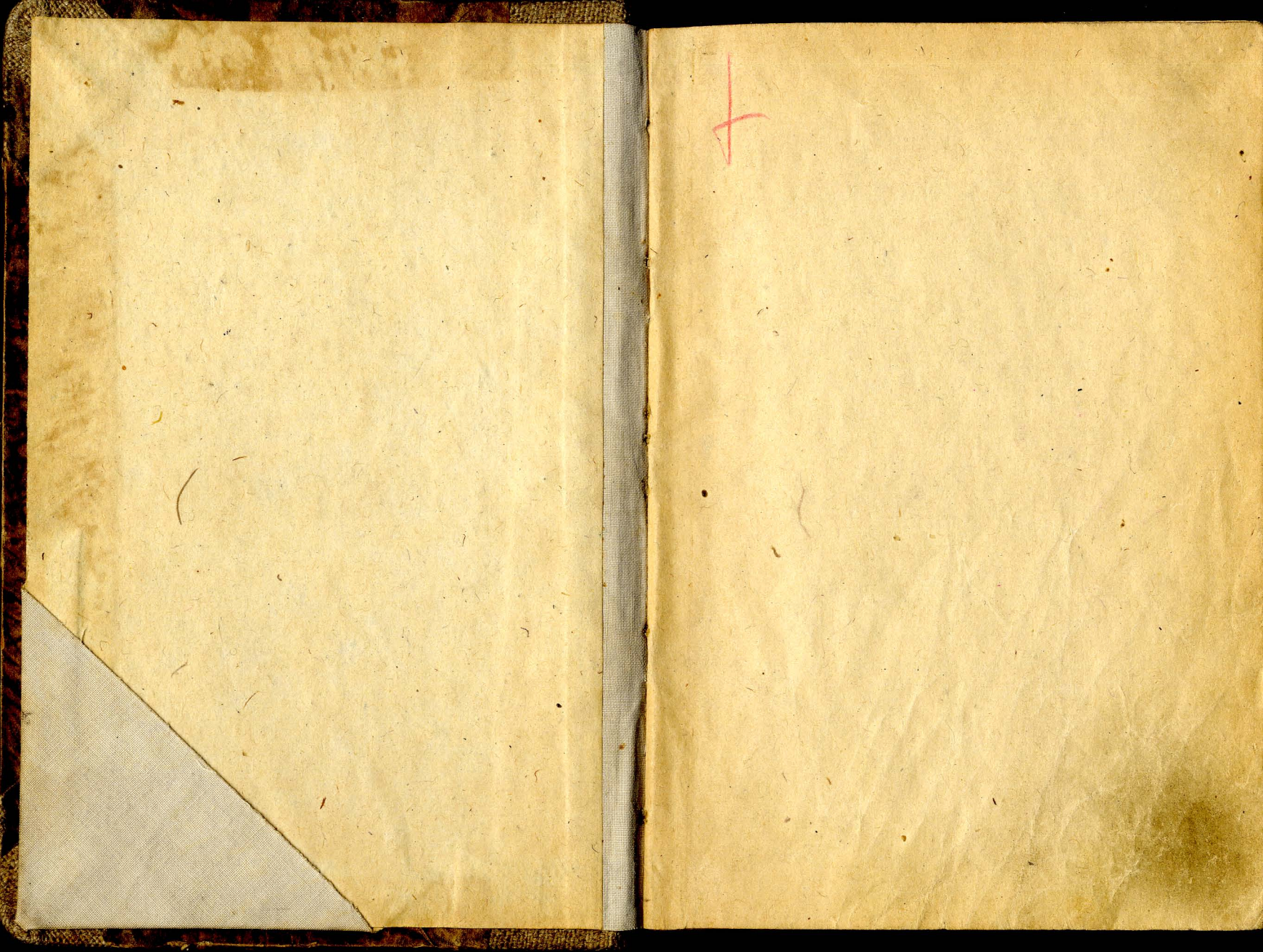






W. Buchanan

TANIE
ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI
ELIZY ORZESZKOWÉJ.

Tom XXXIX.
DROBIAZGI.

WARSZAWA.
WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.
Nowy-Swiat Nr. 41.
1888.

5132
ELIZA ORZESZKOWA.

DROBIAZGI.

Z POŻOGI.
ZA DOLINĄ RÓŻ.
ECHO.
SEN ABARYSA.
POKOCIŁO SIĘ I DAM NOGĘ.

WARSZAWA.
WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.
Nowy-Swiat Nr. 41.
1888.



821162,1-3112

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Марта 1888 г.



X P O Ż O G I.

(WSPOMNIENIA).

I.

Dom Batorego.

Miałam lat siedm, a siostra moja Klemunia, zaczynała rok dziesiąty. Czytywałyśmy już wiele. W domu naszym istniała tradycja czytania i pisanie po macierzystym dziadku, który był jednym z tych, co spisywali ogromne i często ciekawe *Silva rerum* i po ojcu naszym, uczonym prawniku, a niegdyś prezesie jednej z tutejszych łóz wolnomularskich. Księgozbiór ojca napelniał dwie wielkie i ciężkie szafy; szafka lekka, nieduża, ze zbiorem lekkiej i nowój literatury, zdobiła pokój naszej matki. Pozwalano nam brać książki ztąd i zowąd, czytać, ile i co się nam podobało. Myśla i wyobrażnia wcześniej zaczęłyśmy błdzić w krainie przeszłości; umiałyśmy na pamięć pieśni Niemcewicza, żywoty wielkich ludzi czytywałyśmy razem, we dwie, skurczone w kątku jakiegoś pokoju, z rozpalonemi

czołami, co chwila w uniesieniu i zapale ściskając się za ręce. Kochaliśmy się bardzo. Klemunia miała zdolność do rysunku, rysowała więc i wycinała z papieru domy, drzewa, ludzkie i zwierzęce postacie, z których układaliśmy i ustawialiśmy sobie różne historyczne miejsca i sceny, jako to: pałace i dwory królów, hetmanów, wojewodów, wjazdy poselstw do zagranicznych miast, orszaki ślubne i t. p. Raz, w ten sposób, upostaciowaliśmy przed sobą na stole, czy kobiercu, orszak weselny Zygmunta-Augusta i Barbary Zapolskiej; innym razem było to rozstanie się Jadwigi z Wilhelmem, to znowu rozmowa Goworka z Leszkiem Białym. Razu jednego takeśmy sobie nabiły głowę historią Karola Chodkiewicza, że o szarą godzinie odegraliśmy we dwie scenę jego śmierci. Ja, czyjaś łaskę ze sporym nagłówkiem w ręku trzymając, leżałam na sofie i cichym przyrywanym głosem deklamując odpowiednie strofy Niemcewicza, tę hetmańską buławę oddawałam siostrze, która na tę chwilę była Lubomirskim. Gdy już umarłam, wstałam znowu, aby na środku bawialnego pokoju zwycięzcę z pod Chocima pogrzebać. I nie tylko pogrzebaliśmy go, ale jeszcze drobnymi naszymi rękoma zaczęliśmy wznosić mu pomnik. Zaczęliśmy ściągać wszystkie poduszki z kanap, na nich ustawiać krzesła, na krzesłach składać różne szkatułki i graciki, zbierane z całego

mieszkania. Nagle, subtelna ta budowa zachwiała się w swych podstawach, jedno krzesło upadło, pociągnęło za sobą inne, graciki rozsypały się z brzękiem szkła i metalu, do pokoju wbiegły babka i nauczycielka nasza i... kazały nam stanąć w dwóch przeciwległych kątach: Klemuni za fortepianem, mnie za kanapką. Kara ta trwała minut kilka, poczem kazano nam zasiąść do lekcji... Otóż miałam lat siedm, a Klemunia zaczynała rok dziesiąty, kiedy babka nasza, wysoka i wysmukła kobieta, w czarnej sukni podobnej krojem do zakonnego habitu i w śnieżnym czepku na mleczno-siwych włosach, rzekła nam dnia pewnego: „pójdziemy na przechadzkę!“ Chowano nas bardzo miękko i niehygienicznie; na wsi biegaliśmy wiele i swobodnie, ale w mieście wywożono nas tylko na świeże powietrze; pieszo nie wychodziłyśmy prawie nigdy. Przechadzka była nam przyjemnością o tyle żywą o ile niepospolitą. Więc obok staruszki, żwało jeszcze chodzącej, dreptałyśmy śpiesznie i wesoło, gdy u końca Brygidzkiej ulicy, babka rozkazała nam stanąć i wskazując nam dużą, kilka piętrową kamienicę powiedziała, że nazywa się ona domem Batorego. Stefan Batory! oho! był to nasz dobry znajomy i zajmował nas ogromnie. Jakto? On tu był, w tym domu mieszkał? A co on tu robił? Więc tu on umarł?

Na wązkim chodniku, u stóp wspaniałego kościoła, stara kobieta w sukni do zakonnego habitu podobnej stała długą chwilę, z obu stron trzymając w swych pomarszczonych dłoniach ręce małych wnuczek, które na wyścięgi szczebiotały, zapytywały, drobnymi palcami wskazywały bramę domu, nad którą widać było jeszcze zarys wysokiego dachu dawniej królewskiej bramy i liczne okna, po których słońce, schylające się do zachodu, snuło złote sieci i zapalało szkarłatne pochodnie.

Dnia tego, o szarą godzinę, Klemunia w roli Stefana Batorego, leżąc na sofie, umierała, a ja u jej wezglowia stojąc, byłam Janem Zamoyskim i płakałam tak, jak pewnie mężny i mądry kanclerz nie płakał nigdy. Nagrobka jużśmy nie wznosiły i do kąta nam iść nie kazano. Tylko nazajutrz miałyśmy trochę kłopotu z Chapsalem i Noëlem. Klemunia nie potrafiła wyliczyć wszystkich nieforemnych słów francuzkich, a ja nie rozróżniałam dobrze końcówek *du futur simple* od końcówek *du conditionnel présent*. Pogrzeb Batorego zabrał nam wiele czasu i w głowach miałyśmy cały wysoki dom, noszący jego imię.

* * *

Było to przed tygodniem. Jakże to już dawno, dawno, dawno, odkąd babka i siostra moja spoczęły

w mogiłach! W mieście wichry i ogień szaleją, burza, niszcza, w popiół zmieniają siedliska, a w rany serca ludzkie. Powietrze, pełne gryzącego dymu, rozpacznej muzyki kościelnych dzwonów, krzyków i jęków ludzkich. Na starym obszerzym, siennym rynku, piętrzą się góry sprzętów i tłumoków, tłoczy się ciżba zlekuniona, śpiesząca, splakana, ale ognia tu nie widać jeszcze. Może nie przyjdzie, może w drodze wstrzymają siłę tę, czy tego potwora. Mówi się tu o ogniu, jak o istocie żyjącej: „czy on tu przyjdzie? czy już nadechodzi? czy go nie powstrzymają?” Jeżeli przyjdzie, trzeba będzie z temi już zdruzgotanemi dostatkami swemi uciekać przed nim dalej. — Dokąd? — Pod stopy bernardyńskiego kościoła, na obszerny podwórzec. — A jeżeli i tam dogoni? — Ha! to już chyba za Niemen, het, za wodę, w Boże pole, pod nagie niebo — nie, nie nagie, bo grubym czarnym dymem podszyte jak kirem niebo! Nagle—okrzyk, zagłuszający dźwięki dzwonów i przenikliwe tony wojskowych trąb: Przyszęd! Oto już go widzimy! Nad niskimi dachami siennego rynku strzeliła świeca ogromna, jaskrawa, wiatr miotał nią na wsze strony, wzdymała się, rosła, buchała kłębami dymu... rozległ się huk podobny do armatniego strzału, potem drugi raz zagrzmiąło przeciągle i strasznie... Mężczyzna jakiś w średnim wieku, w opaloném przez ogień ubraniu, z twarzą

zczerniała od dymu, przeskakując kufry, łomoki i obalone stołki, śpiesznie koło mnie przebiegał.

Z całej siły pochwyciłam go za ramię i, wskazując olbrzymią świecę, która już wiele innych roznieciła dokoła, zapytałam:

— Panie! co tam gore? co tam z takim łoskotem runęło?

Drżałam. Jego brwi ściągnęły się kurczowo nad oczyma, które w mój twarz utopily krótkie, ale głębokie spojrzenie.

— Dom Batorego! — odrzekł i pobiegł dalej...

Biedna, tak już dawno w grobie leżąca, siostrzmoja! na tym pogrzebie nie byliśmy już razem!

II.

Tam na błoni błyszczy kwiecie...

Byłam podówczas młodą, szczęśliwą, pełną nadziei, złudzeń i zapału. Ze wsi do miasta przyjeżdżałam czasem tylko, na krótko, ale w wolnych chwilach lubiłam zwiedzać, nie tyle ulice, ile uliczki i zakątki miejskie, które mnie pociągały mnóstwem oryginalnych, a często i malowniczych obrazków, różnorodnością swych mieszkańców, czémś nakształt nieprzeczytanéj jeszcze i zwolna odchylając się karty powszedniego życia ludzkiego. Wiedziałam, co i jak dzieje się w domach wysokich i ozdobnych; dziejów i wewnątrz ścian ciasnych i niskich nie znałam. Ciekawość wyobraźni łączyła się we mnie z serdecznym pociągiem ku głębiom, ku najtajniejszym głębiom morza społecznego.

Raz, okrążywszy miasto, po długiej przechadzce nad spadzistym i w mnóstwo szczyrb wyżłobionym

brzegiem Niemna, weszłam na ulicę, zwaną Podole. Nazwa ta, nie przynależy właściwie jednej ulicy, lecz całej części miasta, spływającej z wolna po łagodnym spadzie wzgórza, od szczytu, na którym wznosi się gotycka strzelista wieża bernardyńskie-go kościoła, aż ku ostatnim krawędzią piasków nadniemeńskich. Całe to miejsce, gdy się nań z góry spogląda, na pozór warcabnicy, ułożonych z szarych, drewnianych domów różnej wielkości i rozdzielających je, w zagony pokrajanych rozłożystymi drzewy zieleniejących ogrodów. Lecz środkiem tego miejsca, pełnego uliczek, zakątków, zawrotnych, wąskich przejść pomiędzy płotami, służących za przejścia dziedziców, biegnie ulica prosta, szeroka, długa, przyozdobiona świetnym i wysokim łukiem arkady, nad którą przebiegają pociągi kolei żelaznej. Do dziś, ulica ta zachowała postać taką, jaką miała podówczas, przed kilkunastu laty, gdy, zmęczona długą przechadzką, szłam z wolna wazintkiem jej chodnikiem, z ciekawością i mimowolnym uśmiechem sympatii przypatrując się jej niskim, schludnym domkom, a często i starym, wpółspróchniałym lecz zawsze czystym i w zieloności ogródków utopionym chatkom. Tu, w małym okienku kwitnie czerwona pelargonja lub mała miesięczna różyczka, widać, że pod niziutkim tym dachem garncarza, szewca albo murarza, żyje młodziutkie dziewczę na wydaniu. I prawda, bo oto

z nad niskiego płotu wychyliła się głowa dziewczęca, z żółtym kwiatkiem w trochę rozczochranych włosach, a błysnąwszy ku mnie rumianym buziakiem i parą błękitnych oczu, oblała się rumieńcem, zachichotała i znikła. Gdzieindziej, z-za ogrodzenia, widać jabłonie i grusze, niby mlecznym i różowym potokiem oblane powodzią kwiecica. Tam, z-za większych już nieco okien, ze ścian trochę wyższych wylatują na ulicę dźwięki stuletniego może bo-bardzo ochryplego fortepianu. Snadź, że mieszkający tu pan majster, gorliwie już i starannie edukuje swą dziatwę. Chłopcy podrostki, bosi i w krótkich spencerkach, uganiają się z krzykiem po piaszczystym środku ulicy; paru z pomiędzy nich, o furtkę w płocie oparci, z powagą o czémś rozprawiają; inny samotny jakiś, w obu dłoniach tuli gołębia o srebrnych skrzydłach i różowy dziobek jego, miłośnie do swych bladawych ust przybliża. Od widniejących pomiędzy domami brzegów Niemna, mieszczki w krótkich spodnicach i kolorowych chustach na głowach, z trudnością wspinają się po stromym wzgórzu, z wiadrami wody na ramionach. Idąc, rozprawiają głośno, wykrzyki ich są czasem ostre i klótlive, lecz wśród nich odzywa się też nieraz donośny serdeczny śmiech wesołości szczerzej i czystej. Dokola tych gospodyń i matek, uwijają się i płasają dzieci różnego wieku, w toaletach bez-

wyjątkowo wielce zaniedbanych, krzykliwe, ruchliwe, wesołe jak samo dzieciństwo. Niejedna z tych drobnych istot, potyka się o kamień albo bruzdę, wyżłobioną w twardym gruncie wzgórza, pada i naksztalt pilki stacza się pod sam brzeg wody. Nie pociąga to za sobą następstw żadnych; uczucia matek i ciała dzieci nie są tu miękkie i rozpieszczone; wszyscy tu do wszystkiego, do stromej góry i przerwy nieznoszącej pracy, do ognia, wody i bólu przywykli.

Był to piękny i wiosenny wieczór. Cisza pogody spływała na cichą ulicę; z ogrodów płynęły rzeźwość rosy i zapachy kwitnących drzew; w oknach tu i owdzie błyskały płomyki ognisk. Przeciwnym chodnikiem szedł śpiesznie znany mi trochę majster murarski. Czy nie jego to córka uczy się w tym porządnym domku grać na fortepianie? bo i on sam oto, ma na sobie wcale porządny tużurek, a na piersi mu błyska pozłacany, może i złoty łańcuch od zegarka. Uchylając czapki, pozdrowił mię uprzejmie; za nim z wielkim stukiem grubych butów postępowała, może po dzienną zapłatę idąc, gromadka czeladników, robotników w długich od szyi do stóp płóciennych fartuchach. Za przykładem przewodnika swego, uchylił też zlekka swych, wapnem ubielonych czapek.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór!

Samotne, bladawe chłopię, trochę jęklwym, miłośnym głosem przemawiało do swego gołębia. — Lulu! Lulusiu! Mieszczka z wiadrami na ramionach, przeszła mi drogę. — Dobry wieczór!

Nagle, w ciszę tę i pogodę, w te dźwięki życzliwe ziemi i ludziom, wmieszał się zdala przypływający krzyk pieśni żołnierskiej. W długim, na żółto pomalowanym gmachu wojskowych koszar, wznoszącym się wśród sąsiedniej ulicy wysoko ponad niskimi domkami Podola kilkaset głosów buchnęło w wieczorną pogodę huczną, szumną, skoczną i niesforną, hulaszczą i wojowniczą pieśnią. Z drugiego końca ulicy, z-za arkady napelniającej się cieniem, dał się słyszeć śpiew inny; piękny, czysty, basowy głos męzki, w głębi jakiegoś dziedzińca, czy ogrodu, zawiódł tam donośnie starą piosnkę:

„Za Niemen tam precz,
Ach, pocóż za Niemen?
Czy kraj tam piękniejszy,
Kwiecistsza tam błon...”

W tém miejscu, z głosem męzkim złączył się głos kobiecy, mniej od męzkiego piękny i silny: jednakże młody i czysty. We dwoje, śpiewali dalej,

Czy dziewy kraśniejsze,
Że tak śpieszysz doń?...”

Stałam u otynkowanego ogrodzenia, tuż przy domku malutkim, którego dwa okienka ziemi wprawdzie dotykały i słuchałam piosenki śpiewanej we dwoje, żalując, że jej słuchać nie mogłam tak, jak chciałam, bo z jednej strony, powietrze coraz huczniej rozbrzmiewało chóralnym śpiewem żołnierzy, z drugiej strony, w końcu ulicy, przy żółto błyskających oknach małego szynku, wszczął się hałas pijanej i zawziętej kłótni.

Ale za białym ogrodzeniem kwitły drzewa, rosa wieczorna padała na trawę, a dwoje ludzi, po chwilowej przerwie śpiewało znowu:

Tam na błoni błyszczy kwiecie,
Stoi ułan na pikiecie...

Cicho, ostrożnie, uchyliłam furtkę w ogrodzeniu i za wązkim, malutkim dziedzińcem, zobaczyłam gęsty zielony ogród. W ogrodzie, u skraju zagonów, zieleniejących się warzywem, pod wielkim starym krzakiem bzu, wpołleżał na trawie mężczyzna, wyglądający na lat trzydzieści kilka! Silny, barczysty, miał gęstą czarną czuprynę, energicznie zakreślone rysy i śniadą od ogorzenia cerę. Tylko co snadź powrócił od pracy i spożył wieczernę, bo wypróżniona po zsiadłym mleku misa, ze sterczącą w niej łyżką drewnianą, stała przy nim na ziemi. Obok niego, pochylona nieco nad zagonem, siedziała kobieta młoda jeszcze i dość ładna, z rysami

delikatnemi, a grubemi, ciemnymi rękoma, któremi wyrwała dzikie zielsko z gęstwiny marchwi i buraków. W pobliżu tych dwojga ludzi, trzyletnia dziewczynka, w grubiej koszuli, obejmowała szyję sporego, żółtego kundla.

— Żółtas na! Żółtas jedz! ciuciu! ciuciu! ciuciu! szczebiotało dziecko. Ojciec śpiewał:

A dziewczyna jak malina...

Matka syknęła zeicha, snadź pokrzywa ją ukłóła mocno w palec; jednak, z nad zagona, przeciągle zawtórował mężki bas:

Niesie koszyk róż...

Cicho, cichutko zamknęłam furtkę. Ulica była już prawie pustą. Obok mnie przechodziła kobieta pracza, jak wnosić było można po zawiniętych do łokei rękawach i węźle bielizny, dźwiganym na plecach.

— Moja pani, kto mieszka w tym domu?

Staęła, podniosła na mnie spłowiałe i zmęczone oczy, uśmiechnęła się gapiowato lecz łagodnie.

— A kto tu ma mieszkać? Wiadomo, Jan Czerniawski.

— Któż to taki, ten Jan Czerniawski?

— A kto ma być? Wiadomo murarz. Czy pani ma do niego jakiś interes?

Interes! miałam do niego jeden z najważniej-

szych interesów całego mego życia! Chciałam wiedzieć, jak żyje, co myśli i czuje człowiek, mieszkający w malutkiej chatce, której okienka dotykały niemal ziemi...

Ulica była prawie pustą i zupełnie cichą. Wyssoko nad nią, z wielkiego gmachu koszar wojskowych, szumiała i szalała huczna, hulaszczą, skocznymi i jęklivymi nuty zanosząca się pieśń żołnierzy. Z innej strony, zdaleka, szynk hałasował pijanym śmiechem i kłótnią.

Za białym ogrodzeniem, w zielonym ogrodzie, dziecko zaśmiało się srebrzyście, pies zaszczekał, zeicha zaszumiały kwitnące drzewa.

Stój, poczekaj moja duszko,
Zkąd drobniutką strzyżesz nóżką...

Matka wołała na dziecko.

— Marylko! Marylko! Marylko!...

* * *

Lata jak paciorki przesunęły się po nici, częściej czarniej, niżeli różowej! Doświadczenia i widoki życia rozwiały bez śladu moje dawne urojenia o ziemskich sielankach i rajach; więcej widziałam kałuż, niż strumieni, gliny, niż kryształu, kamieni, niż kwiatów. Są klimaty, które w sposób szczególny dusze ludzkie poddają metamorfozie i topią skrzydła Ikarów. Jakże daleko, daleko za mną

pozostał ten wieczór wiosenny, kiedym z pogodą w duszy, a upałem w sercu zwiedzała ciche Podole! I jakże niepodobnemi z sobą bywają różne momenta życia. Przyszedł moment taki, nie w wieczór, ale już w pewien ranek wiosenny, gdy z przerażliwym blaskiem i dławiącym dymem pożogi, wzbił się ku niebu z kruszących się ścian mego miasta, „krzyk trwogi i rozpacz wielu tysięcy ludzi.“ Chata moja stała w ogrodach, daleko od pierwotnego źródła pożaru; przez czas jakiś można było mniemać, że żywioł niszczący dosięgnąć jej nie zdoła. Ale już o południu, przyjaciele i życzliwi, przybiegli z wołaniem: „idzie tu! już idzie! i przyjdzie niezawodnie, ratuj, co możesz!“ Tak, szedł istotnie i niezawodnie przybyć musiał. Zielony mój dziedziniec już był szarym od dymu, w którym wily się i przelatywały złote roje iskier; stare wysokie kłony moje, wichler rwał w różne kierunki; z-za kilku sąsiednich domów, widać było chwiejącą się w powietrzu, szeroką, ognistą chorągiew... Ratować! Obejrzałam się dookoła. Chata niezbyt mała, a tak różnych różności pełna, że w żadnym kącie już-by chyba jednego gracika, na żadnym stole i w żadnej szafie żadnej książki zmieścić nie można. Wozów i koni, dnia tego za żadną cenę dostarczyć sobie niepodobna. Iluż trzeba ludzkich grzbietów, aby na sobie dźwignęły to wszystko, książki szczególniej; mnóstwo książek bardzo ciężkich a jak dro-

Miejska Biblioteka Publiczna

gich, ten tylko powieć, kto smutne swe serce orzeźwiał kiedy w pracy umysłu, kto umie kochać to, czego na cielesne swe oczy nie widzi i tych, których nie zna, a przecież tak z bliska, tak serdecznie zna... Najlepszy z przyjaciół moich przywiódł mi kilku silnych i uczciwych chłopów; brali i wynosili z domu, co mogli, ale przedmioty najcięższe... nade wszystko książki, biurka moje... Powiodłam po nich okiem. Żegnajcie, żegnajcie! po was, zarówno jak i po tych ścianach, wśród których tyle, tyle przeżyłam: za pół godziny pozostanie garść popiołu.

W tém, drzwi szklane, które co chwila roztwierane na oścież i przez szalony wieher zamykane z trzaskiem i przeraźliwym dźwiękiem rozbijanych szyb, rozwarły się znowu, przed wchodzącą gromadą ludzi. Było ich dziesięciu, wysokich, silnych, z podniesionymi głowami i ramionami, już wyciągającymi się do pracy; na czele ich szedł człowiek barczysty, z twarzą śmiałą i energiczną, z kruczą, gęstą, a na-pół już osiwiałą czupryną, z płomieniem zapалу w oczach.

- Kto panowie jesteście?
- Murarze z Podola.
- Kto was tu przyprowadził?
- Jan Czerniawski.

Jakże się zmienił! I po nim snadź życie to nie splywało, jak po kamieniu woda. Osiwiał, plecy miał od dźwiganych cegieł przygarbione nieco, na

śniadém czole tyle zmarszczek, ile zapewne, przez lat kilkanaście, od owego dawnego wiosennego wieczora przeniósł smutków i trosk.

— Nie to! Héj, chłopcy! Na plecy wory te i węzły! Do téj szafy dwóch wystarczy! ten stół, sam jeden, kochanku, podźwignąć musisz! Żwawo! Ostrożnie! Na sienny rynek! tam jeszcze ognia niéma! Wracać prędko, galopem, a jednego do pilnowania zostawiać! Ej, żwawo! żwawo! nie jeden tylko ten dom w nieszczęściu!

I widać było, że nie w jednym już domu czynili to co tutaj; widać to było z osmalonych przez ogień ich ubrań i strumieni potu, lejących się po twarzach czarnych od dymu. Jeden mniej silny, czy więcej zmęczony, mocował się z ciężkim worem, chcąc go sobie na plecy zarzucić i nie podławszy zadaniu zaklął i ciężar na ziemię opuścił. Lecz wódz przyskoczył.

— Wstyd! młody a niedołęga! — Pochwycił kilkopudrowe brzemie i w mgnieniu oka obarczył niém swe plecy. Niemłody, nie był tak silnym, jakim się chciał okazać, bo mimowolne stęknienie wydobyło się z jego piersi, krwisty rumieniec tryśnął na czoło, górna część ciała przygięła się prawie do ziemi. Nie to, zgarbiony strasznie, biegł, nie szedł ze swym ciężarem, zdyszana piersią wołając gromko. — Za mną, chłopcy! Żwawo! Galopem!

Na dziedziniec wpadł chłopak [rozczochrany; splakany, krzyczący.

— Ratujcie ludzi! tu tyłu jest ludzi! Pali się u Mikołajowej, wszystko spali się... Stara z dziewczyną nie nie udźwignie...

Czerniawski stanął jak wryty i ręce załamał.

— Oj, biednaż kobieta, biedna!

Biedną była istotnie ta wzywająca ratunku Mikołajowa: wdowa po kucharzu, restauratorka na małą skalę; całe ję bogactwo; rądle kotły i wory z zapasami surowej żywności, same rzeczy ciężkie. Namysłał się kilka sekund.

— Héj chłopcy, sześciu za mną do Mikołajowej! Czterech niech tu zostanie, tu już potrzeba mniejsza... rybacy przyszli!

Istotnie, przyszli do mnie także rybacy, szewcy i dorożkarze lub ich synowie. Czerniawski z częścią swoich tam pobiegł, gdzie jeszcze nie było nikogo.

Przez cały ten dzień piekielny, w kłębach dymu, upale ognia i chmurach kurzawy, widywałam go często tu i tam noszącego ogromne ciężary, wdzierającego się na płonące już strychy, odganiającego złodziei od stosów rozrzuconych i połamanych rupieci, a w powietrzu huczącym szalonymi rozpędami wichru, ludzkimi wrzaskami wojskowymi sygnałami i kościelnymi dzwonami, do ucha mego

przedzierał się głos ze zdyszaną wychodzący piersi, lecz rażny i rozkazujący.

— Héj, chłopcy, za mną, żwawo! galopem!

Z pod czoła zmiętego w tysiąc zmarszczek i siwiejącej czupryny, oczy jego świeciły płomieniem zapалу.

* * *

Nazajutrz, po tym dniu boleści i zagłady, o dość wczesnej rannej godzinie, powiedziano mi, że z murazem Czerniawskiem stała się rzecz straszna. Posłałam tam natychmiast mego lekarza. W godzinę potem, z dłońmi przyciśniętymi do czoła, słuchałam o czterech złamanych żebrach i nadwyrężeniu płuc tak silnym, że w tym wieku... kto wie... czy uleczalnym? Do czwartej godziny w nocy paliło się miasto. Około trzeciej nie miał już komu ratować mienia; zacheiało mu się gasić ogień. Prosta historia: wdrapał się kędyś, na jakąś znaczną wysokość, stracił równowagę i, upadając, piersią i boki uderzył o jakiś twardy i kanciasty przedmiot.

Przed wieczorem, wchodziłam na mały, wązki dziedziniec domku, którego okna prawie dotykają ziemi — i widziałam ten sam zielony ogródek, na którym przed laty ukradkiem patrzyłam. W pamięci mi zaśpiewało:

Tam na błoni błyszczy kwiecie,
Stoi ułan na pikiecie...

Na spotkanie moje wyszła kobieta z rysami delikatnymi, lecz strasznie zwiędłymi od pracy i choroby, wysoka, chuda, zaledwie mogąca utrzymać się na nogach. Łzy rzęsiste ciekły ze spłowiałych jej oczu, na wklęsłe i żółte policzki...

A dziewczyna jak malina
Niesie koszyk różl...

Na zewnętrzną ścianę domku kilka klatek, w których świergocą szezzygły i gile. To czter-nastoletni Kazio, drugie ich po Marylee dziecko, ze sztuką wielką umie łowić te ptaki i tak je lubi, że ot, wprost, przepada za nimi! Chłopak żywy jak iskra z rumianą twarzą i lnianymi włosy, wybiega za matką z domku, ale zmieszany widokiem osoby obcej, chowa się wnet do jego wnętrza. Pies kundel już nie żółty, jak przed laty, ale biały w czarne plamy, szczeka na mnie trochę. Dwie małe dziewczynki wybiegają w celu poskromienia jego wojowniczych zapalów. Jedna, słusniejsza, jak brat rumiana i żwawa, druga z twarzyczą i ruchami, przypominającemi więdnący w paku kwiat. Ale po chwili, cała rodzina, wraz ze mną i kundlem, Żuczkiem, otacza łoże chorego, ubogie łożo, w izbie ubogiej i nieobszerniej, której połowę za-

pełniają gospodarskie naczynia i murarskie narzędzia, a drugą połowę wielki piec z rozwiewnym niewielkim ogniem.

Gdy, stając u jego wezglowia, pozdrowilem go z cicha i prawie nieśmiało, oczy jego, głęboko wklęsłe, wśród białej jak chusta twarzy, utkwily we mnie długie spójrzenie. Poruszył ustami i tonem zapytania przemówił:

— Cóż tam... dzieje się... z tymi biednymi ludźmi?

Ale żona, kobieta, matka czworga dzieci, nie o ludziach w tej chwili myślała. Wybuchnęła pytaniem, co stanie się teraz z jej rodziną. Ona chorą jest i ledwie trzyma się na nogach; jedyna dorosła córka, wszystko za nią robić musi w chacie, chłopiec nie nie zarobi jeszcze, a te maleństwa... Wszyscy żyli z pracy ojca, tylko z jego pracy... a teraz... doktor powiada wprawdzie, że żyć on będzie, ale o pracowaniu niechaj ani myśli przez cały ten rok, a może i dłużej... a może i na zawsze! Czy poumierają z głodu? Sześć osób... Nie wyrzucała mężowi nic, o nie! robił to, co uczciwy człowiek robić był powinien, tylko spracowane swe, wychudłe dłonie załamywała tak, że aż w stawach trzeszczały, a w splakanych jej oczach małowaly się trwoga i żal bez granic. Marylka, wysmukła i zgrabna dziewczyna, z drewnianą łyżką w ręku stała przed ogniem nieruchoma, jak

posąg; Kazio, z szarym kotem w objęciu, tulił się do najciemniejszego kąta, dwie małe dziewczynki, przysiadłszy na ziemi, szlochały zeicha, matczynym fartuchem ocierając oczy.

Stałam naprzeciw chorego i kiedym się weń wpatrywała, cała dusza moja zbiegła mi do oczu. Słuchał skarg żony i szlochania dzieci, w milczeniu. Na pomarszczone, rozstrojone jego czoło spadła głęboka zaduma, blade usta pod bujnym wąsem drgnęły, zapadłe oczy napełniły się smutkiem cichym, ale bezdennym. Milczał. Wspomnienia moje śpiewały:

Stój poczekaj moja duszko
Gdzie drobniutką strzyżesz nóżka...

Kobieta pochyliła się i troskliwie, ostrożnie podniosła w górę, usuwającą mu się z pod głowy poduszkę. Kilka jój łez kroplistych spadło w siwiejącą gęstwinę jego włosów...

Jam z téj chatki, rwałam kwiatki
I powracam już...

Nakoniec, spojrzenie jego zwróciło się na twarz żony, a usta zarysowały żartobliwy prawie uśmiech. Pocieszająco, pieszczotliwie przesunął dłoń po jój rękę i zeicha przemówił:

„Z rana ci wianek uplotę
Na obiad dam szmer strumyka,
Na wieczere... śpiew słowika...”

Straszne, chorą pierś rozedrzeć zda się mogące westchnienie, przerwało mu żartobliwą mowę. Zaniósł się kaszlem. Ból wyrwał mu z piersi parę mimowolnych jęków. Po kilku jednak minutach rzekł znowu do żony: — Chciałem cię trochę rozśmieszyć, bo tak desperujesz... A potem zwracając się do mnie:

— Co tam dzieje się z tymi biednymi ludźmi?
O, nieznany i maluczki! iluż wielkich tego świata pozazdrościć-by mogło wielkości twój duszy!...

III.

Wazon aurykli.

Znowu wracam do ciebie czarnooka i blada twarzyczko siostry mojej. Zgasłaś wczesnie, a teraz, gdy po cmentarzu miejsc znikłych chodzę i słucham szeptu wspomnień dalekich, dalekich, nie mam dokoła go powiedzieć: pamiętasz?

Pamiętam, że było to w dzień Nowego Roku. Byłyśmy bardzo wesole, bo ubrano nas w nowe sukienki różowe, i przeciw zwyczajowi od zwiercia dla nie odpędzano, gdyśmy przed nim przez dobry kwadrans wykręcały się i skakały jak frygi. Nie wiele po południu, wraz z matką naszą siedziałyśmy przy śniadaniu, gdy nagle widelce z rąk nam wypadły, okrzyki zachwycenia z ust się wyrwały i... zerwałyśmy się z krzeseł naszych, biegnąc ku drzwiom, naksztalt ptaków lecących ku słońcu. We drzwiach stanął nasz ojczym i, śmiejąc się, wzniósł

niewiele w górę sporą wielkości cukrowy wazon aurykli. Wazon był z czekolady, kwiaty i liście z zabarwionego cukru, ale tak kunsztownie wykonane, że wtedy przynajmniej przysiadz mogłybyśmy na naszą najpiękniejszą lalkę, albo najulubieńszą książkę, że były to aurykle prawdziwe, żywe, tylko co rozkwitłe. Ojczym nasz, to śliczne cacko postawił na stole, mówiąc: — Dla was dzieci na gwiazdkę!

Jakto, aurykle te do nas należać miały! Nasza to więc własność! O, radości! Do śniadania niktby nas już napędzić nie zdołał, lecz nikt i nie napędzał. Babka nasza wróciła z kościoła, przyszło paru przyjaciół domu i wszyscy bawili się radością naszą. Z rąk do rąk podawałyśmy sobie śliczny wazonik, wachałyśmy kwiaty cukrowe, szukałyśmy miejsca, na którym, według naszego zdania, wyglądać-by mogły najświetniej. Koniecznie starałyśmy się o to, aby każdemu wchodzącemu do mieszkania, aurykle nasze odrazu rzucały się w oczy. W tym celu pomieściłyśmy je na stole, stojącym przed kanapą, z którego to miejsca sromotnie zdjąć nam je rozkazano. Dziwiłyśmy się bardzo gustowi starszych, którzy cukrowych kwiatów na najwidoczniejszym miejscu bawialnego pokoju nie tolerowali, ale posłuszne i nieco obrażone, zaniósłszy je do swojej sypialni i postawiły na oknie, tuż przed stołem, przy którym odbywały się lekcye. Przepadając za

czekoladą, doświadczyłam wprawdzie parę razy żywój pokusy ugryzienia malutkiego choćby kawaleczka z ładnie wyźębionego brzegu wazonika, ale wnet myśl tę odrzuciłam daleko, jako zawstydzającą, niemal świętokradzką. Klemunia, o trzy lata prawie ode mnie starsza, stawiając wazonik na oknie, rzekła:

— Jutro, kiedy przy lekeyi przyjdzie do tój obrzydliwój śyntaxy, będę sobie patrzała na te lilio-we kwiatki!

Wciagu tego dnia wesołego usłyszaliśmy matkę naszą, zapytującą męża:

— Gdzie dostałeś taki ładny, cukrowy wazonik?

Ojczym nasz odpowiedział:

— U Kantlera.

Oddawna już to nazwisko nie było nam całkiem nieznanne. Wyczytywałyśmy je już nieraz na papierowych woreczkach i pudełkach, w których krewni i przyjaciele domu przynosili nam cukierki; widziałyśmy je także na szyldzie cukierni, znajdując się pod balkonem starój i wysokiój kamienicy, pod balkonem także bardzo zajmującym, bo podtrzymywanym przez dwie z kamienia wyrzeźbione syreny. Te syreny, jak wiadomo, wpół kobiety a wpół ryby, górną część ciała miały pomalowaną na różowo, a dolną na zielono. Na zgiętych ich ramionach wspierał się balkon z żelaznem ogrodzeniem, a pod

balkonem, wystawą z żywych i cukrowych kwiatów, z ciast i cukierków, jaśniała cukiernia Kantlera. Wiedziałyśmy więc już nieco i wprzód o miejscu i człowieku, ale od czasu wazonika aurykli, miejsce i człowiek przybrały dla nas znaczenie pełne uroku, zaciekawiające, pociągające, prawie tajemnicze. O tém miejscu roiliśmy sobie dziwne dziwy, wyobrażając sobie, że jest pełnem najpiękniejszych wazonów z najpiękniejszymi kwiatami— i może jeszcze takich fontan cukrowych, jak te któreśmy parę razy oglądały z zachwyceniem, na wielkanocnych babach. Tylko że te fontanny pewnie daleko wyższe, wyższe, aż pod sufit może wysokie. Dla twórcy naszego wazonika i tych innych cudownych rzeczy wyimaginowanych; czułyśmy żywą sympatyą, a jeszcze większą ochotę zobaczenia go kiedykolwiek. Jak on może wyglądać ten cukiernik? W ogólności, ludzi tego gatunku, do jakiego należą cukiernicy, widywałyśmy niewiele, i to zwiększało naszą ciekawość. I jeszcze owe syreny! Pójść pod ów balkon, przypatrzeć się tym syrenom, i choć raz wejść do cukierni Kantlera, stało się na pewien czas naszym marzeniem. Raz w czasie przejażdżki, zrobiliśmy nieśmiałą propozycyą, czy nie można-by spełnić tych naszych chęci, ale towarzysząca nam starsza osoba odpowiedziała przecząco, dodając, że kobietom nie wypada wchodzić do cukierni. Dwie małe kobietki, wożone szybko od

syren i Kantlera zasmuciły się tém trochę, i potem już, wiedząc dobrze, czego się trzymać mają, nie kobiet, ale mężczyzn bliżej znajomych zapytywały nieraz:

— Czy pan był kiedy u Kantlera?

Zresztą, wszystko to długo nie trwało. Przybyły nowe zabawki i nowe dla wyobraźni dziecięcych przedmioty zajęcia. Ale, przez czas jakiś, wazonik aurykli był pociechą naszą w niejednym trudnym przejściu życia. Kiedy Klemunią syntakxa francuzka, a mnie kojogacye uemieckie — dwa przedmioty jednostajnie nas dławiące, bardzo już zmęczyły, podnosiłyśmy oczy na nasze liliowe kwiatki, i uśmiech prostował skurezone przez nudę linie naszych ust.

* * *

Przyszłał czas, z którym opinia prowincjonalnego miasta, po długich wahaniach się i zwłokach, uznała jednak tę wszechświatową prawdę, że do cukierni kobietom wchodzić wypada. Z innej strony, dla mnie także przyszedł czas nieoglądania się na wszystkie opinie prowincjonalnego miasta. Wtedy poznałam Kantlera i ten jego przybytek, z którego na moje dziecięce lata były strumienie uciech. Był to przybytek taki, do jakiego najsurowszj nawet z westalek rzymskich wejść-by wypadało. Gospo-

darz jego wyglądał wcale inaczej, niżejmy to sobie w dziecięcych naszych rojeniach wyobrażały. Ojciec jego przybył tu niegdyś z Czech i ztąd brzmienie takie tego nazwiska; ale on sam urodził się w tém mieście, a firma jego, w czasie gdy z nią zabrała znajomość osobistą, liczyła lat czterdzieści. Sześćdziesiąt kilka lat życia i czterdzieści pracy, gęstą siwizną przysypały włosy, i w grube fałdy wygięły czoło tego twórcy cukrowych arcydzieł. Wysoki, gruby, ciężki, twarz miał głęboko śniadą, oczy nieco posępne, i łagodny, dobroduszny uśmiech pod siwiejącym ogromnym wazem. Chodził powoli, ciężko i mówił zazwyczaj mało, rozgadując się tylko z tymi, którzy posiadali szczególne jego względy. Pomimo téj pozornej ociężałości i małomówności gospodarza tego miejsca, wrzał w niem wielki ruch gospodarskiej i przemysłowej pracy. Gospodyni, dużo od męża swego młodsza a jakby umyślnie dla kontrastu z nim dobrana, bo o tyle cienka, ruchliwa i gadatliwa, o ile on był grubym, ciężkim i milejącym, krzątała się nieustannie po cukierni i tuż za nią znajdującem się swém mieszkaniu, sprząając, czyszcząc, rozmawiając, opowiadając, zabierając z gośćmi blizką i nieraz serdeczną znajomość. Obecj służby tam nie było, bo trzej synowie gospodarstwa, pacholęta wysmukłe i z rumianemi twarzami, dopomagali rodzicom w cukierni i w kuchni, z której wciąż pod przewodnictwem gospodyni przynoszono

najrozmaitsze i z wielkiem staraniem wykonywane wyroby. Gospodarz stał za bufetem i milczącemi gośćmi albo krótkiemi słowy dyrygował wszystkiem. Była cała jedna kategoria gości, której nie lubił, i gdy nikogo więcej prócz jęj okazów nie było, zasiadał za bufetem, plecami prawie ku nim zwrócony i zagłębiał się cały w czytaniu gazety. Ale gdy przychodzili tacy, dla których miał sympatyę, wstawał, z lekka na powitanie skłaniał swą dużą, ciężką głowę i uśmiech pełen dziwnej dobroci rozjaśniał tę twarz wielką, śniadą, pomarszczoną i posępną. Duch najczystszy patryarchalizmu panował w tym zakładzie, obsługiwanym przez ojca, matkę i trzech synów, strzeżonym pilnie od wszelkiej reklamy i wszystkiego tego... dla czego-by kobietom wchodzić doń nie wypadało. W pierwszym pokoju pito kawę i czekoladę, w drugim grano w bilard, a ztamtąd już, przez drzwi osłonięte firanką, która-by mogła być umieszczoną w gabinecie starożytności grodzieńskich, dochodziły wszystkie gospodarskie rozmowy i gwary, dźwięki gam, wygrywanych na starym fortepianie przez małą córkę domu, a gdy urodził się syn jeszcze jeden, to płacziwe krzyki tego niemowlęcia, na którego wspomnienie ojciec czynił ręką gości niedbały, a posępne swe oczy rozjaśniał na chwilę rodzajem tryumfującej radości; matka zaś z uśmiechem szczęścia na chudej i delikatnej twarzy mawiała: — „Ot jeszcze państwo zajmują się tym

malcem! Kłopot z nim tylko i nie więcej!” — Widać jednak było wyraźnie, że przyjście na świat tego Benjaminka wesoły promień rzuciło w nadeszły już wieczór ich życia.

Wszystko to było wielce patryarchalnem, enotliwem, wzorowem, ale trwać długo nie mogło. Zmieniają się czasy, obyczaje i potrzeby ludzkie. W mieście powstały dwie cukiernie, które daleko zręczniejsze od tęj, umiały zgromadzać i wabić prowincjonalną publiczność. Powstały inowacje różne, jako to: pokoiki osobne dla gry kartowej, estrady, na których ukazywały się i popisywały sprowadzane z różnych stron szansonistki i t. d. Kantlera starzy znajomi jego zapytywali, dla czego choć w części nie stosuje się do nowych wymagań publiczności, ale on zadowolony był i z tym mianowicie kierunkiem ducha czasu pogodzić się nie mógł. Zapytywany, z groźnym marsem na wielkiem swem czole i posępniejszym niż kiedy wejrzeniem, odpowiadał:

— Ja do tego, panie dobrodzieju, niezdolny, bo to jest z przeproszeniem, paskudztwo!

Żona z żywości charakteru aż spluwała, słysząc o tém wszystkiem i, machając swemi chudemi rękoma, wołała:

— Żebym ja na to w swoim domu pozwoliła... a niedoczekanie ich!

Uwzięli się, i nietylko, że nie urządzili pokoiów

i estrady, ale jeszcze zdjęli z bufetu swego wódk i likiery. Kiedy wchodzący gość, mianowicie z kategorii nie lubianych, żądał wódki albo likieru, gospodarz, odrywając wzrok od gazety, grubym swym głosem odpowiadał krótko:

— Niema wódki. Tu nie szynk, ale cukiernia...

Przed znajomymi i lubianymi, tłómaczył się nieco obszerniej.

— Dawniej—powiadał—można było, czemu-by niemożna? Ale teraz—nie; cukierków nie jedzą, czekolady nie piją, tylko im wódki dawaj! A inny, panie dobrodzieju, to spije się jeszcze i legnie tu na kanapie, z przeproszeniem, jak świnia!

Widocznie, zepsucie czasu ciążyło mu na sercu i w niczem dopomagać mu nie chciał. Ale to zacofanie zakładowi na dobre nie wychodziło. Mijały czasem długie godziny, w których cukiernia była zupełnie pustą; paru starych emerytów flegmatycznie popychało kule bilardowe, ten i ów zaszedł i coś kupił; więcej nic. Cisza i dochodzące z mieszkania gospodarzy głosy rodzinnego życia. Zaczynający dorastać chłopcy nie już prawie do roboty nie mieli; właściciel zakładu ze stoickim spokojem, po dniach całych za bufetem siedząc czytywał gazety, żona jego wyrzekała, że niema nad czém pracować, i że, gdyby tak... co innego obmyśleć. Obmyślili. Raz, kiedym z paru przyjaciół zaszła nie do cukierni, ale do prywatnego ich mieszkania, obwieścili

nam oboje, że zwijają swój zakład, a za kapitałik uzbierany w ciągu kilkudziesięcioletniej pracy, kupują dwa domy. Kapitałik ten niezupełnie im wystarczał, trochę więc groszy dopożyczyli i kupują te dwa domy, co to państwo wiedzą, na Piaskowej ulicy, z weneckimi oknami i dużym ogrodem. Najstarszego syna wysyłają na naukę do piwowara, dwaj młodsi terminować będą w największej z miejskich piekarni; ten oto Beniaminek najmłodszy zostanie przy nich, bo córka w przeszłym już roku, dzięki Bogu, za mąż wyszła. Z pomocą krewnego swego ogrodnika, urządzią ogród swój w ten sposób, że im jakieś dochody przynosić będzie. Nad dochodem pracować jeszcze mogą. Dochodami z dwóch domów prędko dług zaciągnięty spłaca. Odpoczną sobie. Swobodnie odetchną pod własnym dachem, na własnym kęsie gruntu, który po ich śmierci przyda się synom, i, o jak jeszcze! przyda się pewnie, szczególnież temu małemu Beniaminkowi, który teraz ma lat siedm, a którego ojciec najpewniej już dorosłym nie zobaczy. Siedmdziesiątkę już przeszedł, matka pięćdziesiąt lat liczy sobie za ledwie, ale te lata w ciężkiej pracy spędziła... Kto wie tedy, ile jeszcze wieku zostało. Ale ostatki życia spędzą sobie wygodnie i błogo, umrą spokojni o byt i wychowanie najmłodszego dziecka...

Cieszyli się tak, że chuda twarz kobiety oblała się prawie gorączkowym rumieńcem, a posępne

zwykle żrenice starca, z pod opadających na powieki gęstych brwi siwych, jaśniały, zda się, odrodzoną młodością. Na krzesłach i stołkach leżały, do przenosin przygotowane, stosy świeżo upranéj, rozmarynem i miętą pachnącéj bielizny; na oknie, czystym szafirem barwił się bukiet bławatków; chłopcy, w białych fartuchach zwijali się około pakowania odzieży i sprzętów. Przenosiny! przenosiny z eukierni staruszki do własnych, nowych, zielonych ogrodem otoczonych domów! Stary, gruby, ciężki człowiek, w szarym surducie i ze śniadą twarzą, promieniejącą w téj chwili szczęściem, na tacy podawał nam lody. Nie prosiliśmy o nie. Sam po raz ostatni chciał uczestnować gości, należących do kategorii lubianych. Nie stąpił tak ciężko jak zwykle, owszem, przystąpił do nas prawie z podskokiem, i dziwnie giętkim, niemal fertycznym był ukłon grubéj jego postaci, gdy z najdobroduszniejszym ze swych uśmiechów, rzekł do nas: — Niech państwo będą łaskawi jeszcze raz pokosztować moich lodów... a może kiedy będę miał honor... może kiedy będę miał przyjemność... no, może tam kiedy przyjdziecie zobaczyć moje domki...

Znałam was dobrze domki, stojące u brzegu ciechęj Piaskowéj ulicy! Ładnie spoglądałyście na świat swemi dużemi weneckimi oknami, i ładny, duży zielony ogród otaczał ściany wasze nie rozległe, lecz nowe jeszcze, jędrne i proste! Mijałam

was nieraz w dniach szczęścia i smutku, z radością w duszy, lub z raną piekącą w sercu, a zawsze uśmiechałyście się do mnie wiejącą od was świeżością i ciszą!

* * *

Po tym okropnym dniu grozy i nieszczęścia, gdzie się podziła rodzina Kantlerów? Rozsypka była ogólną; przez dni kilka ludzie szukali się wzajemnie, błądząc po zgłiszczach, koszarach, piwnicach, na pustyni wśród tłumu wołając swoich. Na koniec powiedziano mi, że rodzina, o którą się dopytuję, mieszka w swoim domu. Jakże to być mogło? Ulica Piaskowa spłonęła przecież od końca do końca. Jednak, było to prawdą; mieszkali w piwnicy swego domu. O szaréj godzinie, znalazłam ich siedzących na gruzach; ja, ze splecionemi dokoła kolan rękoma, spoglądająca na spalony ogród; jego, plecami opartym o piec sterczący z pokruszonych cegieł, z najmłodszym synem u boku. Spostrzegłszy mnie, ruchliwa zawsze kobiecina zerwała się z ziemi i, chwyciwszy moją rękę, powiodła mnie do ogrodu. Widać, że ogród ten, który przed rokiem uprawiać zaczęła, stał się jéj namiętnością. Szła i biegła, stawiała jak wryta i pochylała się ku ziemi, opowiadając, pokazując. Jak strumień gorący, słowa pośpieszne, łzami dławione, lały się z ust jéj.

Te drzewa, które teraz pnie mają zezerniałe i gałęzie bez listka żadnego, były to grusze, jabłonie, śliwy. Tu miała przestrzeń, usianą sałatą i cukrowym grochem; tam rękoma własnymi zasadziła szereg malinowych krzaków; tu jeszcze rosły miesieczne poziomki, truskawki; tam był grunt, przygotowany na szparagarnię, a owdzie małe ogródek, w którym mały Juliś (Beniaminek) kopał zagonki pod własne kwiatki i warzywa. Wszystko to już jęj dawało i nadal dawać miało pieniężne korzyści. Ale ona nie tych pieniędzy tylko żałuje. Rozkrzyżowała w powietrzu ramiona. — Jużem się ja do tego kawałka ziemi, jakby do rodzzonego dziecka przywiązała. Każdą trawę tu znalazłam, do każdego krzaku w noc ciemną trafić-bym mogła... Myślałam, że tutaj wieku dokończę, a dziatki moje swoją działalność pod temi drzewami i na tej trawie kołysać będą... — Co dzieje się z ich synami? Dla czego tu nie są? Piekarnia, w której pracowali, z powierzchni ziemi zniknęła; tulają się chłopcy po zgłiszczach, bezezynni, obdarci... Czemuż obdarci? Bo wszystka odzież rodziny, i te pachnące rozmarynem stosy bielizny, i wszystko, co mieli, co przez dziesiątki lat zgromadzali, spłonęło w tym ot, ogrodzie, wraz z tym ogrodem... — Grunt wam pozostał, na którym domy stały... — A dług nasz pani? a dług? a dług ten? Zmierzchało. W zapadającym zmroku, pośród suchych szkieletów drzew, po trawach ze-

schłych i sucho pod jęj stopami trzeszczących wysoka, chuda kobieta, z twarzą o delikatnych rysach, zmięta, gorączkowym rumieńcem okryta, biegła tu i owdzie, prowadząc mię za sobą, to stając jak wryta, to schylając się ku ziemi i drżące dłonie przesuwając po trupach roślin, jakby tam jeszcze szukała czegoś, co życiem drgnąć mogło pod jęj dotknięciem...

On milczał. Gruba postać jego z wielką siwą głową, jak cień ponury odbijała się na białym tle pieca, samotnie sterczącego nad kupami gruzów i śmiecia. Ośmioletnią chłopię, zbladłe i wynędzniałe przez te dnie rozpacz, stało przy nim, tuląc się mu do ramienia i szeroko otwartymi oczyma patrząc na świat ten, pełen takich dziwów. Zbliżyłam się do starca. Spokojnym był z pozoru i zrezygnowanym.

— Cóż? — rzekł szorstkim i grubym swym głosem, — było i niema. Prochem jesteśmy.

Zapytałam, co dalej czynić zamierza. Długo milczał potem niezadowolonym, porywczym głosem odrzucił:

— A cóż tu robić? Mnie tu już bawić nie długo...

I powolnym, powolnym spojrzeniem, oczy jego zwróciły się ku bledziutkiej i jakby w niezmiernym zdziwieniu osłupiałej twarzy Julisia.

— Ot... — rzekł jeszcze, — on.. a i tamte tak-
że... no! prochem jesteście...

Z szerokiej, kościstej piersi wydobył się dźwięk
taki, jakby jedno powściągnięte zaskanie lwa.

.
Klemuniu! czy ty pamiętasz nasz śliczny wazo-
nik aurykli?

IV.

Stary jawór.

Naprzeciw domu Batorego, po prawicy wspa-
niałej Fary, stał on wysoki, prosty, w górę potę-
żnie rozgałęziony, z ziemi wyrastający pnem wę-
złowatym, omszonym, tak grubym, że dla objęcia
go dokoła, trzeba-by rozpostartych ramion kilku
ludzi. Tylko po tej grubości pnia poznać było
można wielką jego starość; bo rozłożyste zapewne
korzenie kryły się pod kamieniami bruku, a z nie-
zliczonych gałęzi, nie uschła była jeszcze ani je-
dna. Wszystkie swe gałęzie zdrowe i silne pod-
nosił on w górę, lub rozpościerał dokoła, jak wa-
chlarze, utkane z gęstwiny liści dużych, zębiastych,
a każdej wiosny tak zielonych i świeżych, jakby
to była pierwsza jego wiosna.

Jakim był jego początek? Czy sierotą i śladem
ostatnim został on na tej dziewiczej puszczy, na
której ogolonoć lonie wzniosło się to miasto?
Czy wiatry, lecące ze stron dalekich, upuściły tu

jego nasienie? Albo może płonką malutką zasadziła go dłoń człowieka, którego prochów ostatni już atom dawno utonął w odmęcie przyrody? Ile dziesiątków lat, a raczej ile stuleci on przeżył? Czy w pierwszej swojej młodości, wysmukły jeszcze i giętki, patrzył on w górę, ku napowietrznej galerii, która ów dom rozległy i ciężki, z tym oto wspaniałym kościołem łączyła? Czy widział wówczas, jak tą galerią przeciągały królewskie orszaki, i jak wysoko, wysoko nad drewnianymi dworakami i szerokimi ogrody ówczesnego miasta, na błękitnym lub chmurnym tle nieba, sunęły korowody purpur i gronostajów, delji i pancerzy, dumnych postaci i twarzy odważnych? Aby to widzieć, nie był on może dość starym. Ale najpewniej huk szwedzkich bojów, zbliżka go dochodząc, wprawiała w drżenie silne już jego ramiona; najpewniej także spoglądał on nieraz na dworskie powozy i stroje, gdy uroczystym a świetnym pochodem dążyły one od wrót świątyni do sali obrad na zamku; najpewniej jeszcze, pod cieniem jego przesuwiała się nieraz, albo w zadumie stawiała genialna twarz myśliciela, który ten gród ubogi lecz piękny, zmienić próbował w miejsce bogate i słynne, udostojnione ludzką oświatą i pracą, i dostojnością ludzką szczególnie. Tam, za nim, w pobliżu, stukwały młoty i kielnie, furkały wrzeciona i huczały krośna, grały orkiestry i rozkwitały pyszne sady Tyzenhausea...

Czy wtedy liście i ramiona jego drżały z radości i szumem swym śpiewały pieśń dumnych nadziei? Ile jutrzeńek rzucało nań pocałunki różanych i mknących swych blasków? Ile nocy jesiennych owijało go w czarne i mokre całuny? Ile razy śniegi i szrony zimowe czyniły zeń kolumnę z marmuru i alabastru, a księżycowe światło przekształcało go w fontannę, zawieszającą w powietrzu zakłęty deszcz srebrnych kropel? Ilu tych, którzy w dzieciństwie płochi i rozkosznie igrali u stóp jego, potem w jego cieniu przesuwali znękaną swą starość? Ileś ty słyszał ludzkich śmiechów i westchnień? Ileś ty widział ludzkich grzechów i łez? O stary jaworze!

Pośród otaczającej go roślinności, wyglądał na patriarchę czerstwego jeszcze i w dostojności swój wyniosłego. Wysokie topole włoskie, szeregiem stojące przed szerokim frontem Fary, miały pozór jego wnuków; co się zaś tyczy tych małych, cieniutkich topolek, któremi niezbyt dawno osadzono długi czworobok bulwaru, były to już wprost prawnuczęta, jak wszelka dziatwa, ruchliwe i szumne, bo najłżejszy powiew wiatru kołysał niemi na wsze strony, i młodziutkie ich liście w zawzięte szepty wprawiał. A pradziad bywał najczęściej poważny i nieruchomy. Ileż tam dokoła niego działo się różnych rzeczy! Tuż za nim na białym tle kamienicy, wystawy swe rozwiesiły sklepy fu-

ter i galanteryjnych wyrobów. Pierwszy, z obu swych stron porozpinał skóry wileze, niedźwiedzie, lisie; drugi, za szybami okien ponastawiał i porozwieszał mnóstwo błyszczących blaszek i szkielek, barwistych wstążek, wzorzystych koronek. U drzwi tych sklepów nieustanne gwary. Wehoda, wychoda, targują się, sprzecają, kupują, cieszą się i wyrzekają; kroki ludzkie śpieszne i tłumne dudnią po deskach chodnika. Jego potężne gałęzie cieniem swym chłodzą czoła spalone upałem i troską życia, a szczyt wysoki i nieruchomy zdaje się tonąć w rozmyślaniach o czémś, co wyższe, czystsze i pogodniejsze od ziemi i ludzi.

Z rozwartych na oścież drzwi Fary płyną uroczyste dźwięki organów, i lud tam śpiewa ogromnym, pokutnym, błagalnym chórem. U szczytu starego jaworu gałęzie, jak ramiona, wznoszą się w górę. Czy on wspomina o czémś? Czy o coś także błaga to niebo, które od wieków rozwiesza nad nim z kolei swoje błękity i chmury?

Jednak, zdarzało się czasem, że pradziad wpadał w humor wesoły i na swój sposób igrał swawolnie, wraz z igrającą u stóp jego dziatwą. Bywało to w letnie, pogodne wieczory, kiedy dzieci z całego miasta zbiegały się na zabawę dokola gładkich trawników, młodzieńskich topolek, i ładnej fontanny bulwaru. Kędyś, za zamkiem, Niemnem i franciszkańskim cmentarzem, który tam

śród piasków, jeży się gajem mogiłnych krzyży, słońce zachodziło i przysyłało tu, w sam duszny i opylony środek miasta, swoje ostatnie i najświeńsze blaski. Olśniewająca w południe białość Fary szarzała i gasła; natomiast młodzieńkie topole stawały w złocie całe, po trawnikach biegały purpurowe kółka i wężyki, a wody fontanny spadały w szeroki basen, jak roztopione brylanty. Co za rozkoszna chwila, jakie uciechy dla dziatwy, która tu wielkim, krzykliwym rojem zbiegła się z wąskich zaułków, z ciemnych dziedzińców, z ciasnych klatek mieszkań i szkół? Rzucają piłki, toczą trzeźnowe obręcze, sznurami obsiadają niskie płotki, chciwymi oczami łowiąc tańczące na trawnikach słoneczne kręte i strzeliste blaski. Na każdej ścieżce mnóstwo drobnych stópek, pod każdą topólką mnóstwo głów małych, rozczochranych, roześmianych. Ale największy tłum przy fontannie. Drobne dłonie nadstawiają pod ten deszcz brylantów, i zanurzają je w toni srebrzystej, napieniającej metalowy basen. W tém kilku chłopców z bosemi stopy, a figlarnemi, jak swawolne dzieciństwo, twarzami, wskoczyło na brzeg basenu, piersiami doń przylgnęło, i z ruchami dzielnych pływaków sunąć po nim zaczęło w kółko, w kółko, coraz prędzej. Hej, jazda po ślizkim metalu, pod ulewą kropel, przemieniającą w fontannę każdy odłam ich głowy, wśród ogłuszającego śmiechu,

radosnych skoków i namiętnego klaskania rzeszy małych widzów! Natenczas i stary jawor stawał się czasem wesołym i prawie swawolnym. Jakieś rzeźwiące i wonne powiewy przylatywały może ku szczytowi jego od pól i lasów, od szerokich kędyś przestrzeni, a zachodzące słońce na nieprzejrzaną gąszcz jego listowia, rzucało świetną smugę swój światłości. Te powiewy i ta światłość do wezbranego życia budziły roje ptaków, trochę zawsze smutnych i drzemiących w gwarze i pyle miejskim. Podstawa i środek drzewa pozostawały w swój nieruchomości, i nawet coraz bardziej pograżały się w cieniu; lecz dziwnie było patrzeć wtedy na szczyt jego, którego liście, porwane zda się tanecznym wirem, podlatywały jak płochy motyle, migotały jak wielkie iskry srebrne. A w tym roju tańczących i migocących liści, podlatywał, fruwał, różnemi barwami skrzydeł mienił się i हुआ, stał na krawędziach gałęzi rój ptaków szczebiojących, śpiewających coraz gwarniej i krzykliwiej, na wyjściu z mrowiącem się przy ziemi rojem gwarnych, krzykliwych dzieci.

Ale nierzadko przychodziły też dla niego momenta tragiczne. Zaszumiała nad miastem wielka zawieja deszczowa. Po dość obszernej przestrzeni bulwaru wichur huczał i jęczał, ściany domów i poziomki drzewa smagając falami deszczu. Wtedy, pomiędzy starym jaworem a gromadką młodszej

jego braci, zawiązywały się dziwne rozmowy. Młodziutkie topólki z ruchami gwałtownej trwogi rzucały się na wsze strony, ku ziemi prawie chyłąc swe szczupłe postacie. Młode jeszcze, silne, wysokie topole, oddawały pradziadowi ukłony głębokie, poważnym szumem zdając się zapytywać go o coś; może o dzieje burz i nawałnic, których on przeżył tak wiele, może o walki i losy tych, których w rozkwicie życia porywały i gięły burze. On o tém wszystkiém miał snadź do opowiadania wiele rzeczy ponurych i strasznych. Podstawa jego, niedostępna pociskom wszelkim, pozostawała w nieruchomości niezłomnej, ale szczyt był podobnym do rozczochanej i na wsze strony miotającej się głowy. Z szumem, złożonym z frazesów przeciągłych i basowych, wzdymających się aż do krzyku i spływających w ciężkie westchnienia, głowa ta trzęsła się w gniewnym oburzeniu, z żałością bez granic kołysała się w strony obie, zgrozą przejęta, zjeżała bezlistne swe włosy, aby po znieruchomieniu chwilowém wściekle zakołysać się znowu i pod biczami uderzającej w nią nawałnicy, zapłakać strugami łez. A gałęzie, jak ramiona rozwierały się szeroko w zdumieniu najwyższém, to gestem zlorzeczenia wznosiły się w górę, to zbliżały się ku sobie na wzór dłoni, które chcą się załamać w rozpacz, to w dół spadały zniemożone, zbolale, z drżeniem upuszczające na ziemię żółte i mokre liście,

niby ostatki wspomnień splakanych i ciężkich. Pódówczas młode i silne drzewa, pełne przerażeń i bólu, w tył odginały swe smukłe postacie i, prostując się po chwili, muskały się wzajem szczytami, a szmerem gwarliwym zdawały się wołać: co to było! co to było! Młodziutkie zaś topółki, w długie czworobok ustawione, dostawały konwulsyi śmiertelnéj już trwogi, gięły się w udręczeniu i płaczom wichru wtórowały jękiem: co to będzie?" Na obszer- nym placu zapanowała pustka. Drzwi i okna mieszkań ludzkich pozamykane i milczące, żałoba wilgoci i zmroku okrywa wysokie ściany świątyni i królewskiego domu. Lecz w zmroku jeszcze i po- tém w grubych ciemnościach nocy, w pogwizdach wichru i plusku deszczowych fal, stary jawór nieu- stannie opowiada swe straszne, rozpaczne historye. W cichych domowych ścianach słucha ich matka, do snu kołysząca swe dziecię, i pieśń, którą nuci, przybiera nutę smętną i trwożną. Słucha ich mąż, dumający bezsennie nad każdym jutrem każdej bu- rzy, i błądź bólu spływa mu na zbruzdzone czoło. Młodzieniec, któremu poranek życia przychyła do ust kielich nadziei, przypomina sobie, że przyszłość nie będzie mu łatwą, a obudzona dziewczyna szep- ce strofę proroka: „Niechaj oblubienice nie wieńczą głów swych kwiatami, a orszaki weselne niech się obchodzą bez muzyki trąb i harf!"

* * *

Było to w godzinę po północy. Na bulwarze bardzo tłumno, ale zarazem i bardzo cicho. Jest to cisza wielkiego zmęczenia i udręczenia tego, które ścisza gardło i zamyka usta. Tam, za tą świątynią, na prawo i lewo, już pusto zupełnie; gdzieś gdzie tylko nad polem zniszczenia dziurawe mury świecą oczami, przez które przegląda płonący tam jeszcze ogień. Ogień bucha jeszcze przez liczne okna i sze- rokokie wyłomy domu Batorego; ogień obejmuje wy- sokie i szerokie gmachy po prawicy Fary; ogień tak obficie oświeśla plac obszerny, że policzyć-by na nim można wszystkie listki wszystkich drzew, wszystkie łzy wszystkich oczu, wszystkie kurczowe drgania wszystkich ust. Ale te łzy płyną cicho i te usta są oniemiałe. Dosyć waleczono już przez godzin wiele; teraz nikt nie ma siły iść, wołać, bła- gać, dźwigać, modlić się i złożyć, i wszyscy mu- szą siedzieć po tych trawnikach, po których wczoraj jeszcze tak wesoło płaśły dzieci i igrały złote kółka słoneczne, opuścić ręce zmęczone, przymknąć dymem zgryzione oczy, i twarzą w twarz z płomien- nym potworem czekać... czego? jakiegoś dziwnego, nieznanego, w łzach żalu i ohydzie nędzy skąpane- go jutra. I Fara także zamilkła. Przez dzień cały uderzała ona w niebo rozpaczliwą muzyką swych dzwonów, ale teraz umilkła i z krwistą luną na sze-

rokiem czole stoi cicha, niema, czekająca chwili zlitowania. Wichry, które wprzód wściekle szalały, ułożyły się do snu na gorącej pościeli zgłiszczów; stary jawór stoi więc także nieruchomy i cichy, zdający się rozmyślać nad jutrem téj nowéj burzy.

Wtém, od płonącój w pobliżu budowy, oderwał się złoty wężyk maleńki i po deskach chodnika pomknął sobie żwawo, lekko, naksztalt błyszczącój zabawki, rzuconéj ręką dziecka. U brzegu chodnika wyprostował się, pochylił się cały naprzód, i zwinny, powiewny, złotym, cienkim pierścieniem objął pień jaworu. Błysnął i przygasł; błysnął znowu, wzdał się i wypuścił z siebie mnóstwo płomiennych języków, które szybko i cicho, w błyskawicznych podskokach i zwrotach, poczęły lizać i kasać powierzchnią drzewa. Mnożą się one, ogromnieją, w powietrzu rozpościerają się jak chorągwie, pną się i skaczą coraz wyżej, coraz głębiej żądla swe w ciało starca zapuszczają. Gałęzi jednak dosięgnąć jeszcze nie mogą; z pniem potężnym, lecz może już w swém wnętrzu noszącym spróchniałość starości, toczą walkę zaciętą i śpieszną. Walka trudna, lecz w pomoc jéj przybywa żuzel jakiś, płomyk, może tylko iskra, która zkądeś na czoło starca spadła. Tu, w mgnieniu oka zagorzały gęste jego włosy. Ogromna korona z płomien

otoczyła mu głowę. Tak ze stopami zanurzonymi w ognistój kąpieli i z ognistą koroną u szczytu stał długo niewzruszony, opierający się pożeraczemu wrogowi, i tylko zwolna, zcicha, trząsł szerokimi gałęziami. Cóż to? Czy to złudzenie jakieś omamia oczy widzów, zmęczone, i w obraz téj walki z wytężeniem patrzące? Zakolysał się stary jawór, zakolysał się od pnia aż do szczytu, zlekka wprawdzie, tylko trochę... Minut kilka i znowu wyniosła jego postać pochyliła się już silniej, widoczniej, raz w jedną, to znowu w inną stronę. I odtąd jeszcze upłynęły długie minuty i kwandranse. Nagle kilka głosów donośnych i nakazujących krzyknęło: „Uciekajcie ludzie!” Tłum w popłochu skupił się u przeciwległej strony plaec. Jawór stał jeszcze i płonął cicho u stóp i u szczytu; tylko środkowe jego gałęzie zcicha, poważnie, smutno zaszumiały. Potém wysoka postać jego chylić się zaczęła zwolna, zwolna, jakby w przedchwili zgonu zdjęta głęboką zadumą. Sztwywny, ciężki, z pniem niezupełnie może ognistemi nożami przerżniętym, chylił się tak długo, powoli, a z płomienistój jego korony spływał ku ziemi gruby warkocz iskier. Nagle rozległ się wielki łoskot. Tam, gdzie przed wieki stał pradziad miasta, nie było już nic. Na rozpalonych kamieniach rozciągnięte wielkie jego ciało, wnet ciemne dymy owinęły w kłębiący się,

nieprzejrzanie gruby, złotemi niemi haftowany
całun.

.

...Szczęśliwszyś od nas, stary nasz jaworze, bo
nie patrzysz na jutro téj wezorajszój burzy!

V.

W kamiennych ścianach.

Od kilku lat, każdej wiosny miewałam coraz
świeże bukiety narcyzów, które zapachem swym
napępniały mi całe mieszkanie, a śnieżną białością
wdzięcznie odbijały na tle rosnącej za oknami
zieleni ogrodu. Z tym, który przynosił mi te kwia-
ty, zamieniałam najczęściej parę tylko wyrazów
przyjacielskiego pozdrowienia, bo bardzo żywy
i zawsze coś do czynienia mający, długim roz-
mowom czasu nie poświęcał; pracowity i pnący
się po wzgórzu trudnego dorobku, pracą i czasem
innych nie poniewierał. Jednak, niekiedy zasiadał
on w kółku moich najbliższych, przy długim stole
pełnym przedmiotów, będących istotnemi symbola-
mi naszego życia: książek, dzienników i ręcznych
kobiecych robót. Nikomu z nas, ile nas tam było,
długie zimowe mroki nie rozjaśniały się temi bla-

skami piękna i wesołości, które na innych punktach ziemi dopomagają ludziom żyć, walczyć i tworzyć. Pod dachem z chmur i w powietrzu ściśnioném dokonywać się nie mogą żywe towarzyskie i cywilizacyjne ruchy. Ten pokój, za którego oknami szemrały jesienne deszcze, albo huczały zimowe zamiecie, ten stół, z tą lampą, te książki, roboty, ten wieniec twarzy zdawna znanych i przyjaznych, było to wszystko, cośmy mieli na długie zimowe ciemności, na odpoczynek i rozveselenie po dniach, spędzonych w pracy, w pracy niezawsze takiej, jaką byśmy spełniać najbardziej pragnęli i mogli, ale zawsze prawie tylko takiej, dla jakiej pełnienia został nam kęs zagona lub część nieszerokiej ścieżki. W ciszy topniały i nikły ze szmerem deszczów, czasem płakały, z szumem wiatrów ulatywały na nie i na zawsze niezuzycie energie, niewysłowione myśli niedokonane zamiary. Jednak nie bywało u nas ani ponuro, ani beznadziejnie. Może pająki, którym los wzlotów sokolich odmówił, dumne są i spokojne tćm, że w kamiennych ścianach i bez słońca, z samych siebie snują tkanki swych szarych pałaców. Nierzadko rozmawialiśmy gwarnie i śmialiśmy się z tego na przykład, że nikt prawie z pomiędzy nas telefonów i elektrycznego światła dotąd nie widział, choć każdy posiadał sporą dozę pociągu do spraw i tworów ludzkiego rozumu. Codzienne nasze przyjacielskie zebrania, nazywaliśmy nasze

mi rautami; koncerty wyśpiewywały nam dokoła domu odgłosy zimowej pogody, a przedstawienia teatralne zastępowały dziwne i pełne gracyi skoki i swawole czarnego kotka. Ktoś bardzo rozumny i wykształcony, ale zarazem, w hałasach miast wielkich wzrosły i żyjący, twierdził raz przede mną, że istota ludzka, nieuczęszczająca na przedstawienia teatralne, koncerty i rauty, nieziedzająca muzyków i wystaw sztuki i przemysłu, nietowarzysząca wszystkimi ruchami swćj duszy ruchom cywilizacyi, jest istotą nieucywilizowaną, na-pół dziką: Otóż nie; nie byliśmy dziecy. Tylko, jak wiadomo, pająki nie mogą szybować po jasnych przestworzach i dość im, gdy, dobrze natrudziwszy swe łapki, zdołają dotrwać w swym kamiennym kącie. Silniejsze i ponćtniejsze z pośród nich przędą i wyciągają szarą swą nitkę wyżej, coraz wyżej; do strefy podświetlonej nie dostaną się nigdy, ale padają na nie odłamy jćj blasków. Przędliśmy i wyciągali szare nici nasze wyżej, coraz wyżej i każdy z nas miał w sobie i przed sobą jakiś promień wszech-ludzićj światłości.

Właściciel białych narcyzów, tak jak i my nie widział jeszcze telefonów i elektrycznego światła, nie bywał w teatralnych i balowych salach. W naszym kącie ich nie było, a po szerokich przestrzeniach szybować on nie mógł. Pacholećtwo jego przypadło w tę czarną godzinę, gdy drżące grunta

wydawały z siebie jakieś mętne i brudne opary, wśród których wielu poślepiło i zanurzyło się w trzęsawiskach, a nikt prawie właściwej sobie miary wzrostu nie dosięgnął.

Z nad roboty lub przerzucanej książki, zawsze z uśmiechem zadowolenia podnosiłam wzrok na rzeźwą i energiczną postać, na odważną i roztropną twarz tego młodego człowieka, który nie oślepił, trzęsawiska ominął, a choć wszystkie szerokie drogi zamknęły przed nim te ubóstwa i niemoece, które mu na początek życia przypadły, szedł ścieżką wąską, ale prostą i czystą, prosty, czysty i coraz szczęśliwszy.

Czyście kiedy zatrzymali myśl waszą na tém szczególném, nam tylko właściwém, a bardzo ciekawém zjawisku, którem jest grupa ludzi wypracowujących sobie istnienie bez żadnych narzędzi, używanych ku temu gdzieindziej, niewiedziąc czém i jak, ot tak, gołemi rękoma, na sposób różny, bez systematu, z mnóstwem różnych umiejętności i bez żadnej wyłącznej umiejętności, okropnie ciężko? Na to zjawisko niebezpieczne, bo kuszące ku przepaściom, smutne, bo marnujące drogocenne siły, składa się przyczyn mnóstwo; lecz ktokolwiek nie przypatrzył się pracownikom tego rzędu, ten nie przeczytał jednej z najciekawszych kart naszego zbiorowego życia i nie zna bólu marnowanych godzin, rozpaczę stłumionych zdolności, wielkich sił, które w pocie czoła

podnoszą—drobne ziarnka piasku. I to jest pewnem, że, gdy na gruntach, uprawianych wybornie i ogrzewanych łaskawym klimatem drobne ziarno wydaje kłos, wysoki i bujny, w kątach kamiennych i bez słońca, bohaterskie dusze za cały plon przynoszą prostą czystość i pożyteczność życia.

Zdolności, stłumione przez czarną godzinę, płomieniem zbiegały mu do oczu, a siły, wyrobione w mozolnem dźwiganiu ziarenek piasku, energią odbijały się w postawie i ruchach, gdy czasem opowiadał on nam o tych ścieżkach pracy i przemysłowości, po których chodził, zanim stanął na tym punkcie swego istnienia, z którego już dalej iść łatwo. Nie lubił tylko ścieżek utartych, kark miał twardy, umysł skłonny do wyszukiwania dróg nowych i było to jego najbardziej indywidualnem znamię. Ileż kwadransów i godzin spłynęło nam na rozmowach o tych drogach nowych, na które spoglądaliśmy nietylko z ciasnych wnętrzy pałaców własnych, ale z téj wysokości, z której widać było, jeżeli nie świat cały, to przynajmniej społeczeństwo rodzinne i zwiłkaną sieć jego najdroższych interesów. Ileż razy podnosiliśmy i oglądali różne oczka téj sieci, które na martwém, a przecież wzburzonym morzu, wydawały się nam wyspami ratunku i obfitości! Miewaliśmy na ustach wyrazy: przemysł, handel, rękodzielnictwo, sztuki budowania i ogrodnictwa, konkurencya, inicjatywa i t. d. i t. d.

Oto, jak byliśmy mądrzy. Ale, czyśmy też nigdy poetycznymi nie bywali? Owszem, gdy za oknami rozpościerały się grube ciemności i huczał wieher zimowy, nam, wspomnienia, krzesane przez miłość ziemi i przyrody, przynosiły obrazy cichych i woniejących pól, srebrnych mgieł nad łąkami, złotych rozłogów, po których płyną monotonne nuty pastuszych surm lub rozlegają się zwyczajko i hucznie myśliwskie strzały.

Rozmowy z właścicielem nareczów lubiłam dla tego, że nie było w nich téj dziwnie i nadewszystko nieznosnej mi pretensjonalności, która na popis wzbijać się usiłuje ku szczytom umysłowym ani dosięgłym, ani nawet zbliżka widzianym; było w nich wzamian wiele doświadczenia i praktyczności mężczy, krzepkości pracownika, coś z hardości niezawisłego człowieka, częste iskry obywatelskich uczuć i czasem promień téj zdrowej poezji, której źródłem jest miłość dla ziemi, ludzi i wolności. Lubiłam słuchać, kiedy mi opowiadał o różnych procedurach prac mechanicznych, o warunkach dobrego pracowania w przemyśle i handlu, o odważném zawijaniu rękawów do własnoręcznej fizycznej pracy, o biciu się z losem, który przeszkody stawia i niezupełnościami wiedzy własnej, która dostatecznych pomocy nie daje. Lubiłam nadewszystko patrzeć na tryumf roztropnej przemysłności i uczciwej pracy, która już takie plony przyniosła, że zapytany przeze mnie:

ile też zdobyta już posiadłość i przemysłowe zajęcie, którym się oddawał, zysku mu przynoszą, ten mój dzielny i sympatyczny znajomy, z właściwą sobie rażną wesołością odpowiedział:

— Pani! jestem już teraz, jak Karol Radziwiłł, który dochodów swych nigdy zliczyć nie mógł!

Dzień dwudziesty ósmy Maja był w tym roku upalny i bardzo pogodny. Około zachodu słońca przechodziłam główną ulicą naszego miasta. Wielka susza panowała oddawna; z bruku, z pod stóp ludzkich i z pod kół dorożek wznosiły się kłęby kurzawy, niezdrowe i przykre wyziewy zalatywały z bocznych, ubogich uliczek. Nagle, w najruchliwszym punkcie ulicy, z rozwartéj na oścież bramy, buchnęła silna woń kwiatów. Było to jakby otworzenie się, wśród zaduchy i prozy miejskiej, ezarodziejskiego pudełka z woniami i urokami wsi. Stałam na chwilę i przez wyobraźnię moję przesunął się pospolity, lecz zawsze miły obraz ulla, napelnionego ruchem i brzęczeniem pszczół. Na dolném piętrze ładnie zbudowanego domu, otwierało się nad chodnikiem kilka nieszczupłych i zasobnych sklepów. Tu, za szybami okien piętrzyły się stosy materiałów piśmieniowych; tam, sprzedawano żelazne narzędzia i narzędzia; owdzie modniarka rozwiesiła swe barwne wyroby, a tam jeszcze mierzono i ważono towary

kolonialne. Jeden z tych sklepów był własnością właściciela tego domu. Wszysey ci, którzy za ich oknami i otwartymi drzwiami ruszają się, sprzedają, gwarzą, znani mi, swoi. Znam ich nazwiska, twarze, historie, stosunki; młodzi wzięli się do rzeczy nowych i dobrze im idzie. Są to pajaki, które w kamiennych ścianach przędą sobie tkanki swych starych, lecz własnych pałaców, a każdy z nich, wiem o tém, ma jakąś jedną nitkę, którą przędzie i wyciąga wyżej, coraz wyżej. Są to jeszcze pływacze, którzy na martwém morzu znaleźli sobie, dawniej zdala omijane, wyspy ratunku i obfitości. Jest to nakoniec warsztat, na którym wyrabia się świeża jakaś siła społeczna, przy którym właściciel tego ładnego domu, dawno już jednym z pierwszych stanął i do którego innych zachęcał, zwoływał. Może tu kiedyś rozszerzy się miejsce dla tych, którym ciasno i wzrosną bujne kłosa dla tych, którym ziemia skąpa. Przebaczenie! Jam nie patrzała nigdy na szerokie, wolne, obfitemi plony okryte przestrzenie, ani mię otaczały niebotyczne szczyty ludzkich bohaterów i mądrości. Oczy moje, przywykły wpatrywać się w zmroki i wśród nich szukać wąskich i błędnych smug światłości, z namiętném pragnieniem, aby kiedyś zwały się one w jedno wielkie słońce. Przebaczenie więc, że na ten skromny obraz i na tych pajęczych robotników patrząc miałam,

w duszy namiętny okrzyk; o, niebo dziś tak błękitne, bądź-że im zawsze pogodném! Zbliżyłam się do otwartej bramy. W głębi dużego dziedzińca, w zieloności kwitnących krzewów, wiejskimi prawie gankami uśmiechają się oficyny, przez których otwarte okna widać głowy kobiece, schylone nad pracą i słychać niedbałe przygrywanie na skrzypcach. Ale pośrodku tej obszerniej przestrzeni, zmysły wzroku i powonienia uderza ogromny kłęb, a raczej małe pole kwiatów. Narcyzy kwitną jeszcze, a jest ich tak wiele, że bije od nich prawie olśniewająca białość; na tém tle, podobném do obficie spadłego śniegu, przekwitające tulipany rozpościerają szeroko gorącą czerwonosć swych kielichów i rumienią się pąki rozwijających się róż. Dokoła, wiszą na krzewach blade, bo już więdnące grona bzu; jaśmizy, całe w kwieciu, buchają odurzającą wonią, wysmukłe akacje, wśród delikatnych rysunków listowia zwieszają śnieżne, albo żółte kiście. W narcyzach, tulipanach, opadających bzach i rozwijających się różach i jaśminach, dwie malutkie dziewczynki biorą kwiatową kąpiel. Są one tak malutkie, a barwna toń, w której poruszają się tak wysoką i gestą, że nad jej powierzchnią wypływają tylko dwie okrągłe, złotowłose główki i dwie okrągłe, rumiane twarzyczki. Czasem pośród zieleni, zabieleje biały fartuszek dziecięcy, powieje nagie, drobne, delikatne ramię,

drobna stópka mignie w gęstwinie łądyg, i znowu nie, tylko z kwiatowej kapieli wyzierające, dwie złotowłose, okrągłe, dziecięce główki. Nie samopas dzieci te kąpią się w kwiatkach. Na ławce pod akacją, babunia migoce drutami pończoszki; długie i trudne życie zniżyło i wyszczupliło jej ciało, ale pogoda szczęśliwej starości, zagina liczne zmarszczki jej twarzy w linie uśmiechów. Staruszka i dzieci często spoglądają w górę. W górze na odkrytej galerii drugiego piętra, stoi para młodych i urodliwych ludzi. Ładna szatynka przez ogrodzenie galerii przegina ku dzieciom swą zgrabną, wysmukłą kibić; mężczyzna wodzi dokoła wzrokiem, którego zwykła bystrość i wesołość topi się zwolna w zadumie, o tém może, co już uczynił wytworzył, albo, co jeszcze uczynić i wywalić trzeba. Z ulicy, od szeregu sklepów, dochodzą tu różne gwary, z oficyn wypływają turkoty maszyn do szycia i muzyka skrzypiec; dziewczynki w kwiatkach wybuchają co moment szczebiotem i śmiechem.

Przypominałam sobie, jak przed kilkunastu laty miejsce to było pustem i brzydkim, upadającymi ruderami i zbiornikami śmiecia okrytemi; przez myśl mi przemknęły słowa myśliciela: „Pijcie życie z łona ziemi, lecz wzamian leście w nią życie!“

Od owego zachodu słońca dwie doby tylko upłynęło, gdy z jednym z przyjaciół moich szłam znowu tą samą ulicą, ku temu samemu miejscu.

Tak, jak zawczoraj, na świecie była podobno błękitna i niezmacona pogoda, ale myśmy jej nie widzieli, bo powietrze, w którym posuwaliśmy się zwolna i z trudnością, było tak przejęte pyłem i popiołem, że przez nie, jak przez mgłę, zaledwie dostrzegaliśmy dziwaczne linie zgliszczy, a niebo przybierało pozór podartej i brudnej płachty. Panował tu upał suchy i dławiący. Z każdym odechnieniem wciągałszy w siebie gorące prochy, które osiadały nam na podniebieniach i w gardłach. Drobnie i gorące odłamy węgla, niewiedziąc zkad, spadały i chwilami deszczem prawie sypały się na głowy i suknie nasze. Chwilami powieki zamykały się nam bezwiednie przed lecącym kłębem czegoś, co, grożąc oczom oślepieniem, w twarze ciskało fale gorących podmuchów. Grunt, po którym stąpaliśmy, połamany w dziwaczne wzgórza i doły, piekł nam stopy suchą i nierówną gorącością. W jednych miejscach te nagromadzenia gruzów i popiołu już ostygaly, w innych czuć jeszcze było tlenie iskier; gdzie nigdzie, po obu stronach i przed nami, w tej gęstej mgłę, nad którą wisiała brudna i podarta płachta obłoków, błyskały jeszcze płomyki, wyrzucające niskie kity dymu i liżące stopy kominów, które, zezerniałe albo plamisto-czerwone, podobne były do nieruchomych skieletów, lub wyprężonych ku niebu ramion. A wszystko tam było tak omglone, wszyst-

kie punkta, na których oczy opierać się zwykły, zniknęły tak doszczętnie, rumowiska i rozdziela-
jące je pustki zakreślały tak błędne zmaczone linie,
że zaledwie po długim i pilnym wpatrywaniu się
w tę otchłań zniszczenia, zdołaliśmy trafić do celu
naszej wycieczki. Tu stało kilka ścian wysokich,
zczerniałych, podziurawionych szeregami pustych
okien, a dokoła niepodobne do określenia, wzde-
cia się i zapadlizny powierzchni, to czarne od po-
krywającej je warstwy popiołu, to czerwone od
potłuczonych cegieł, to białe od wapiennego pyłu,
to sucho zjeżone odłamami przepalonych drewn.
Tu i owdzie, z pośrodku tych bezkształtnych zwa-
lisk, owiane ruchomą mgłą kurzawy, sterczały
krzaki огоłocone z liścia, zwolna kołyszące czar-
nymi kitami zwęglonych wierzchołków, albo, po-
łamane i zdeptane, rozkładające po gruzach zielo-
ne jeszcze gałęzie. Biedne trupy akacyi, wątle,
wysokie i z cieniutkimi ramionami, górowały nad
tym ludem pomarłych lub konających roślin. We-
wnątrz stojących prosto i szerokimi szramami
przerzniętych, zczerniałych, dziurawych, okrycia
pozbawionych ścian, wznosiło się i dziwnie
w oczach plątało fantastyczne nagromadzenie
spiętrzonych i w powietrzu zda się wiszących ka-
mieni, cegieł, blach, cząstek kominów, pieców i po-
dłóg. Zresztą, nie, nie z tego, co zawczoraj krzą-
tało się tu, gwarzyło, śmiało się, kwitło. Ani

ogrodzenia, ani bramy. Obręb i granic tego dzie-
dzińca rozpoznać niepodobna. Na prawo i lewo,
przed nami, za nami, jak okiem sięgnąć, pustka
graniczy z pustką, gdzieniegdzie sterczące ściany,
rzędami dziurawych oczu zdala na siebie spoglą-
dają, sterczą kominy różnych wzrostów, bieleją
samotne i wśród rozlogów przysadziste piece, suną
powietrzem białe lub ciemne kurzawy, a za tém
wszystkiem, daleko, daleko bystry wzrok dojrzeć
może przyémioną i szarawo ztąd wyglądającą zie-
loność pól.

Gospodarz tego miejsca, przeskakując wzgórza
i doły, wybiegł na nasze spotkanie. A nam wszystko
odrazu w pamięci stanęło: i zimowe wieczory nasze,
i wiosenne bukiety narcyzów, i to, jak on zdoby-
wał przyszłość, i to, jaką teraz ona dla niego być
miała. Podobnym był do żołnierza, wracającego
z krótkiej, lecz ciężkiej bitwy. Śniadawa twarz
jego, o rysach pociągłych, zciemniała i schudła,
oczy nieco przygasły; włosy i obuwie miał białe
od pyłu i odzież szeroko podziurawioną przez ogień.
Jednak w słowach i uścisku dłoni, któremi nas powitał,
nie uczuliśmy ani rozpacz, ani omdlenia. Z do-
kładnością i nawet malowniczością, w których czuć
było zupełną przytomność myśli, i z trochę tylko
gorączki w ożywionych giestach i na spieczonych
wargach, opowiadał nam, jak się to stało. Z prze-
ciwległych płonących domów ogromne fale ognia

przebywały powietrzem całą szerokość ulicy i o jego ściany uderzały z hukiem morskich bałwanów. Uderzały, cofały się, miały się w strony różne, aż nakoniec płomienistym płaszczem ściany te objęły. Jednocześnie z pobliskich gmachów wzbił się tuman zapalonych szmat papieru i, szalejąc w powietrzu nakształt gwiazd spadających, rozsypywał się po dachach. Wytaczane ze sklepów beczki zapalały się w mgnieniu oka i gnane wiałem, podobne do kul ognistych, zataczały się w różne kierunki. Było to morze, wydające z siebie mnóstwo strumieni, tryskające w górę mnóstwem słupów, ścielące nie płaszczem olbrzymim, skłębionym, pełnym grzmotowych huków. Wszystko w niem kończyło się, nikło, tonęło, szybko, bez ratunku, z piekielną wspaniałością wielkich katastrof.

Opowiadał w ten sposób, że w pamięci słuchaczy dziwne te obrazy ryły się na zawsze. Ale ludzie żywo wychodzili z tej toni. Więc, żona i dzieci jego, te dwie malutkie dziewczynki, które zawczoraj jeszcze szczebiały w gęstwinie kwiatów, chore z przestachu, wywiezione daleko, do obcych.

-- A stara matka?

— W jakimś kątku kościelnego kurytarza, na zimnych ceglach, pod wilgotnym murem, z wielu, wielu towarzyszkami niedoli.

— A ci młodzi, przedsiębiorczy ludzie, którzy pracowali w owych ładnych sklepach?

Teraz przeciągnął dłonią po włosach i gorzki uśmiech przewiwał się mu po ustach:

— Zgubieni!

I zapewne ta nowa droga życia i wzrastania, na którą weszli, na której on sam jednym z pierwszych stanął, tu przynajmniej na długo zgubiona. Uderzyło nas, choć u niego nie zadziwiło to, że w przepaści własnego nieszczęścia dostrzegał jeszcze i liczył straty społeczne.

Tak, rozmawiając z nami, stał na jakiejś belce, wypadkiem spadłej pomiędzy dwie głębokie rozpadliny gruzów, na pół zwęglonej i kołyszącej się nieco pod jego stopami. Pomyślałam, że było to jakby zobrazowanie tego zachwiania się pod nim materyalnych i moralnych podstaw istnienia. Towarzysz mój i ja, mieliśmy oboje myśl, która w nas budziła szczególny niepokój. Wahającym się głosem, towarzysz mój wyraził ją zapytaniem:

— Cóż? Grunt ten swój sprzedasz?

Belka kołysać się przestała, jakby umocniona siłą, z jaką na zapytanie to oparł stopy swe na swych gruzach.

— Nie — odpowiedział — za żadne pieniądze... za nic...

Po chwili zwolna dodał:

— Nie jedne tylko pieniądze...

I nie dokończył. Zmęczonemi oczyma patrzył w górę, na jakiś promyk słońca, który przedarł

gęste pyły i złotą strzałę rzucił na nagi, czarny szczyt jego zburzonego gniazda. Potém coś płomiennego i surowego zarazem błysnęło mu w źrenicach i z właściwym sobie energicznym gościem rzekł:

— Tylko trzeba będzie wszystko zaczynać znowu od początku!...

* * *

...Jeżeli kiedy przebywaliście kraje, w których łaski klimatu łączą się z błogosławieństwami wybornej uprawy, rośliny nienależące do osobliwych i najdrogocenniejszych gatunków, lecz zdrowe, kształtne, wyrosłe i pożyteczne, nie zachwycały was i trwogi o całość swą nie budziły. Mnóstwo ich tam było, a choćby jedną z nich przedwcześnie zniszczyła siekiera lub burza — niewiele szkody i żalu, bo zastąpiły-by ją wnet inne. Ale we mgłę zimnej, okrywającej zaniedbane grunta, oko z radością spotyka drzewa proste i silne, liczy je troskliwie i drży o ich całość, bo gdyby zmarniały, widnokrąg przybrał-by postać rozpaczną i na nich miejscu próżne lub jadowite chwasty obrosły-by matkę-ziemię. Proste, silne i kształtne drzewa, choćby nie hesperyjskie, ale rodzime i pożywne owoce rodzące, w mgłach zimnych i na gruntach jałowością zagrożonych,

posiadają cenę wielką. Gdy stoją, oko na nich spoczywa z nadzieją, bo spaść z nich może wiele nasion dobrych; gdy wiatr je zgina, ramiona rwą się ku ich podpieraniu; gdyby przepadły, żal byłby, o! jaki żal!... Nieprawdaż? — pytam was o to, wszystkie serca jeszcze żywe — nieprawdaż?

VI.

Dumny szewc.

Było to w śnieżny zimowy wieczór.

Z małego domku, stojącego na wzgórzu, wielki gwar grubych, rozweselonych głosów i tupot nóg zapamiętałe tańczących, wychodził na wąską, śniegiem uślaną uliczkę, na wiszący nad rzeczką mostek drewniany, na białe od śniegu drzewa zamiejskich ogrodów. Może wesołe te odgłosy nad niskimi dachami uśpionych już domowstw, leciały aż na ciche, smutne, ciemne o tej godzinie pola. Tam pewno wiatry, przybywające zdaleka, zapytywały je: gdzieby powstać mogły? A usłyszawszy, z kądem są, leciały dalej, dalej, szeptami zadziwienia albo szyderskim gwizdem powtarzając: „Patrzcie, patrzcie i oni bawią się czasem!” Poleciały wiatry, poleciały hyże nad ciemnymi, smutnymi polami, ku stronom gdzie słońce pogodnie wschodzi i zachodzi; a na wąską

uliczkę i wiszący nad rzeczką mostek drewniany i śniegiem okryte ogrody, z domku, którego oświetlone okna świeciły na wzgórzu, wychodził wielki gwar grubych, rozweselonych głosów i tupot zapamiętałe tańczących nóg.

Bawili się. Siostra dorożkarza wychodziła za szewca, ale brat, dorożkarz, zbyt ciasne miał mieszkanie, aby mógł w niem liczne towarzystwo zmieścić; pożyczyl tedy sobie na tę noc weselną domku u szewskiego majstra, krewniaka pana młodego, kuma panny młodej. Było to więc wesele i ja na niem byłam, miód i wino piłam...

Na dworze było śnieżno i mroźno, ale w tym domku panował podzwrotnikowy upał. W sionce na beczie dnem do góry przewróconej, paliła się mała i krzywo w mosiężny lichtarz wprawiona świeczka. Mętne i co chwila kołyszące się jej światło, w zmaconych i pełnych ruchu zarysach ukazywało mozaikę, złożoną z twarzy grubych, opalonych i wąsatych, z bród czarnych, rudawych i siwiejących, z bark szerokich i silnych, z wielkich, ciemnych, żywo poruszających się rąk. Buchały z tej mozaiki głosy, zmieszane a również grube, jak owe twarze i ręce, rozlegały się śmiechy podobne do grzmotów; silnemi były te piersi, które je wydawały i łaćno w nich było rozpoznać te same gromkie i basowe tony, któremi brzmiały na ulicach miejskich wołania: „Z drogi! z drogi!” W izbie, do której

drzwi sionki stały otworem, działo się wcale co innego. Był to już raczej pokój dobrze oświetlony przez dwie spore lampy, mający kanapę z ogromnemi drewnianemi poręczami i twardeńm siedzeniem, żółtą komodę z wazonem włóczkowych kwiatów, rząd żółtych wyplatanych krzeseł pod ścianami. Na ścianach wisiały jaskrawe święte obrazki, małe okna przyozdabiały doniczki z mirtem, pelargonią i kaktusami. W kącie siedzieli trzej muzykanci, grający na skrzypcach i basetli, a pośrodku zdziesięć młodych par na zabój tańczyło. Z podłogi nie wznosiła się wcale kurzawa, bo proste i grube jej deski często skrapiano wodą. Krzyków też wielkich nie było, tylko przeraźliwy tupot dwudziestu par nóg, wśród którego zabrzmiał czasem piskliwy od wysilenia wykrzyk komenderującego zabawą tancerza, zadzwoniły śmiechy młodzieńczych gardziel, zaszemrały chichoty dziewcząt. Chłopcy ubrani byli w czarne surduty i wielkie jaskrawe kokardy u szyi, oczy prawie bolały od zielonych, błękitnych, różowych sukien dziewcząt i mnogości papierowych kwiatów, strojących ich proste, lecz grube, czarne lub płowe warkocze. Wszyscy mieli u boków gałązki mirtu, ręce okryte białemi, przeważnie bawelnianemi rękawieczkami, twarze do czerwoności rozpalone i lśniące od potu czoła. Polkę tańczyli tak, jak tańczą ją wszyscy na świecie, niektórzy nawet zgrabnie. Zdarzały się przecież wypadki, że dwie pa-

ry wpadały na siebie z rozpędem dwóch spotykających się kul, i z gwałtownością niesłychaną odrzucały się ku dwom przeciwnym ścianom; że jakiś zbyt mocno odstawiony łokieć, kręcąc się wraz ze swym właścicielem, z szybkością myśli uderzał w plecy, głowy, twarze i nosy współtaneczników, że jedna jakaś para, ugrzęzłszy w ciasnym kącie pomiędzy piecem a drzwiami, na żaden sposób wyrzucić zeń na przestrzenie szersze nie mogła, a w zamian inna, z dwu bardzo snadź gorących temperamentów złożona, wypuszczała się galopadowem tempem wzdłuż pokoju i wszystko dokoła siebie roztrącając; rozbijając, przeskakowała wysoki próg sionki i uderzała się jak o ścianę o zbitą tam gromadę brodatych mężczyzn, którzy ją witali wesołymi żartami, zapewne też i rubasznymi, ale nie można było tego rozpoznać w zmieszaniu rozmów, śmiechów i tupotów, w zawodzeniach skrzypiec i huku basetli. Syn właściciela domku, młodzieniec, który w Warszawie uczył się sztuki szewskiej i chwilowo tylko przebywał pod rodzicielskim dachem, wznosił rękę w białej, glansowanej rękawiczce i krzyknął: „Kadryla!“ Ztąd i z owąd ozwały się protesty; chciało-by jeszcze tańczyć polkę, ale warszawiak w liljowym krawacie, będący przytém pierwszym drużbą, komenderował tańcami i wedle woli jego stać się musiało. Tłumnie tedy, żwawo, hucznie tańczyli kadryla; przewodniczący wołał co

chwila: *anawan! anawier! szen! ron!* Ale mało kto rozumiał go tu i słuchał, a każdy zato po swojemu robi, co i jak mógł i umiał; zamieszanie wkońcu powstało niepojęte i do rozgmatwania niepodobne: tancerze łowili swe tancerki, tancerki za pół surdutów porywały tancerzy, śmiech szalony ogarniał jednych, na twarzach innych malowało się srogie zakłopotanie, wszystkie oczy pały, z warkoczy dziewcząt kwiaty osuwały się za uszy ich i na szyję, barwiste kokardy chłopców przekręcały się aż prawie na karki; łączyli się i rozłącza-
li, tworzyli i rwali koła, ten i ów krzyknął, przytupując: „Hu! ha!“ ta i owa jęknęła: „O, Jezus Marya!“ a warszawiak zrywał sobie gardło: nie wołają już, a wrzeszcząc: „*Szen! szen!* Ręce sobie państwo podawajcie!... Gdzie panna Anna zmyka? Oleś, do kogo, ty durniu, łapę wyciągasz?... Cbodź tu, Józie!... Niech panna Aniela nie skacze, a rękę Staśkowi poda!... *Ron! ron!* O Jezus Marya, Józefie święty! bydlę, nie ludzie!“ I omdlewający prawie z wysilenia upadł na krzesło, chustką od nosa jak gąbką ocierając twarz, zalaną strumieniem potu. W ogólném zamieszaniu, wzajemném łowieniu się, skokach i śmiechach, *szen* i *ron* trwały bardzo długo, a tymczasem te i owe szerokie plecy, ta i owa czarna lub siwiejąca broda, wysuwały się z sionki, i ostrożnie, ocierając się o ściany, aby tanecznego wiru uniknąć, wchodziły w wąskie

drzwiczki, tuż obok pieca z zielonych cegieł, prowadzące do drugiego pokoju. Był to ostatni już pokój tego mieszkania, mający formę długiej a wąskiej szufladki i uszczuplony znacznie przez dwa wysoko usłane łóżka i długi, wąski stół, zastawiony różną żywnością. Były tu w glinianych misach i fajansowych talerzach pokrajane kielbasy pieczenie i salcesony, przy bochnach chleba, bułkach i serach; stały butelki z wódką, piwem i tańniem winem; pośrodku piętrzyła się piramida ciast, nabytych w cukierni. Cała ta śpizarnia stała tu od samego początku weselnéj zabawy i w miarę potrzeby odnawiana, stać miała aż do jéj końca; kto chciał, przychodził, przekąsywał i zapijał. Pito niewiele, wódki prawie nie dotykano; ten i ów wychylał szklanicę piwa, kobiety w czepecach ze wstążkami, ciemne i pomarszczone ręce wyciągały czasem do butelek z winem i nalawszy go sobie trochę w kieliszek, dwoma palcami, delikatnie, ze wznoszącą się na półmisku piramidy, wyjmowały słodkie ciastko. Siedząc na kufrach, stołkach i łóżkach, albo stojąc pod piecem i przy stole, gwarzyli o różnych różnościach, z szerokiemu czasem rozmachami rąk, z wybuchami śmiechów, lecz głosami umiarkowanemi, grzecznie, bez sprzeczek i grubiaństwa, jak ludziom poważnym i trzeźwym przystoi. Młodzież w przyległym pokoju tańcząca, hałasowała, swawoliła, szalała, ale starszyczna do przystoj-

nego zachowywania się widocznie wielką przywiązywała wagę. Nikt tu nie chciał wobec innych uchodzić za gbura albo pijaka i ta dbałość o zachowanie godności w postępkach i słowach, tworzyła główne i rzucające się w oczy piętno towarzystwa tego. Można-by rzec, że u tych mężczyzn z szerokimi plecami, ciemnymi twarzami i grubemi głosy, jak też u tych kobiet, ubranych w luźne kaftany, staroświeckie mantyle i niepojęte czepce, barczystych, czerwonych, albo od pracy i niedostatku wychudłych i pomarszczonych, — we krwi i starodawnym obyczaju, w pojęciu o honorze i dobrej opinii było coś, co im nie pozwalało lać do gardeł palących potoków trunku, zrywać się do burd i bójek, wyrzucać z piersi gradu obydnych słów. Chciałam sobie wtedy koniecznie zdecydować, czy ludzi, na których patrzyłam, nazywać można cywilizowanymi, choć grubemi głosami mówią, i oj! słabo czytać i pisać umieją? Może najwłaściwiej uważać ich należy za owoc jakiejś cywilizacyi, tak dawniej i tak głęboko sięgającej, że bez pomocy piór i atramentu, krew i kości ich przeniknęła? A może jeszcze jest to materiał wyborczy do wyższej i doskonalszej formy cywilizowanego bytu? Zapewne, wyborczy materiał i szkoda tylko, że brak mu Fidyaszów?

Miękkością ducha, pomimo stwardniałej skóry i tą wewnętrzną przystojnością, pomimo grubych form; najbardziej ze wszystkich obecnych odznaczał

się właściciel domku tego, szewe, Florenty, którego wtedy widziałam po raz pierwszy. Miał on powierzchowność i sposób znajdowania się taki, że ktokolwiek raz nań spojrzał, powiedzieć musiał: ot mały człeczyna, a niechaj go jaki dumny! Małego wzrostu, ale krzepko zbudowany, twarz miał okrągłą i rumianą, jak dobrze zachowane zimowe jabłko; małe, siwe, błyszczące oczy, mały bardzo zadarty nos, usta rumiane, zawieszonym wąsem ocienione, czoło poszerzone łysiną i drobnymi zmarszczkami porysowane, włosy krótko przystrzyżone, siwiejące. Ubrany był w czarny, cienki tużurek, od którego wesoło odbijał mirtowy bukciecik; szerokie i krótkie ręce okrywały mu białe rękawiczki z niezmiernie długimi, więc u końców pustymi palcami. Nie na skrzyni i nie na prostym stołku, ale na krześle z poręczą siedział i jedno ramię przez poręcz przewieszając, drugim, powolnemi, rozważnemi, pełnemi okrągłości giestami, w takt niby powolnej, rozważnej i okrągło układanej mowy, poruszał. Była to postawa, jaką czasem przybierają panowie, przyjmujący najpoufalszych, a od siebie niższych gości; były to gesty, z jakimi mówcy, którzy zawsze umiarkowanymi pozostać pragną, przedstawiają swe przekonania zgromadzonemu dokoła nich słuchaczom. Zkąd wziął on tę postawę, te gesty, ten ruch głowy, nieco w tył odgiętej, przez co nabierała ona wyrazu nakazującej wyższości, przedziwnie sprzeczącego

się z jabłkowatą okrągłością i różowością twarzy? Może widział to wszystko u kogoś, do kogo przybywał dla zdjęcia miary na obuwie? Pewniej jednak wypływało to z podniesionej do wyższej potęgi, ale tej samą co i u innych zebranych tu ludzi, troskliwej dbałości o przystojność obyczaju i zachowanie w opinii ludzkiej tytułu człowieka porządnego. Tylko, że obok tego były tu już widoczne dążenia ku elegancji, a bardziej jeszcze ku posiadaniu w społeczeństwie wyższego nad innych znaczenia.

W gwarze rozmów i dochodzącym z przyległego pokoju tanecznym hałasie, nie mogłam słyszeć dokładnie rozmowy, którą z kilku współbiesiadnikami prowadził, ale z dochodzących mnie jej urywków, zrozumiałam, że opowiadał o radzie miejskiej, której był członkiem, czynił zarzuty niektórym z jej urzędników, wyrzekał na nierównomierność dochodów i rozchodów miasta, tłumaczył słuchaczom swym sposób układania billansu i poddawania go następnie kontroli wyznaczonych ku temu komisji. Kilku mężczyzn słuchało go z wytężoną uwagą, sztywnie; wywiędły staruszek, niegdyś podobno cieśla, siwy jak gołąb i mocno głuchawy, siedząc na stołku pod zielonym piecem i brodę w dwu palcach trzymając, przechylał ucho w stronę mówiącego i z dobrodusznym, głupowatym nieco uśmiechem na zapadłych wargach, głową wciąż na znak twierdzenia kiwał.

Brat panny młodej, dorożkarz, człek lat średnich i herkulesowej postaci, (nieco dziś ściśniętej czarnym tużurkiem) z ogromną ciemną brodą i wielką twarzą czerstwą i pocziwą, ogromną swą rękę opuścił na ramię oratora.

— A mnie przyjmiecie do swojej *dumy*, jak sobie własny dom zbuduję — ha?

— Dla czego nie? — z powagą odparł orator — dla czego nie? Jeżeli wybiorą, uważasz? Do jednej wazy rzucają się galki czarne, a do drugiej białe. Jeżeli dostaniesz więcej białych, będziesz radnym, uważasz? jeżeli czarnych, przepadniesz!

Z grzmotowym śmiechem i lekceważeniem oznaczającym ruchem potężnego ramienia dorożkarz odkrzyknął:

— Nie przepadł ja bez waszej *dumy* do tego czasu, nie przepadnę i potem! Dumny ja sobie mogę być i bez *dumy*.

— A niby to dziadzio miał same białe galki! Pewno, że tam i dużo czarnych narzucali! — cienkim głosikiem i drwiącym nieco tonem, zawołał młody garncarz trochę pękaty i przysadzisty, ale z ładną rumianą twarzą i bujnym czarnym wąsikiem. Przed chwilą niekl on był od kontredansowego *ron* i z kawalem *salcesona* w jednej ręce, a potężną porcją pieroga w drugiej, stanął pomiędzy rozmawiającymi. Z odgiętą w tył głową szewc Florenty spojrzal na probującego żartować zeń krewniaka.

— Ty błaznie, kiedy jeszcze takich interesów nie rozumiesz, to milcz! Nie twoim nosem o takich interesach decydować.

A zwracając się do starszych, mówił:

— Jednogłośnie mnie wybrali, jednogłośnie! Ani jednej czarnej nie miałem, jak Boga kocham! Ja nawet sam nie wiem, za co ludzie mnie tak szanują... i gdzie tylko trzeba coś takiego ważniejszego, uważacie? cościś takiego nie wymawiając dla publiczności zrobić, tam mnie pchają... ot, łaska Bozka i koniec.

Kilka głosów ozwało się jednogłośnie:

— A czemu? czemu? dla czego nie! Naturalnie! Sprawiedliwie! Pan Florenty do wszystkiego zawsze gotów i wszystko umie.

Słyszac to majster rósł, ale nie w wysokość tylko w szerokość. Miał w sobie tę osobliwą właściwość, że gdy cokolwiek cieszyło go i dumie jego pochlebiało, rozdymał się jakoś i naksztalt gąbki wodą pojonęj pęczniał tak, że niższym wydawał się niż zwykle i zarazem grubszy. Rumiane jego wargi wydymały się trochę pod gęstym, szorstkim wąsem, a siwe oczy zalewała błogość. Powoli, z rozważą podnosząc w górę wskazujący palec, na pochlebne dlań szmery odpowiedział:

Tak to jest i nie tak. Gotów to ja do wszystkiego, gotów. Czemu nie? Na to pan Bóg dał człowiekowi rozum, żeby on z niego użytek robił

i czémś na świecie był. Ale umiść, to wszystkiego nie umiem. Ej! gdzie mnie tam wszystko umiść! Żebym był wielką edukacją odebrał, tobym może i nie głupszy był od innych, ale tak, no, człowiek tylko samemu sobie wszystko winien.

Potrząsnął głową i stanowczo dodał:

— Wszystkiego nie umiem. Są rozumniejsi ode mnie, a ja takich szanuję. Bardzo rozumnych ludzi szanuję.

W tém, lekki i śliczny motyl wleciał pomiędzy tych grubych, ciężkich, czarno ubranych ludzi. Siedmioletnia dziewczynka biała, różowa, złotowłosa, w przezroczystej i wstążkami powiewającej sukience, wbiegła pomiędzy gromadkę mężczyzn, którzy téż jak podwładni przed zwierzchnikiem rozstępowali się przed nią, aż z usty pełnemi szczebiotu wskoczyła na kolana szewca Florentego i szczuple obnażone ramiona swe dokoła szyi jego owinęła. — Dziadziu, — głosem i z minkami rozpieszczonego dziecka wołała, — Ignas nie chce tańczyć ze mną i Jaś nie chce i stryjaszek Kostuś nie chce i nikt nie chce. Nikt ze mną tańczyć nie chce, a ja chcę tańczyć! dziadzieńku, doprawdy, ja chcę tańczyć... ta paskudna Zośka powiedziała, że ja jestem błaznica i tylko starszym płaczę się pod nogami...

Na płacz jej się zbierało. Śliczne, malutkie usta wydymała i rączką coraz gwałtowniej rzucała w powietrzu, powtarzając:

— Ja chcę tańczyć! Dziadziu! doprawdy ja chcę tańczyć!

Godną istotnie uwagi była podówczas zmiana, która zaszła w całej powierzchowności szewca; krótkie i grube jego ramię obejmowało tulącą się mu do piersi dziewczynkę ostrożnie i zlekka; na przychyloną ku jej głowie twarz jego, rozlał się wyraz uczuwaną przyjemności i drgał w każdej ze zmarszczek, gęstym rysunkiem okrywających mu czoło i jabłkowate policzki. Skargi jej uspokajał w pół żartobliwą, w pół współczującą perswazyą...

— No, cicho, cicho! będziesz tańczyć, będziesz! Już ja sam Ignacemu powiem, żeby z tobą potańczył, a Zośce dobrze za ciebie nagaдам, nie *bojś*, posłyszysz ona ode mnie!

Dziewczynka wciąż się żaliła: — Paskudna taka, mówi, że ja błaznica i tylko starszym płacząc się pod nogami...

Szeroka i krótka ręka w białej rękawiczce, sterzczącej pustemi końcami palców, wyciągnęła się nad stołem i delikatnie zdjęła z półmiska migdałowe ciastko, które wnet znalazło się w drobnych rączkach dziewczynki. Zarazem szewe Florenty wycisnął na jej czole pocałunek tak prawie głośny, jak pistoletowy wystrzał. — Aj! — krzyknęło dziecko, — wasy! takie u dziadzi kolące wasy! Nie chcę! nie chcę!

Z temi wykrzyknikami i rozkapryszonemi min-

kami, uchylając się od dalszych pocałunków, któremi obdarzać ją zamierzał, zeskoczyła z jego kolan i, chrupiąc migdałowe ciastko, w mgnieniu oka, jak wiewiórka na drzewo, wdrapała się na barczystego i brodatego dorożkarza, który też z przyjaznym i wesołym śmiechem wziął ją w objęcia. Wyglądało to tak, jak gdyby olbrzym bawił się lalką. Podnosił ją w górę, to huśtał w obie strony, a wielka, czerwona, roześmiana twarz jego, to znikwała, to ukazywała się z za powiewnego muślinu jej sukni i złotych rozwianych włosów. Szewe Florenty zwrócił się do krewniaka, owego przysadzystego garncarza z czarnym wusikiem, który w tej chwili, z ustami napelnionemi pieczenią, nalewał sobie do szklanek szumiące piwo.

— Ignacy! — zawołał, — ciekawy jestem, czemu to z dzieckiem troszkę potańczyć nie chciałeś, he? Ważny kawaler z ciebie! fanaberya! Coby ci to szkodziło dogodzić dziecku, kiedy prosi, he?

Gniewał się naprawdę i aż sapać zaczął, a napadniętemu w ten sposób chłopakowi uszanowanie nie pozwalało głośno i śmiało replikować. Coś więc tylko niewyraźnego mruknął pod nosem i ukośne spojrzenie rzucił na małą natrętnicę, którą w tej chwili z objęć potężnego dorożkarza brała żona starego cieśli, dobrze już podstarzała, ale jeszcze czerstwa kobiecina w bezpretensjonalnym luźnym kaftanie i czarnej jedwabnej chusteczce na głowie.

— Pójdziem tańczyć! — mówiła do dziecka, — pójdziem; kiedy ten brzydki Ignas nie chce, to już ja z tobą potańczę! Biedna dziecina, nikt z nią tańczyć nie chce! Patrzcie ich! jakie to niedobre chłopcy! pójdziem tańczyć!

I w mazurowy takt podrygując, ze skaczącą przy niej dziewczynką, babina znikła w sąsiedniej izbie. Zauważyłam, że to dziecko znajdowało się tu jakby w jakiejś licznej rodzinie, różnemi stopniami pokrewieństwa z całym tém towarzystwem połączone. Nikomu wprawdzie nie mówiła: „ojcze” i „matko”, ale wszyscy tu byli jej dziaduniami, stryjami, ciotkami. Z rąk do rąk i z objęcia w objęcie przechodziła; wszędzie dzwonił jej dziecięcy, rozkapryszony głosik i widać było grube, wielkie ręce, przesuwające się po złotych jej włosach, lub liliowobiałej twarzy.

Pochwyciłam pierwszą możność zbliżenia się do gospodarza domu i zawiązania z nim znajomości bliższej. Sprowadziło to ze strony jego i tych, którzy go otaczali, wielki wybuch ceremonii. Szewc Florenty zerwał się z poręczowego krzesła, na którym siedział, i z ukłonami, których posuwistość i balansowanie były tylko przez wąskość przestrzeni, prosił mię, abym je zajęła. Stary cieśla, usiłując jak najmniej miejsca osobą swoją zabierać, tak plecami przylgnął do pieca, że w słabém oświetleniu izby, podobnym stał się do wyrysowanej na zielo-

ném jego tle figurki wątego, siwego staruszka o długim nosie i zadartej brodzie; dorożkarz, ów z wielką, poczeiwą twarzą i ogromną brodą, skoczył do izby przyległej po możliwie najwygodniejsze siedzenie; inny chustką od nosa wycierał brzeg stołu, o który oprzecz się mogłam... Aż nagle wszyscy, dokonawszy już wszelkich możliwych przysług, zmieszali się jakoś, ramiona w dół popuszczali i z wolna cofali się ku innym kątom izby, albo ku przyległemu pokojowi. Ten po cichu i usta dłonią przysłaniając, chrząknął, ów gruby kark nieco przychylił, tamten stanął w wahającej się postawie. To onieśmienie tych ludzi, podobnych do dębów, miało w sobie coś dziecięcego...

Ale szewc Florenty w najmniejszym stopniu nieśmiałości nie doświadczał. Był on nie tylko grzecznym, ale i eleganckim, wyższą kompanią uszanować umiejącym, lecz pewnym, że wymaganiom jej sprostać potrafi. Na stołku obok mnie siedząc, dłonie na kolanach wsparł i z uśmiechem uprzejmym, z wyrazem zastanowienia w siwych oczkach rozpowiadał, kiedy i jak ten domek nabył i drugi jeszcze, który w arendę wypuszcza, sam zbudował. Niedawno, wcale jeszcze niedawno, dobił się tego własnego kąta, bo choć, dzięki Bogu, nędzy nie znał nigdy, rzemiosło w ręku mając, to przecież z różnemi kłopotami i biedami borykać się trzeba było, czworo dzieci hodować i własnymi dwiema rę-

koma rady sobie dawać. To mówiąc, energicznym giestem ręce dłońmi do góry podniósł, a w téjże chwili biała, glansowana rękawiczka, niezmiernie długa, ale wzamian bardzo wązka, rozdarła się i ogłosiła szeroki pas skóry czerwono-czarnéj i jak podeszwa twardej. Nie zauważył tego, bo, starannie podtrzymując rozmowę, zapytywał mię, przy której ulicy mieszkam, a potem zauważył, że w téj właśnie części miasta bruk jest najgorszy i oświetlenie w nocy najslabszém. Strasznie lubił mówić o mieście i jego potrzebach, o radzie miejskiej, której jednak nie umiał nazwać inaczej jak „duma”, i swojém w nią znaczeniu. Gdy mi już wiele rzeczy powiedział o zajmującym go przedmiocie, zapytałam go zkolei, kim jest ta mała, śliczna i tak tu przez wszystkich lubiana dziewczynka; ku wielkiemu zdziwieniu swemu, spostrzegłam, że fala rumieńca przepłynęła po okrywającym czoło szewca gęstym rysunku zmarszczek. Po raz piérwszy, odkąd go ujrzałam, zmieszał się i z pochyłą twarzą milezał chwilę. Potém wstrząsnął głową i zcichła rzekł:

— Sierotka to jest. Ot, uważa pani, biedne stworzenie, opuszczone...

— Rodzice jój umarli? — zapytałam znowu.

Mieszał się coraz bardziej, oczy spuszczał, palcami rąk z zakłopotania poruszał.

— Ot, co tu mówić! — szeptał. — Nie umarli... żyją sobie... matka porzuciła...

— Jakaś zapewne bardzo biedna i nieszczęśliwa kobieta?... — zaczęłam.

Podniósł twarz i uśmiechnął się nawpół z politowaniem, nawpół z goryczą:

— Gdzie tam biedna! — odsapnął. — Wcale nie biedna i z pięknej familii... ojciec takóž... Ludzie wszystko wiedzą i o ojcu jój wiedzą, co on za jeden... bogaty... majątek swój ma... Grzech im wielki!... Przyjechała... maleństwo kilkodniowe jednym tu ludziom na opiekę zostawiła... pieniądze przysyłać przyrzekła... pojechała i wiadomość wszelką o niéj przepadła... Ot, uważasz pani, jak to z tą dzieciną było i co to jest za grzech!

Wszystko to wypowiedział z pochyłą w dół twarzą, ze spuszczonej powiekami, z wielkiém zawstyżeniem. Potém, jakby usprawiedliwić chciał nieprzystojność podobnego opowiadania, dodał:

— No, cóż robić? Pani jest mężatką, to z panją o takich rzeczach mówić można. Cóż robić, różne wypadki na świecie bywają!

Widać jednak było, że wypadek, o którym była mowa, uważał za niezmiernie osobliwy i ludzkość zawstydzający. Chciałam dowiedzieć się, u kogo teraz stale przebywało to dziecko i kto się niém wyłącznie opiekował.

— A no — rzekł — będzie już temu lat z pięć jak baba moja zobaczyła raz to maleństwo w nędzy okrutnej zostające i do domu przyniosła. Myśle-

liśmy z początku, że tymczasowo tylko u nas pobędzie, byle odkarmiło się trochę, bo już tak prawie jak zamierało z głodu, ale potem... i zostało się sobie przy nas... Co robić? Gdzie jest chleba dla sześciu gęb, to już i dla siódmej wystarczy... A uważa pani, sieroty i Bóg opuszczać nie pozwala i serce człowiecze sprzeciwia się temu... Niech już i tak będzie!

Zauważyłam, że nie tylko dziecka tego nie opuszczają, ale je bardzo pieczą i stroją. Szewc zaśmiał się dobrotliwie.

— Dobrze dziecko... piękne... weselutkie, to i jakże go nie pieścić? A co się tycze strojów...

Znowu głowę dumnie podniósł.

— No, dzięki Bogu nie braknie i na to... nie braknie...

A potem ciszej i ze spuszczeniem znowu oczyma dodał.

— Do tego uważa pani, z pięknej rodziny to pochodzi... z bardzo pięknej, i po ojcu i po matce... trudno to jak chłopkę hodować.

Przez otwarte drzwi widziałam, jak w izbie przyległej dorożkarz, którego dziewczynka stryjaskiem Kostusiem nazywała, człowiek młody, wysoki, zgrabny, z wielkimi rudymi bokobrodami, odebrał ją babinie, która z nią niby mazura tańczyła i, jak ptaka posadziwszy na swém ramieniu, począł jej o czémś poważnie prawić. Było coś zupełnie

niepospolitego w pieśczościach i czułości, któremi ci ludzie grubi i silni darzyli to stworzenie delikatne i drobne, zdające się istotnie pochodzić z innego niż oni świata. Dziewczynka była wątłą i zgrabną, cerę miała niemal przezroczystą, rączki małe i kształtne. Na ramieniu wysokiego mężczyzny siedząc, różowy policzek do rudych bokobrodów jego przytuliła, a ładnie obute nóżki, na szerokich jego dłoniach oparła. Niósł ją tak ku otwartym drzwiom sionki, a gdy pośrodku izby trudno mu było wymijać tancerzy, basowym, ogromnym głosem wołał:

— Z drogi! héj! z drogi!

Przekorny jakiś chłopak, wzięwszy się w boki, przejście mu zatamował, tonem wesołego przekomarzania się mówiąc:

— A jak nie ustąpię, to co mi pan Konstanty zrobi, kiedy bata przy sobie nie ma!

— Hejże z jeżdżaj! bo mam kulak! — odkrzyknął zaczepiony i z twarzy mu było widać, że w razie potrzeby niedalekim byłby od użycia tego, zawsze przy sobie noszonego oręża, lecz w téj chwili dziewczynka zaczęła mu coś szeptać do ucha, a on słuchał uważnie, z powagą i, twierdząco kiwając głową, powtarzał: — Dobrze, kotko, dobrze, przyjadę i powiozę! na spacer powiozę! kuliga! héj, héj, kuliga, kuliga!

Zamyśliłam się i nie uważałam kłopotu, w jaki

wpadł właściciel domu z powodu przerwy, zaszłęd w rozmowie naszęd. Wiedział o tém, że gościa zabawiać trzeba. Zerwał się tedy ze stołka, do drzwi poskoczył i wołać zaczął:

— Zosia! Karolecia! Karolecia! Zosia!

Na to wołanie przyskoczyły ku niemu dwie młodziutkie dziewczynki, zdyszane od zmęczenia i śmiejące się od przerwanęd wesolęd zapewne rozmowy.

— A co, tatku?

Wziął je za ręce i, do mnie przyprowadziwszy, rekomendował:

— Moje córki: Zofia i Karolina!

Obie miały błękitne suknie, czerwone kwiaty we włosach i korale na szyjach. Hoże i świeże, choć trochę ciężkie i szerokolice, w strojach tych wyglądały ładnie. Bardzo zmieszane stały chwilę ze spuszczone mi oczyma, z niewyraźnymi uśmiechami na ponsowych ustach, skubiając w rękach grube płucienne chustki do nosa. Wtém, nadbiegła im pomoc w postaci przysadzystego garncarza z czarnym wąsikiem, który z wielkim impetem wysoki próg przekroczył i zasapany, potem oblany, wołał:

— Karolka! gdzie ty siedzisz, Karolka! Krakowską figurę tańczą... a ciebie dalibóg znaleźć nie można!

Porwał za rękę cioteczną siostrę i mazurowym tempem wypadł z nią do przyległej izby; to samo z drugą uczynił inny tancerz.

Krakowska figura wrzała. Trójki tancerzy przebiegały w różne strony, a nad tupotem nóg, brzęczeniem skrzypiec i huczeniem basetli wznosiły się wywoływane i do wyboru przedstawiane nazwy, które przybierali sobie chłopcy i dziewczęta. Te ostatnie poetyzowały osoby swe, przezywając się różami, fijołkami, konwaljami, stokrotkami. Ktoś jednak zawołał: — Koza i cieiele! co wywołało śmiech ogólny i, usuwając z pamięci królestwo roślin, wprowadziło w modę zwierzęta, jako to: wilk i lis, wróbel i słowik, albo zdrobniałe: kotek i ciucia; powstała nawet ztąd sprzeczka, bo dwaj kawalerowie cheieli koniecznie przezwąć się wołem i osłem, ale panna nie zgadzała się za nie na ostatnie, nieprzyzwoite wyrażenie i zastąpiła je baranem. Inna wyciągnęła z sionki opierających się niby, a w rzeczy samej bardzo tym wyborem pochlebionych, najwyższych i najpleczystszych brodaczy, a stając z nimi przed jedną z towarzyszek, zawołała:

— Fara i Bernardyny!

Istotnie, gdy, uderzywszy stopami o podłogę, puścili się po izbie, można-by mniemać, że to kościoły poszły w taniec. I w mniejszej izdebce znajdujące się towarzystwo ożywiało się coraz bardziej. Piwo i tanie wino, choć z wielkiem umiarkowaniem pijane, mężczyznom dodawały werwy i pewności siebie, kobietom na różowo malowały policzki i w co-

raz większy ruch wprawiały języki. Jedna, długa i cienka, blada i pomarszczona, o chorobach swych i używanych na nie lekach piskliwie i lękliwie opowiadała; inna młoda i żwawa, z palącemi się, roztropnemi oczyma, powierzała sąsiadce zamiar swój założenia sklepiku z drobiazgami; trzecia, gruba, ciężka i ze złośliwą twarzą, trzęsąc głową ubraną w żółte kwiaty, wyrzekała na męża, dzieci, sąsiadów, złe czasy i złych ludzi; czwarta, młoda jeszcze i dość ładna, ale ze smutną twarzą i trochę marzącem spojrzeniem, ścigała wciąż przez drzwi otwarte zapamiętałe tańczącego męża swego i od czasu do czasu głośno wzdychała. Mężczyźni przychodzili i wychodzili, przekąsywali, prawili koncepty, śmiali się, a czasem i sprzeciali, ale bez klótni, tylko z coraz żywszemi gestami i ognistszym wzrokiem. Nawet stary cieśla, oderwawszy się od zielonego pieca, stał przy stole na swych cieniutkich, trochę drżących nogach i sepleniącemi bo bezzębnemi ustami opowiadał jednej ze starszych kobiet o domu, który sobie przed kilku laty zbudował, a którego ona jeszcze nie widziała. Słuchaczka z twarzy jego przeniosła wzrok na młodego, zgrabnego, w błękitnym krawacie blondyna, który, wbiegłszy do izby, spiesźnie kawał kielbasy spożywał, i klasnąwszy rękoma zawołał:

— Ale ja i syna pana Józefata dawno już nie

widziałam! O, na jakiego ładnego chłopca wyróżś!

— Ha? co? — ucha ku niej przychyłając, pytał, mocno głuchawy Józefat.

Kobieta zaczęła krzyczeć:

— Mówię, że syn pana Józefata bardzo ładny chłopiec.

Ze szczęśliwością na twarzy stary odpowiedział:

— A ładny, ładny! Chciałem żonce pamiątkę po sobie zostawić, i ot wziąłem i zbudowałem! He, he, he, he. Ładny domek, ładny domek! He, he, he!

— Ja o synu, a on o domku — zawołała kobieta.

Inne parsknęły śmiechem, ale wstydliwie, ze spuszczonej oczyma, albo i całkiem przed niespodzianem *qui pro quo* twarze ku ścianom odwracając. Wtém gospodyni domu, otyła, rumiana i z wesołym obliczem kobieta stanęła w wązkich drzwiach, które całe swoją wyfalbowaną suknią zajęła i, na obie strony przechylając głowę, ubraną w biały czepek z wielkimi różami, po kilka razy powtórzyła:

— Proszę na wieczerzę! Proszę na wieczerzę! Florenty, proś gości na wieczerzę.

Sąsiad mój przerwał sobie opowiadanie o tém, jak bardzo on rozum i rozumnych ludzi szanuje; jak wié, że edukacya to rzecz ważna; jak wielki pociąg czuje sam do większego świata i w skutek tego syna

na naukę rzemiosła do Warszawy wysłał, bo chłopiec ztamtąd i biegły w rzemiosle i świat znający, i do tego co dobre chętny, powróci, — przewał sobie to opowiadanie i, porwawszy się ze stołka, gości na wieczerzę zapraszać począł. Zapraszał z ukłonami, które były tak posuwiste i takich balansów i reweransów pełne, że im nigdy przestrzeni dosyć być nie mogło. Zrazu w małej izbie, potem w większej, gdzie tańczyć już zaprzestano, posuwał się z wielkiem szastaniem nóg od ściany do ściany, balansując rozpychał sprzęty a czasem i ludzi, podawał się cały naprzód, przez co tużurek jego przybierał formę napiętniejszej turniury, a przytém w siwych oczkach miał ciepły promień szczerzej dla wszystkich życzliwości i wyraz osobistej godności, nieznikający nigdy z rozszerzonego łysiną i gęstym rysunkiem zmarszczek okrytego czoła.

Nie wiem, czy kiedy znałam człowieka, któryby więcej pociągu czuł do wszystkiego, co chociaż w przybliżeniu nazwać się może sprawą publiczną. Zkąd w tym mieszczańinie, mało oświeconym i w grubiej fizycznej pracy życie pędzącym, powstała ta struna duszy, która przez wieki grała tu tylko w piersiach szlacheckich? Najpewniej poruszała ją ta ambicya i chęć wywyższenia się, których wyraz

uderzał w postawie jego, twarzy i ruchach. Niewątpliwem wydaje mi się jednak, że była ona czémś odrębném także, niby późnym owocem starego jakiegoś drzewa, przetrwałością z dawnych, innych czasów. Bywają niekiedy dziwne jakieś, mknące promienie w głowach ciemnością napelnionych, niewyraźne jakieś przecucie rzeczy wielkich w piersiach maluczkich. Są to sprawy natury i dziejów, działających przez odziedziczenie pradziadowskich dążeń i wzruszeń, przez wspomnienia głucho i niewyraźnie, lecz głęboko tkwiące w mózgu, przez jedno jakieś uczucie, nie nazwane słowem, lecz w pierś zapadłe bodźcem lub kolcem, przez jeden jakiś strumyk krwi odległego pochodzenia płynący w żyłach. Być może iż pradziad szewca Florentego, kiedyś, w jakichś momentach ważnych lub strasznych, z ciekawością w głowie a niepokojem w sercu, krążył około wielkiego gmachu wznoszącego się nad Niemnem, i sam w toczących się tam rozprawach udziału przyjmować nie mogąc, do rozbrzmiewających niemi murów przykładając cheiwe ucho, łowiąc ich echa, ze wzdętą piersią oczekując ich słów ostatnich. Być może, iż dziad jego, rzemieślnik tak jak i on, lekceważony ale potrzebny, pokorny ale pojętny, wchodził nieraz na pokoje tych, którzy w swych rękę losy publiczne ważyli, to i owo tam widząc i słysząc, nad czém później długo rozmyślał, co w nim budziło cześć albo wzdęty miłość lub

gniew. Być może jeszcze, iż ojciec jego ze wspomnień swego dzieciństwa i pacholeństwa wywoływał wiele rozgłośnych zdarzeń i imion, czyniąc z nich dla swych dzieci opowiadania tak długie, jak są długimi zimowe niedzielne wieczory. Któż dokładnie oznaczyć zdoła, z jakich szerokich pól pochodzą ziarna, które najniespodzianie kielkują w ciasných kątach. Drobnemi, nikłemi źdźbłami wyrastają tu one, lecz dajcie im przestrzeń widną, ciepło słońca, swobodną kąpiel w świeżych powietrznych prądach, a może z marnych jałoweów przemienia się w mocne buki, i nie blademi owsy! lecz złotą pszenicą okryją tę ziemię. O, biedne, szlachetne ziarenka wschodzicie w ciemnościach, wzrost macie karli i mało jest Kolumbów, którzy ku wam kierowali swe magnesowe igły.

Od wielu lat szewe Florenty przesiadywał dnie tygodnie i miesiące w swym zasobnym i nigdy nie próżnującym warsztacie, zgarbiony nad kopytem i pocięgłem, machając ręką, uzbrojona w szydło, prasując skóry galantem, obrzynając je kulisem, przybijając szpilardem, skrobiąc nożem i szklę, wygładzając raszpłem, polerując woskiem, a przy tém wszystkiém coraz więcej czerniąc i stwardzając skórę własnych krótkich i szerokich rąk. Przez mnóstwo dni, tygodni i miesięcy, okrągła, rumiana, jabłkowata twarz jego tak kureczyła się od wytężonego trudu, że stopniowo wytwarzał się na niej ten

gęsty rysunek drobnych zmarszczek, który ją teraz całą okrywał. Była to niby misterna siatka z cienutkich porwanych nitek, którą utkała i na zdrowe, czerstwe ciało jego zarzuciła długa i ciężka praca. Przy nim pracowali tak jak i on, synowie i pomocnicy jego; w izbie sąsiedniej gospodyni domu gotowała, prała, szyła; dorastające dziewczęta szyły, prały, haftowały w oczekiwaniu małżeństwa, zarabiając na własną rękę. Po grubój podłodze przechodziły tam i przebiegały boscie stopy; kobiety te w domu chodziły boso, w ubraniu krotkiem, luźném, sprzyjającém oszczędności i zarazem swobodzie ruchów. W przestankach zasiadali wszyscy dokola stołu, zastawionego grubém ale obfitým jadłem. Jadali tłuste i smaczne krupniki, barszcze z wieprzowiną, kasze nieprzenikalnej gęstości; w niedzielę i święta miewali pieczenie i pijali piwo i kawę. W niedzielę i święta warsztat był pusty i milczący; szewe Florenty z rodziną i odwiedzającemi go gośćmi przebywał w bawialnym pokoju, zwanym salą. Miewał wtedy na sobie obszerny szlafrok z materyi w kwieciste desenie, pantofle, które mu córka wyszyła na kanwie i fajkę z długim cybuchem w rękach. Odpoczywał na twardej kanapie, z ogromną żółtą poręczą, siedząc, albo leżąc, popijał kawę i częstował nią gości, a głowa jego podnosiła się najdumniej i czoło wyglądało się najpogodniej, gdy miał przed kim rozprawiać o rzeczach i spra-

wach poważnych, jako to: wyborach i urzędach gminnych, o porządkach i nieporządkach miejskich o interesach szewckiego zgromadzenia, którego był cechmistrzem, nakoniec i najbardziej o dostojęństwie i niezmiernej ważności ludzkiego rozumu.

Rozumnym zaś człowiekiem nie był w mniemaniu jego ani kupiec, w spekulacjach swych szczęśliwy, ani urzędnik niewiadomym mu sposobem na dostojność swą wyniesiony, ani ten, który posiadał wiele ziemi, ani ten, którego pierś polyskiwała srebrnemi i złotemi znakami zasług. Rozumny, znaczyło dla niego ten, kto wiele uczył się, i kto publicznie działał lub przemawiał. Do dzieci i gości swych mawiał:

— Doktor... uważacie? doktor, co ludzi w nie-szczęściu ratuje, adwokat... uważacie, taki, co jak językiem zamieje, to człowiekowi zdaje się, że mu aniołowie niebieskie pieśni zaśpiewali... ot to są ludzie... niech ich! człowiek by kawał życia oddał za krztę ich rozumu.

Potém z wyrazem głębokiego namysłu prawił dalej:

— Hm... panie dobrodziej... kto tam więcej? aha! uważacie? a te? co książki piszą! no, to już wszelkie pojęcie przechodzi, żeby taki rozum mieć! Przed takim to-by już człowiek, jak Boga kochem, i plackiem na ziemię padł.

Czasem wśród poważnych tych rozpraw śmiał

się do rozpuku z figlów i szczebiotu małej, delikatnej, świątecznie ustrojonej dziewczynki, która, jak rozpieszczone kocię, wila się po jego grubej kości-stej postaci, drobnemi rękoma targając mu szorstkie wasy lub głaszcząc łysinę. Potem, po świątecznych wizytach, traktamentach i rozprawach, w sali o dwóch okienkach przysłoniętych perkalowemi firankami i wazonami z mirtem i pelargonią, zapanaowała świąteczna także cisza. Na szerokiej twardej kanapie, w cieniu wysokiej drewnianej poręczy szarżała gruba, kwiecistym szlafrokiem owinięta postać głęboko uspiętego szewca. Z jednej strony głowa jego, oparta na włóczkowej poduszce, w białawym, zimowym zmroku świeciła rozszerzającą czoło łysiną i rumianością wydętych policzków, z innej nieruchomo sterczały dwie wielkie stopy w płaskich barwistych pantoflach. Śpiąc sapał, chrapał, gwizdał, a przy nim grubym i krótkim ramieniem jego objęta, równie głęboko jak on, tylko bardzo cicho usypiała śliczna i delikatna sierota „z wielkiej rodziny“, złote swe miękkie włosy rozsypując mu na szorstkie wasy, twarde ręce i kwiecisty szlafrok.

Jednak, ani dwa domki, nabyte za oszczędność całego życia, ani byt względnie dostatni, ani niedzielne rozrywki, zbytki i spoczynki, nie czyniły go tak doskonale szczęśliwym, jak jakakolwiek dana mu do spełnienia funkcyja publiczna. Raz,

niedawno temu, bo zaledwie przed rokiem, w sali sądowej, i w chwili poprzedzającej rozpoczęcie się sądowych rozpraw, siedząca obok mnie, przyjaciółka moja pochwyciła mnie nagle za rękę:

— Patrz! patrz! kto to? co on robi? czego on chce? — pytała szeptem zadziwionym i nawet trochę jakby przełęcznionym.

Zapatrzona w daleki punkt wielkiej sali, zwróciłam wzrok w kierunku jej spojrzenia i zobaczyłam szewca Florentego, który usiłował zwrócić na siebie uwagę moję ukłoniemi, nad wszelki wyraz uprzejmymi i uszanowania pełnymi; przed szeregiem na wpół jeszcze niezajętych przez publiczność ławek, wśród mnóstwa w różne kierunki idących i biegnących ludzi, z wlepionym we mnie wzrokiem, posuwiście i z głośnym szelestem nóg przesuwał się on przez całą prawie szerokość sali, od wysokości i wielkiej ławy sędziów przysięgłych, aż prawie do pulpitu, wznoszącego się przed ławką adwokatów, zwinnie wymijając wszelkie przeszkody, w różne strony balansując swą krępa i silną postać, z wyrazem dziwnej błogości na okrągłej twarzy. Nie mogłam zrazu odgadnąć, po co on tu przyszedł w dzień powszedni i dla czego tak sobie dumnie i radośnie poczyną, na czele wszystkiego i wszystkich... Wtedy dopiero, gdy z odgłosem dzwonka porządek zapanował w sali, z miejsc, które pośpiesznie zajął mój znajomy, domyśliłam

się, że należał on dnia tego do pocztu sędziów przysięgłych. O, zaszczycie i radości, jeszcze przecież niezupełne i niepewne! bo któż odgadnie tajemnice i bolesne nieraz ironie losu? Z trzydziestu sześciu wskazanych w tej chwili, a parę długich ław zasiadających ludzi, los, traf, wybrać mają imion dwanaście. Czy jednym z nich będzie jego imię? Szare oczki jego, bardzo w tej chwili błyszczące, z wytężeniem niezmierném ścigają rękę przewodniczącego sądowi, która podnosi się, dotyka urny, wstrząsa nią, zapuszcza się w jej głębią. Jednocześnie prawa ręka zapalczego miłośnika obywatelskich czynności podnosi się zwolna ku czołu, z czoła spływa na piersi, nieznacznie przesuwając się po obu ramionach, zarazem rumiane wargi jego poruszają się tajemnie, bardzo nieznacznie. Wierciecie ludzie, czy nie wiercie! przeżegnał się on i zmówił pacierz na tę intencją, aby go dziś spodziewana godność i praca nie ominęły. Wyrok losu zapada. Imię jego wraz z najskromniejszym na świecie mieszczańskim nazwiskiem rozlega się po sali. Wstaje, wstępuje na stopnie wysokości ławy i, zasiadłszy na niej, spogląda z wysokości swęj na publiczność, oczyma błyszczącymi jak dwie gwiazdy szczęścia. Spostrzega wkrótce kilku swych znajomych i poczyną witać ich skinieniem głowy, uśmiechami, mruganiem oczu. Widać, że zaszczyt, jaki go spotkał, ukazać by pragnął całemu światu. Po-

tém ostrzeżono go, że tych kiwań głową i mrugań oczyma z miejsca tego dokonywać niewolno. Tymczasem przecież uszło to jakoś wszelkiej uwagi, a skończyło się wtedy dopiero, gdy, po złożonej przysiędze, sędziowie wsłuchiwać się zaczęli w wytaczaną przed nimi sprawę. Wszyscy słuchali uważnie, ale najgłębsze skupienie ducha i najsilniejsze wyłączenie myśli widać było na twarzy tego szewca. Widać z niej także było, że treść i sens rzeczy przenikał dość pojętnie i że z dwóch najsilniejszych żądź jego istoty: wywyższenia się i działania, pierwsza doszczętnie znikła przed drugą.

Po srogiem zniszczeniu, któremu w piękny majowy dzień uległo to miasto, nikt przez całe dni parę, ani przypuszczał, że domki szewca Florentego zniszczonemi także zostały. Gdzie tam! Jakże to być może, aby dotknęło go wielkie, osobiste nieszczęście, skoro go wszyscy wszędzie widzą ruchliwym, niesłuchanie zajętym, pełniącym mnóstwo rozmaitych czynności, przywiązanych do dwu urzędów, które piastuje: radnego w zarządzie miejskim i urzędowego wobec władz przedstawiciela mieszczaństwa? Co dzieje się z szewcem Florentym? A nie; zapewne dobrze, bo widziano go, jak na dworcu kolei odbiera transporty chleba, przysłane przez sąsiednie miasta. Zapewne uniknął nieszczęścia, bo z rozporządzenia miejskiego zarządu wskazuje tymczasowe schronienia tym, których jedynym dachem zostały

obłoki niebieskie. Najpewniej uratował swe mienie, bo prawie od rana do nocy, z pomocą kilku innych ludzi, rozdaje tysiącom zgłodniałych talony na żywność, w którą je zaopatrzyło miłosierdzie ludzkie, lecz w której rozdzieleniu zachowywać należy baczny i ścisły porządek. Czyżby mógł tak biegać, rozporządzać się, pracować, tyle usług oddawać innym, gdyby sam cierpiał? Wiadomo przecież, że w cierpieniu takim, w którym człowiek nie wie, gdzie przed ciemnościami nocy schroni głowę swoją i swoich, ani czém z powstającym dniem jutrzejszym napełni żołądek swój i swoich, nikt o zmęczone głowy i głodne żołądki cudze troszczyć się nie może. A zwłaszcza taki sobie prosty, prawie ciemny, maluczki człowieczek! Gdzieby mu tam do takiego zapomnienia o niedoli własnej! Ot, siadł-by na swych gruzach i płakał albo złorzeczył, a potem wstał-by i szedł dla tego, aby rękę wyciągać, o pomoc prosić, zebrać... Jeżeli tak rusza się, pracuje, innym pomaga i o nie nikogo nie prosi, to pewnie dla tego, że mu się nie złego nie stało.

Dzień był czerwcowy, cichy i skwarny. W ulowie słonecznych światła, w strasznym upale, owiany gorącym pyłem wapna i popiołu, na środkowym placu spalonego miasta cisnął się tłum ogromny, tak ogromny i stłoczony, że głowy, twarze, kształty ciał, kroje i barwy ubrań, zlewały się w jedną, olbrzymią masę, której pojedyńczych cząstek ani

rozpoznać, ani nawet spostrzegać było niepodobna. Masa ta ani krzyczała, ani dokonywała żadnych gwałtownych ruchów. Leciał tylko od niej i w powietrze pełne kurzawy, skwaru i oślepiających słonecznych blasków wzbijał się szmer podobny do szumu rozbudzonej fali wodnej, monotonny, ciągły, głuchy, chwilami tylko przybierający brzmienia przeciągłego jęku. Powoli, z ciężkością i nierównością, cechującą poruszanie się przedmiotów, których składowe cząstki wzajem sobie drogę tamują i wzajem na siebie następują, masa ta parla się przez plac obszerny wciąż naprzód, naprzód, najściśliszszą, najniewyraźniejszą i najgłośniejszą szumiącą stając się w tym jego punkcie, gdzie w jakiejś starzej i nieobszerniej budowie, postradawszy swój gmach obszerny i ozdobny, działania swe tymczasowo pełnił zarząd miasta. Jednym z tych działań teraz najgwałtowniej niezbędnych, było rozdawanie żywności tym tysiącom, którym własne doszczętne оголоcenie i chwilowe ustanie tu wszelkiej pracy ludzkiej, groziły głodową śmiercią. Od dnia katastrofy, dwie doby zaledwie upłynęły, a już głód, lzy, choroba złożyły na kilkunastu tysiącach tych twarzy ludzkich swe kościste i blade piętno. Na placu, w ściśliwej i niewysłowienie pstrzej mozajce tłumu, piętna tego dostrzedz nie było można; natomiast czémś męczeńskim i czasem trupiém uderzało ono wzrok każdego, kto przeniknąć zdołał do niedużej,

nizkiej, brudnej izby, będącej tu teraz istotną ratunkową stacją dla tonących. W pobliżu ściany przeciwległej otwartym naoscież drzwiom, pomiędzy dwoma małemi oknami, których mętne szyby błękniały od błękitnego dziś jak turkus nieba, ustawiono niską, drewnianą baryerę, za którą, przy długim, prostym stole kilku ludzi pośpiesznie pisało, a kilku innych w stojącej postawie, również pośpiesznie rozdawało wązkie i długie kartki. Te kartki miały dla tych osób niejako znaczenie paszportów do raju, którym były składy przeznaczonej dla nich żywności, a pośpiech w ich rozdawaniu okazywał się tak koniecznym, jak ten tłum był wielkim i jak jest dla ludzi strasznym dzień, przepędzony bez chleba. Przez drzwi rozwarte naoscież wchodzili tu mężczyźni i kobiety, starcy i niedorostki, wszyscy z ręką wyciągającą się naprzód, z otwartemi od przyśpieszonego oddechu ustami, oczy zapadłe, szeroko rozwarte wlepiając w twarze stojących za stołem ludzi.

Jednym z ludzi stojących za stołem i rozdających owe małe i zbawcze kartki, był szewc Florenty. Od pierwszego spojrzenia poznać można było, że zawczoraj znajdował się on był w srogim ogniu. Surdut jego u piersi i na połach miał dziury różnych wielkości, ale wszystkie rudawą obwódką otoczone. Języki ognia liznęły mu nietylko ubranie, lecz w wielu miejscach i ciało: Lewa jego ręka owinię-

ta była płócienną, brudną szmatą, na prawej siniała i czerwienila się szeroka blizna; szyja, od konchy usznój aż po osmalony brzeg surduta, wydawała się odartą ze skóry. Czysto i nawet z niejaką starannością ubierający się zazwyczaj, teraz wyglądał na obdartusa, okaleczonego w jakiś burdzie, bo i na jednym z jego policzków wydatnie uwypuklał się siny guz od silnego uderzenia pochodzący, a przez część czoła i łysinę, biegła mu krwawej barwy kręsa. Zresztą, ów gęsty rysunek drobnych zmarszczek, który mu na twarz czerstwą zarzuciła była oddawna praca nad pocięgiem, nożycami, galantem i raszplem, zgęstniała teraz widocznie. Postarzał o lat kilka; małe siwe jego oczki głęboko zapadły i z głębin ocienionych kościstymi i włosistymi brwiami świeciły jak dwie małe, srebrne iskry. A świeciły one tak dla tego, że psychiczny stan, w którym znajdował się ich właściciel, był istotnym atakiem gorliwości i zapалу. W niskiej, niedużej i co chwilę przeludniającej się izbie, panowała nieopisana duszność i gorącość, na łysinę i czoło szewca występowały krople potu, którym też jak politura świeciły przyblakłe nieco, lecz jeszcze rumiane jego policzki; rany, blizny i guzy, sprawione przez ogień i uderzenia jakichś twardych przedmiotów w tę szczególniej spieca i kurzawie bolée go też musiały srodze. Ale on tego wszystkiego zdawał się nie czuć i może istotnie nie czuł, bo wielką, choć wielu

nieznaną jest władza czynnego ducha nad cierpiącym ciałem. Zdawał widziały, przypominał on owe dawne telegraficzne przyrządy z wiecznie i szybko poruszającymi się ramionami. Ramiona jego i całe zresztą ciało w nieustannym zostawało ruchu. Brał kartki od ludzi, którzy na nich szybko kreślili imiona i cyfry, podawał je mnóstwu wyciągających się nad baryerą rąk, wnet śpieszył po inne i ku innym, krótkimi urywanymi słowy napędzał do pośpiechu, tych gromił za natarczywość, owych łagodnie uspokajał, niby pokorny sługa tego tłumu; dogodzić mu, ucieszyć go usiłował.

Za mnóstwem innych ludzi, przez drzwi wciąż otwarte, weisnęła się do izby dziewczyna, w krótkiej spódnicy i wielkiej chustce, zarzuconej na głowę, a wpół tylko ukazującej twarz młodzianką i bladą, z dwojgiem błękitnych jak niezabudki, strwożonych i łzawych oczu. Poznałam w niej jedną z córek szewca Florentego, choć z tą przychudłą i pobladłą twarzą i w tém ubogiem ubraniu zaledwie zlekka przypominała ową dziewczynę hożą i roześmianą w weselną błękitną suknię, czerwonych koralach i różach. Dotknęłam jej ramienia; spostrzegłszy mnie, przyjaźnie skinęła głową, ale wnet znowu przez tłum dążyć zaczęła ku baryerze i stołowi. Pilno jej tam było dojść widocznie, jednak zatrzymałam ją znowu.

— Co z wami? — zapytałam z cicha.

— A cóż — odpowiedziała — to samo, co ze wszystkimi...

— Spaliło się?

— Ze wszystkiém.

— Gdzież mieszkacie?

— Na swoim gruncie. Wyratowaliśmy trzy ścianki...

— Jakto trzy ścianki?

— A tak... trzy ścianki jednej izby.

Mówiąc to, tłumaczyła słowa te giestami, rysując niby w powietrzu mały trójkąt, przyczém, wysunęła z pod chustki ręce czerwone, poplamione krwawemi szramami i sinemi bliznami. Widać było z tych rąk, że i ona także brała udział w bronienu owych trzech ścianek.

— Z dachem? — spytałam.

— Gdzie tam!...

— I czwartéj ścianki niéma?

— A z kądżeby była. Trzy tylko ścianki wyratowaliśmy od téj izby, co to, może pani pamięta, z warsztatu ojca na lewo...

— Aha! A warsztat ojca?

— A niéma.

— I narzędzia, zapasy...

— Niéma.

— Jakże?... pod temi trzema ściankami... bez dachu i czwartéj ścianki?

— To nie! Ale matka chora... paraliż ją tknął

z przestrchu, czy czegoś tam... albo ja wiem? Leży na gołej ziemi jak martwa.

— Na gołej ziemi? Czyż nie mieliście wcale pieniędzy?

— To co, że mieli? Troszkę mieli...

Tym razem przez przerzedzony nieco tłum żwawiej posunęła się ku baryerze. Tam stanęła i swe błękitne, wilgotne oczy w ojca wlepiła.

— Tatku — rzekła z cicha — dajcie talon na chleb.

Czy nie słyszał słów jój, albo téż słyszcć ich nie chciał? Jak wprzódy ramionami machał w prawo i lewo; od ludzi piszących do tych, którzy nad baryerą ręce wyciągali, przebiegał, kartki rozdawał, krótkie, urywane zapytania i odpowiedzi wymawiał, córki nie spostrzegając lub udając, że jój nie spostrzega. Ona po chwili powtórzyła głośnieij:

— Tatku, dajcie talon na chleb.

I wyciągnawszy nad baryerę rękę, schwyciła go za rękaw surduta.

— A co tam? czego chcesz? czego tu przyszłaś? — sarknął prawie gniewnie patrząc na nią i zarazem unikając jój spojrzenia.

— Talon na chleb dajcie... ani kruszyny w domu niéma.

Zdawało się, że na łysinę i policzki wystąpiły mu bujniejsze niż przedtém krople potu szare oczki z zagłębień swych rzuciły stalowe błyski.

— No — zaczął — idź sobie! prędko! marsz!
Co to? Talonu! talonu!... Żebraczka jesteś czy co?
Albo może ja żebrak?

Mówił te słowa głosem zdławionym, krztusząc się jakimś wewnętrznym kaszlem i podziurawionym rękawem surduta pot z łysiny i czoła ocierał. Oczy dziewczyny stały się więcej jeszcze wilgotne i trwożne niż wprzód. Głośniej już znacznie mówiła zaczęła:

— To cóż ja zrobię? Wszyscy jeść chcą... Za te trzy ruble, co mi daliście wczoraj rano, kupiłam matce koszulę na zmianę i trzy łokcie sukna do zasłania na ziemi, grubego płótna na koldrę, i troszkę herbaty...

Wyliczała-by wydatki swe dłużej jeszcze, ale ojciec ze zjeżonymi brwiami i takim już mnóstwem zmarszczek na twarzy, że wydawała się ona dziwnie zmalala i cała skurezona, sięgnął ręką za klapę surduta i po chwili wydobył ztamtąd rublowy papier.

— Na masz, idź sobie ztąd... Chleba kup, a dla matki bułkę, bo chora...

— Ale wydawajcie, tatku, pieniądze, wydawajcie!... A za co czwartą ścianę i dach zrobicie, i łóżko dla matki kupicie, bo doktor powiedział, że jak będzie na gołej ziemi leżeć, to wnet zamrze, i braciom odziać się trzeba, bo bez surdutów chodzą, i Zośka ma tylko jedną koszulę, i...

— Cicho bądź! — krzyknął prawie szewe i nie spokojnie obejrzał się dokoła. Lękał się, aby ludzie o terażniejszej nędzy jego nie usłyszeli, o! lękał się, aby nie usłyszeli oni, że dzieci jego koszul nie mają, a żona, jak żona żebraka, chora leży na ziemi.

— Dajcie talon — jęczała dziewczyna — przynajmniej chleba nie kupim... teraz taki drogi i nie wiedzieć gdzie po niego biegać...

Przez minut kilka ciężko ze sobą walczył, myślał, brwi i wąsy jeżył, sapał głośno i w ziemię patrzył. Nakoniec, ruchem powolnym, ciężkim schylił się nad jednym z piszących:

— Dla siedmiu osób — szepnął.

Kiedy oddawał córce kartkę na chleb, przez miłosierdzie publiczne rozdawany, w siwych oczkach jego zagasły całkiem świecące w nich przedtém stalowe iskry, a gdy dziewczyna z papierkiem w palcach szybko odeszła, stał jeszcze chwilę ze zwieszoną głową i opuszczonymi rękoma, z postawą i miną człowieka, którego obuchem w głowę uderzono. Nakoniec, szybkim ruchem zwrócił się twarzą ku ścianie i, przycisnąwszy oczy zwierchnią stroną swą oparzonej ręki, zapłakał krótko, ale tak, że aż się mu zatrzęsły szerokie i w téj chwili zgarbione ramiona. Zapłakał nad tém, że przyjąć musiał jałmużnę. Patrzenie państwo! Czy widział kto kiedy takiego dumnego szewca?

VII.

Jaskółki.

Niéma pewnie nikogo, ktoby nie doświadczał nagłych przypomnień rzeczy, oddawna opuszczonych przez pamięć i serce, niespodziewanych zmarłych wstań momentów, dawno pomarłych na drogach przeszłości. Momenty ważne, zdarzenia, co jak sny uderzeniami młotów losowi naszemu kształt jego nadały, główne motywy długiej pieśni życia są nam wiecznie przytomne i rozstać się z nami nie mogą, tak, jak nie może człowiek wyrzucić z siebie tego, co w nim zapala codzień weselne lub pogrzebowe pochodnie. Lecz drobne wypadki, małe sceny, wrażenia przelotne, związki szybko zerwane, które przecież kiedyś posiadały dla nas swój wdzięk lub swoją szpetność i zwilżały nam podniebienie kroplami miodu lub żółci, rychło płowieją, mdleją i na pozor znikają bez śladu. Zapewne jednak naksztalt

drobnych pyłków wkradają się one tylko w zakątki naszego mózgu, bo wystarcza niekiedy jednego, niewiedzieć z kąd przybyłego powiewu, aby je wywiać ztamtąd i wkrześć w pamięci z całą pełnią i barwą ich dawnego przelotnego życia. Powiewem takim bywa najczęściej jakieś drobne zjawisko zewnętrznego świata, wywierające działanie swe przez analogię rysów światła, dźwięku, woni. Dwa czémś do siebie podobne a wielką przestrzenią czasu rozdzielone momenty zbiegają się z sobą i niespodziewanie, nagle, krzeszą przypomnienie czegoś, o czém nie przypomnieliśmy sobie ni razu przez miesiące, lata, dziesiątki lat.

Jaskółki, które ogromném stadem latały nad zgłiszczami starego, wielkiego gmachu; barwy i blaski nieba, pod które z krzykiem i łopotem skrzydeł wzbijały się one, jedno z najwyższych okien tego gmachu, czarne teraz i puste jak trupia żrenica, przypomniały mi dawny, krótki, nigdy dotąd nie wspomniany moment nie tylko mojej przeszłości.

* * *

Była to po powrocie z pensyi pierwsza przyjaciółka moja. Obie nas uznano za dorosłe panny i jako takie w świat wprowadzono, choć naprawdę, byliśmy jeszcze dziećmi, mając niewiele więcej nad lat piętnaście. Traf zrządził, że łączyło nas mnóz-

two podobieństw i wspólności powierzchownych zresztą i głębi istot naszych nie sięgających, ale które podówczas wystarczyły do wykrzeszania żywój pomiędzy nami sympatii i zawiązania poufalego, pospolicie przyjaźnią nazwanego stosunku. Jednostajnego wzrostu, drobne i wątłe obie, miałyśmy jednostajny kolor włosów i oczu i jednostajną niezgrabność w długie suknie ubranych podlotków. Nietylko przecież nieukończony rozwój fizyczny sprawiał, że ruchy nasze, a potroszę i kształty przypominały młode gąski, po raz pierwszy puszczone na wodę. Jedna z nas tylko co opuściła klasztorną pensję, druga dom wiejski i wcale prawie nieuczęszczany. Moralne i umysłowe istoty nasze zostawały w fazie zaczątkowości, nieświadome świata, ludzi i siebie samych, najmętniejszém nawet przecuciem nieodgadujące przyszłych swych sił i przeznaczeń. Byłyśmy sobie do tego stopnia rówieśnicami, że przyszłyśmy na świat nietylko w jednym roku, ale i w jednym miesiącu. Miesiącem tym był maj, co ówczesni znajomi nasi brali za asumpt do wróżb szczęśliwych, albowiem jest to najpiękniejszy i najweselszy miesiąc w roku. Wprawdzie, naprzekór tym wróżbom, los uczynił nas współsierotami, mnie bardzo wczesnie ojca, jęj matkę odbierając; ale niezmiernie zajęte rolą dorosłych panien, któreśmy z rozporządzenia starszych odgrywały, nie myśla-

łyśmy o tém podówczas i nie miałyśmy żadnych smutków, któremibyśmy dzielić się mogły. Wzajemian, bawiłyśmy się wspólnie.

Dziwném się to teraz wydaje i obszernych objaśnień wymaga, ale faktem jest przez wielu jeszcze pamiętanym, że w przededniu najmniej pewno zabawnej epoki naszych dziejów dla całej licznej i możnej grupy ludzi, jedyném prawie hasłem i najwyraźniejszym celem życia, była: zabawa! Bawiono się wszędzie, zawsze, w sposoby najrozmaitsze i dla wszelkich możliwych pretekstów. Wizyty, obiady, wieczory, tańce, polowania, karty, majówki, kuligi, wrzały po wsiach i miastach. Dnie ciszy, skupienia i jakiegokolwiek pracy zdarzały się czasem, tygodnie bardzo rzadko, miesiące nigdy. Wiele rodzin, żyjących stale na wsi, przepędzało w mieście kilka zimowych miesięcy, że zaś przy nieistnieniu kolei żelaznych odległe podróże przedstawiały wiele trudności, miasta prowincjonalne napelniały się każdej zimy znaczną ilością tych przybyszów, salony i saloniki, przedstawiały codziennie widok strojnych, gwarnych, grających, śpiewających i tańczących zebrań, ulice roily się powozami i końmi, wnętrza kościołów płonęły często rześistém światłem, wśród którego tysiączne tłumy cheiwie spoglądały na widowiska wspaniałych uroczystości ślubnych. W tym gwarze i zamęcie, pośród panien, naprawdę już doro-

słych i towarzysząc im młodzieży, przed baczny i spostrzegawczy wzrokiem weteranek i weteranów, dwie młode gąski przesuwaly się zawsze razem, z lekliwie wyciągniętymi szyjami i oczyma szeroko otwieranemi przez niezmierną ciekawość świata, lub ukrywającemi się pod spuszczone powieki, przez wszystkie inne uczucia zwyciężającą nieśmiałość. Szczególnie i wyjątkowo już nieśmiałą była przyjaciółka moja Melka, która przez długie parę miesięcy po wyjściu swém w świat nie mogła tego wymódl na sobie, aby głośno i wyraźnie odpowiedzieć na jakiekolwiek zadane ję pytanie, albo prosto w twarz spojrzeć na przemawiającego do nię mężczyznę. Jeden z wesółych i lubiących facecye weteranów, sąsiad i dawny przyjaciel rodziców naszych, stał się z powodu tego zawziętym ję prześladowcą.

— Panno Melanio — mówił — niech pani na mnie spojrz! Proszę panią, niechże pani choć raz na mnie spojrz!

Nie nie pomagało. Powieki, wykrojone w międał i w długą rzęsę ślicznie ubrane, okrywały wciąż ję źrenice, a tylko na ściąglą twarz o delikatnych rysach i białej jak lilia cerze występowały żywe rumieńce. Sąsiad upierał się przy swojem i z zupełną powagą proponował:

— Panno Melanio, niech pani wyobrazi sobie, że jestem naprzykład ścianą i spojrz na mnie!

Biała twarz, zalana rumieńcem i wyrazem wielkiego zmieszania, odwracała się nieco od natręta, wąziutkie usta ściągały się i układały w kształt pączka ponsowej róży.

— No, to niech pani wyobrazi sobie, że jestem piecem i spojrz na mnie!

Śmielsza nieco i dawniej wesołego sąsiada znająca, z niecierpliwością ję szepnęłam:

— Spójrz-że już, spójrz! Co ci to szkodzi? Moja Melciu, spójrz-że!

Nakoniec powieki ję podjęły się zwolna, a duże czarne oczy nie przemknęły po twarzy natrętnego sąsiada, jak się można było spodziewać, przelotnie i trwożnie, ale utkwily w nią błyszczące i rozgniewane spójżenia. Zresztą, znajdowanie się w salonie tego piętnastoletniego dziewczęcia nie dawało o niem wyobrażenia prawdziwego. Gdy znikaly przyczyny załęknienia ję i nieśmiałości, stawala się wcale inną istotą. Na prośbę ję ojca, matka moja rozciągnęła nad nią owę bawiącą się zimę swoją opiekę i uczynila ją towarzyszką wszystkich moich występów w świecie. Przejazdki, w celu użycia świeżego powietrza odbywane, wolno mi było czynić bez towarzystwa starszych; z radością zatrzymywałam się przed mieszkaniem Melki, lotem strzały wbiegłam na schody, zdala i głośno wołając, aby ubierała się coprędzej i ze mną jechała. Najczęściej wybiegała naprzeciw mnie, lekka, ru-

miana, z zawiniętymi rękawami sukni, w gospodarskim fartuszk, z czarnym warkoczem niedbale opadłym na plecy. Porywała mię i wodziła po wszystkich zakątkach obszernego i dostatniego mieszkania swego ojca, ukazując przedmioty swych zajęć i małych kłopotów. Najstarsza z osieroconego po matce rodzeństwa, była tu ona gospodynią, a potroszę i wychowawczynią młodszych dzieci. Mieszkała się w sprawy kuchenne, kredensowe i edukacyjne z energią, której-by się w niej gdzieindziej ani domyśleć można; tworzyła plany urządzeń domowych, umebłowań, przyjęć, oszczędności i usiłowała je wykonywać z zapalem, który zdradzał istotne powołanie do uścielania gniazd domowych, do nadawania wagi i wdzięku zjawiskom i obowiązkowi powszedniego życia. Na stołach jej leżało mnóstwo ładnych i pożytecznych robótek, służący przychodzili do niej po dyspozycję i rozkazy. Pokazywała mi wszystko, opowiadała, wzywała rad moich co do zarządzania obiadami, przyjmowania ojcowskich gości, utrzymywania w rygorze dziesięcioletnich braciszków i sześciolletnich siostrzyczek. Wzajemnie, wszystkiem, co mówiła mi i powierzała, przejmowałam się szczerze i głęboko. Chwaliłam, ganiłam, doradzałam, — Boże, jakież to być musiały sądy i rady! Ale ona przywiązywała do nich wielkie znaczenie. Cała drobna, wątła postać i wszystkie rysy jej delikatnej twa-

rzy zostawały wtedy w ustawicznym ruchu. Kiedy zasmuconą lub zakłopotaną była, cienkie jej wargi zbiegały się w ten sposób, że wyglądały jak pączek ponsowej róży; kiedy się czém cieszyła, z czarnych jej oczu strzelały snopy złotych promieni; gdy wpadała w zapał, ramiona jej poruszały się żywymi giestami, ręce podnosiła ku głowie i koafiurę swą, pracowicie przez pannę służącą zbudowaną, tak niemi burzyła, że czarny warkocz falistym sznurem spadał na plecy, a loczki, które zwykle przysłaniały jej czoło, podnosiły się i stały nad niemi jak rozgniewane wężyki. Czasem przy tych wszystkich, bardzo poważnych rozprawach i naradach ogarniała nas taka ochota do swawoli, że zaczynałyśmy biegać po wszystkich pokojach, gonić się, grać w chowanego, śmiejąc się przytém tak, jak niewolno nam było śmiać się gdzieindziej: głośnie, długimi gamami śmiechu. Nie miewałyśmy wtedy ani wyciągniętych szyi, ani zbyt szeroko rozwartych lub lekliwie spuszczone ku ziemi oczu, ani sztucznie poważnych ruchów, przypominających nastrępienie i nieruchome skrzydła uczących się pływać gąsek. Biegając, zaledwie dotykałyśmy ziemi, a w głowach, pierśiach i na twarzach, czułyśmy upał najświeższej młodości. Gdy zdyszane niewiedziąc czém tak niezmiernie rozweselone, z rozrzuconemi włosami i wykrzywionemi kokardami eleganckich sukien

wbiegałyśmy do salonu, Melka padała na taboret, stojący przed otwartym fortepianem i pędkiem, szumnie poczyniała wygrywać polkę lub walc. Młodsze rodzeństwo ję, które w roli widzów i aktorów przyjmowało udział w gonitwach i grach naszych, uszczęśliwione rozpoczynało w takt ję muzyki różne skoki, z których ona koniecznie prawidłowe tańce uczynić pragnęła. I oto, zamieniałyśmy się obie w mistrzynie tańców, łącząc w pary chłopczyków i dziewczynki, nauczając je sposobów posuwania nóżkami w polce lub walec, kręcąc się wraz z niemi, i jedna drugą co moment przy fortepianie zastępując. Powóz, którym przybywałam, stał sobie i stał przed bramą domu; stangret, niestety, aby nie zmarznąć w ten dzień zimowy, z całej siły uderzał rękoma o piersi i boki, a myśmy się bawiły tak dobrze i wesoło, jak prawie nigdy nie zdarzało się nam bawić gdzieindziej. Potem, gdy, przypomniawszy sobie przejażdżkę, siadałyśmy obok siebie w powozie i jeździłyśmy czasem godzinę całą po ulicach miasta, dziw mię teraz zdejmuję na myśl, jak zupełnie byłyśmy nieświadome otaczającej nas ludzkości i doskonale dla niej obojętne! W mieście, podówczas bardzo ruchliwem i dość zamożnem, ludzie wszelakich stanów ruszali się, roili, szli, śpieszyli; myśmy jednak dla nich nie miały oczu, ani uszu, ani ciekawej lub współczującej uwagi. Ktokolwiek nie należał do koła znajomych naszych

i na widok nasz nie składał powitalnego ukłonu, nie istniał dla nas. Ani promyka wiedzy nie było w nas o tém, co ci wszyscy ludzie robią na świecie, jak żyją, myślą, czują i cierpią, i ani iskry chęci dowiedzenia się o tém. Gdyby podówczas ktokolwiek nam powiedział, że same kiedyś w ten tłum nieznany wpadniemy, zmieszamy się z nim, wraz z nim pracować, za niego cierpieć i walczyć będziemy; z jakimże zdziwieniem wyciągnęłybyśmy nasze szczupłe szyje i z jakim przestachem rozwarłybyśmy oczy... tak była doskonałą nasza nieznajomość prawdziwego, wielkiego świata. O świecie wielki, o świecie piękny, a przecież nieszczesny, który plyniesz oceanem niezliczonych i nieprzejrzanych w różnaitości swój zjawisk, jakże maluczkiemi i bez winy własnej śmiesznemi były te dwie twoje kropelki, ubrane w ciepłe futerka i białe kapelusiki, które, patrząc na cię, ani wiedziały, że cząstkę twoją stanowią, ani zapytywały czém jesteś, ani myślały o tém, co dla nich gotujesz!...

Tymczasem lubiłyśmy się coraz więcej i byłyśmy nawet gotowe do wzajemnych dla siebie poświęceń. Okazało się to wyraźnie dnia pewnego, w którym stoczyłyśmy z sobą wielką walkę wspólnaomyślności. Do miasta naszego przybyła z kąd cię słynna z doskonałości swój trupa dramatyczna. Nowe źródło zabawy, ciekawość publiczna rozbu-

dzona, radość powszechna wielka! Na półgodziny przed porą udania się do Teatru, powóz po Melkę wysłanym został, a ja toaletę swą ukończyłam. Z rozkazu mojej matki i z najwyższą swoją radością włożyłam suknię najpiękniejszego pod słońcem różowego koloru, a ubiór ten matka moja własną ręką uzupełniła kilku bledszemi nieco różami, potem popatrzyła na mnie z kilku różnych oddaleń i z zadowoleniem wyrzekła: Bardzo dobrze! Co do mnie, głęboko i z rozkoszą czułam, że to jest bardzo, bardzo dobrze, że jestem tak ładnie ubrana i z niecierpliwością oczekiwałam zjawienia się Melki. Wbiegła też niebawem strojna także i uszczęśliwiona, ale gdy nas witała, po sposobie, w jaki się ściągnęły brwi mojej matki, spostrzegłam, że dzieje się z nami coś niedobrego. Jednak, według mego, dość już w tych rzeczach doświadczonego zdania, ubiorowi Melki nie do zarzucenia nie było. Suknia jej posiadała najpiękniejszy pod słońcem kolor żółty, tak jak i bursztyny, które stroiły jej szyję i czarne włosy. Nagle, gdyśmy przy sobie stanęły, matka moja parsknęła śmiechem.

— Tożecie się dziś dobrały! — zawołała, — centyfolja i cytryna! Jeżeli w tych dwóch kolorach obok siebie siadziecie w łoży, ludzie nie z komedyi ale z was śmiać się będą!

Potem, poważnie już powiedziała mi, abym co

prędzej zmieniła ubranie. Narazie rozkaz ten sprawił mi takie wrażenie, jak gdybym teraz zmuszoną była ukryć na wieki przed oczyma ludzi najłepszą swoją powieść. Była to najpiękniejsza moja suknia, w każdej porze życia człowiek ma swego fetysza, i czém dziś dla nas jest dzieło myśli i najdroższych uczuć naszych, tém był zawczoraj gałganek. Musiałam pomimowoli skrzywić się, czy żałośnie mrugnąć powiekami, bo Melka lotem strzały wypadła z pokoju i, biegnąc ku wyjściu, wołała: — Ja przebiore się! ja! ja! ja! prędko, przedziutko przebiore się i wrócę!

Zawstydzona ofiarą, którą uczynić dla mnie chciała, bo wiedziałam, że ta żółta suknia była także oddawna przedmiotem jej marzeń, dogoniłam ją i powstrzymać usiłowałam. Ona bronila się, i koniecznie wracać chciała do domu, aby przebrać się w strój mniej świeży i pożądany, ale do mego stosowniejszy, mocowałyśmy się, jednocześnie mówiąc, zaklinałyśmy jedna drugą w imię miłości dla ojca i matki i wzajemnej naszej przyjaźni; zdaje mi się nawet, że zaczynałyśmy płakać, gdy matka moja zakończyła ten spór wspaniałomyślności stanowczém rozporządzeniem, aby Melka została i cicho siedziała, bo mnie to, jako będącej u siebie w domu, wypada czynić dla gościa wszelkie ustępstwa i ułatwienia. Przeciw wyrazowi „wypada“ rekursu żadnego nie było. Melka wiedziała o tém

bardzo dobrze, więc zasmucona nieprzyjęciem jej przyjacielskiej ofiary, została i cichutko w kątku usiadła. Gdyśmy potem z obu stron mojej matki siedziały w rzęsiście oświetlonej sali teatralnej, niezmiernie zaciekawione sceną, a w antraktach niezmierniej jeszcze zakłopotane skierowanemi ku naszej łoży spojrzeniami i lornetkami, w dwóch tych cichych trusiątkach, czasem garbiących się nieco ze zmieszania, a czasem płonących od różnorodnych wzruszeń, nikt-by nie poznał dziewcząt żywych jak iskry i swawolnych jak dzieci, jakimi byłyśmy.

Wszystko to trwało tylko kilka miesięcy, po których byłyśmy obie zaręczonemi. W krótkim przeciągu czasu, który zaręczyny nasze z uroczystością weselną rozdzielał, rozmawiałyśmy czasem z Melką bardzo poważnie. Gdy wypadkiem gości nie było i nigdzie zaproszonemi nie byłyśmy, przy słabém świetle jednej palącej się w pokoju lampy siedziałyśmy obok siebie; na niskich, pod ścianą stojących stoleczkach i powtarzałyśmy sobie wszystko, cośmy kiedykolwiek słyszały i czytały o przeznaczeniu i obowiązkach kobiety. Zrazu było to rodzajem wydawania przed samemi sobą lekcyi, której od pierwszych dni życia uczyłyśmy się na pamięć, lecz stopniowo w głębiach naszych istot mętnych i nieczego dokładnie nieświadomych, zaczynały powstawać ruchy samoistne i żywe, choć

błędne i bez stałego kierunku. Niewyraźne lecz poetyczne obrazy przesuwaly się, a raczej szybko mknęły nam przed oczyma. Te dwory wiejskie, do których uwieść nas miano, nieznane nam jeszcze, stawały przed wyobraźnią naszą, otoczone wszystkimi pięknościami i ponętami natury, a napelnione wdziękami i wykwiutami, o jakich tylko mogliśmy mieć najslabsze choćby wyobrażenie. Roiliśmy także o jakichś wzniosłych cnotach, dobrych czynach, których natury i formy nie określałyśmy sobie wyraźnie, ale, o których mówiąc, czułyśmy silniejsze uderzenia serca i pomimo woli ścisaliśmy sobie ręce. Były to zapewne echa, które, w tym ważnym momencie życia, przybywały ku nam od nauk, któremi napelniano nasze dzieciństwo, od zasłyszanych rozmów i kiedykolwiek przeczytanych książek. Zarazem przecież były to samoistne choć mętne popędy ku nieznanym jeszcze, lecz zdala dojrzanym wyżynom, belkotliwie jeszcze przemawiające odgadywania poetycznych, czystych, nawet bohaterskich rysów świata i życia. I znowu, wśród tych rozmów, w głowach i na twarzach czułyśmy upał najświeższej młodości a na strunach naszych piersi, niedobrze przez myśl określane i z trudnością wyrażane słowem, ale gorące nadzieje i porywy, grały pieśń o mnóstwie spletanych tonów, z których najgłośniejszym była wielka radość życia i wielka wiara we wszystkie jego

piękne obietnice i wzniosłe rozkazy. Naturalnie, że w takim nastroju ducha długo trwać nie mogliśmy i że rozmowa nasza wkrótce z uśmiechami i prawie z dziecięcym szczebiotem ślizgać się zaczynała po gałganach naszych wypraw i różnych błyszczących szczegółkach przyszłego, nowego życia. Jednak wracałyśmy często, choć na krótko do tematu: jakiemi będziemy i co czynić powinniśmy? Raz, nie wiem zupełnie jakim uczuciem przejęta, lub jakim echem natchniona, z energicznymi gestami przyrzekałam jęj i sobie, że zaraz po wyjściu zamaż uwolnię z poddaństwa włościan moich wsi posagowych; ona zaś, burząc swą fryzurę z loczkami, nakształt wyprostowanych wężyków stojącemi nad czołem, upewniała, że dom jęj musi być rajem dla każdego, kto w nim żyć będzie, że nigdy nikomu nie przykrego nie uczyni i nie powie, lecz owszem starać się będzie każdemu przychodzić z pomocą i pociechą.

— Bo widzisz — mówiła z takim gestem, jakby coś niewidzialnego porządkowała i pieściła — dom powinien być takim ładnym, cichym, wesołym gniazdkiem!...

Była ona moją druchną i po powrocie z kościoła w białej sukni i wianku z róż na czarnych włosach, nie wyciągając już szyi i nie spuszczać oczu, zapamiętała tańczyła z wysokim pięknym człowiekiem, który ją miał za kilka tygodni poprowadzić

przed ślubny ołtarz. Wnet potem wyjechałam w dalekie strony i przez lat kilka ani razu jęj nie widziałam.

* * *

Po kilku latach, w roku 1864 wróciłam do rodzinnych stron swoich i zaraz, przybywszy do tego miasta, od kogoś ze znajomych dowiedziałam się o Melce rzeczy bardzo podówczas codziennych i pospolitych, lecz zawsze zasmucających. Wskazano mi jęj mieszkanie; pobiegłam tam natychmiast i wkrótce wstępowałam na schody wielkiego, kilkopiętrowego gmachu. Był to gmach, noszący historyczne, wspaniałe imię, niegdyś królewski, ale podówczas w tak wielkim opuszczeniu zostający, że bardzo ostrożnie i powoli wstępować należało po jego na wpół spruchniałych, brudnych, pod stopami chwiejących się, trzeszczących i zapadających się schodach. Nad schodami wysokie sklepienia majaczyły w cieniach mnóstwem strzelistych i łagodnie zaokrąglających się łuków; gdzieniegdzie szczupłe światło mętnego okienka padało na szczytki spłowiwałej rozety lub arabeski; u załomów schodów zwieszały się w powietrzu nawpół od ściany oderwane torsy i figurki bez głów i nóg, albo z twarzami, które przez czas i zniszczenie starły się w płaską i chropowatą powierzchnię. Z obu stron czarne ciemności napępniały głębokie framugi, a z za ścian

grubych i próchniejących drzwi dochodziły śmiechy i śpiewy żołnierzy, którym tu wyznaczono tymczasowe miejsce pobytu. Mnóstwo też ich spotkać było można na schodach; wstępowali i zstępowali, prowadzili z sobą z piętra na piętro głośnie rozmowy, nieśli w wiadrach zawieszonych na drągach wodę lub żywność, której wyziew, w połączeniu z dymem najpośledniejszych tytoniów, napelniał to miejsce ostrą i odurzającą wonią. Wyżej żołnierzy już nie było, tylko przemykały czasem ciche i szybkie postacie kobiet otulonych w duże chustki, kłapiących po schodach podartymi trzewikami, albo i całkiem bosemi stopy, niosących w ręku węzélki z bielizną, garnki napelnione niesioną gdzieś strawą, dzbanki i wiaderka do czerpania wody. Widać było, że te wyżyny napelniała jakaś bardzo biedna przeważnie kobieca ludność, korzystając z niezmierniej taniości mieszkań w tym zrujnowanym, smrodami i krzykami napelnionym, lecz dogodnie, bo w środku miasta położonym gmachu. Zdziwienie moje, prawie przerażenie rosło z każdym krokiem. Tu więc znaleźć miałam Melkę...

Nakoniec na piętrze najwyższém otworzyłam drzwi, ukazane mi przez wysoką i bosą kobietę, w grubej koszuli i krótkiej spódnicy, która od początku wstępowała za mną na schody, z wielkim koszem na plecach napelnionym bielizną, a teraz za mną także weszła do wskazanego mieszkania.

Znalazłam się w pokoju dużym, kościelnej prawie wysokości i u szczytu zamkniętym wspaniale i głęboko sklepieniem sufitem. Zrazu dostrzedz tam mogłam tylko ten sufit niezmiernie wysoki, łamiący się w harmonijne fugi i wgłębienia, prawie zupełnie czarny od starości, a także pod stopami podłogę z grubych przegniłych desek, brudną, zalaną strugami wody i mydlin, zarzuconą kupami mokrych płócien. Zresztą, powietrze było tu tak napelnione parą ulatującą z kilku wielkich i wrzątkiem napelnionych balii, a także dymem wyrzucanym przez ognie, płonący w ogromnym kominie, że okna przeciwległe drzwiom, któremi weszłam, wyglądały jak dwie białawe plamki, a poruszające się około komina i balii kobiety, miały pozór niewyraźnych, bosonogich i rozczochranych widm. Kobiet tych było tam kilka. Szorowały one w baljach bieliznę, wyciskały z niej wodę, skręcały ją w grube sznury i stosami układały na podłodze i stołkach, rzucały w płomienie żelazne dusze, wodziły po deskach rozpalonemi żelazkami, z których wychodził ostry swąd węglowego kwasu i łączył się w powietrzu z parą wrzątków, smrodem mydła, krztuszącym dymem i nieznośnym, w pot i omdlenie rzucającym skwarem. Była to więc pralnia, pełna spotniałych i rozognionych twarzy, piersi głośnie dyszących, rąk czerwonych i ociekających szaremi płynny, a przytém rozmów swarliwych, czasem wy-

buchających klótnią, czasem rozlegających się grubym śmiechem, lub stapiających w długi monolog pojedynczego głosu i ustępujących przed milezieniem, napełnioném pluskaniem wody, trzaskiem ognia, brzękiem żelazek, klekotem dłoni trzępiących płótno, stękaniami, wydobywanemi z bark od wielu godzin zginanych, lub z piersi łaknących powiewu świeżego powietrza.

Tu więc znaleźć miałam Melkę...

Gdy się trochę lepij w tém miejscu rozejrzałam, spostrzegłam rodzaj przepierzenia, utworzonego z cieniutkich desek, wysokością swą nie sięgających jednej trzeciej wysokości pokoju. Był to raczej rodzaj parawanu, brzydkiej zielonawej barwy, który odosabniał małą część tego pokoju bardzo zresztą niedostatecznie, bo niskie i cieniutkie jego deski przedziały szerokie szczeliny, a zamiast drzwi, miał on u swego końca wązki wprawdzie, lecz wszelkiego zamknięcia pozbawiony otwór. Przez ten otwór weszłam do miejsca bez nazwy, ale które najwłaściwiej można-by nazwać długą i wąską szczeliną, zaopatrzoną w jedno okno i tém osobliwszy kształt posiadającą, że jedna ję ściana była niezmiernie wysoka i prawie czarna, druga niziutka i zielonawa a u szczytu wznosiły się wspaniałe, głębokie sklepienia, z majaczącymi liniami ciemnych łuków i wgłębień i z błyszczącym w jednym miejscu, pozostałym z prastarych i znikłych ozdób

ułamkiem złoczonego szlaku. Wszystko to ogarnęłam jednym zaledwie rzutem oka, bo z nad stołu, piętrzącego się różnokolorowemi włóczkami i mnóstwem innych przyborów do ręcznych robót, szybko i z krzykiem powstała szczupła postać kobieca i rzuciła mi się na szyję.

Szczupłą była zawsze, choć przez minione lat kilka zmężniała trochę i wykształtniała bardzo. Wzamian, od ciemnej i ubogiej sukni twarz ję odbijała prawie przezroczystą białością wielkich cierpień, a z pod czarnego warkocza nie wymykały się na czoło dawne figlarne i co chwila buntowniczo powstające loczki. W cieniu dwóch gładkich i czarnych pasm włosów, czoło to było zamyślane i dziwnie na ję wiek zestarzałe, bo legły już na niem cieniutkie i długie linie, zaczątki zmarszczek. Po pierwszej uciezce powitania i kilkunastu gorączkowo zamienionych pytaniach i odpowiedziach, z dawną żywością ruchów, tylko bez dawnych głośnych śmiechów, zaprowadziła mię w głąb tę szczeliny i pokazała trzyletniego syna swego, głęboko w te ciężkie popołudnie letnie uśpionego na matczyném łóżku. Dziecko było ładne, złotowłose, rączki szeroko w śnie rozrzucało, świeże wargi wydęło i, choć z kolei złożyłyśmy na nich pocałunek, nie obudziło się weale.

— Jak dwie krople do ojca podobny... Pamiętasz go? Był bardzo przystojny, nieprawdaż? Teraz

schudł i postarzał... Jaka to szkoda, że zobaczyć się z sobą nie możecie!

Jak niegdyś w cichym i łagodnie oświetlonym saloniku, tak i tutaj w tej dziwnej szczelinie usiadłyśmy pod ścianą przepierzenia na jakiś niziutki ławce. Przepierzenie ani trochę tłumić nie mogło rozlegających się za nim hałaśliwych rozmów praczek i różnorodnych odgłosów ich pracy; górą płynęły i czasem aż w twarze nam buchały pary, dymy i przerywające je złote błyski ognia. Myśmy cicho mówiły sobie, że szybko zmieniły się czasy, że straszna burza zmaciła nasz świat i w niepojęty odmet wpadły dnie naszej młodości. Ona mi opowiedziała, jak ładnym i szczęśliwym było jej gniazdo, jak nagle zniszczonem zostało i jak ona z tém dzieckiem swoim wypadła zeń tu, na bruk miejski, pomiędzy tłum ludzi, którego dawniej ani знаła, ani poznawać próbowała, a z którym teraz jednostajnie żyje i pracuje. Z praczkami temi mieszka, a raczej kącik ten od nich wynajmuje, naprzód dla tego, że jest bardzo tanim, a potem i najwięcej może, że jedna z tych kobiet była kiedyś sługą domu jej ojca. Przytuliła się do niej niejako, za opiekunkę swą ją wzięła... zawsze to jest ktoś swój dawno znany... Z ojcem być nie może, bo tu ją przykuwają uczucia i obowiązki, a i on zresztą, z kilkorgiem młodszego jej rodzeństwa popadł w wielkie kłopoty, dopomagać jej może

mało, pisuje tylko często. Majątku już nie ma weale, zarabia na życie wyrabianiem różnych przedmiotów z włóczki i bawełny, haftowaniem, szyciem, jak się zdarzy. Szczęściem to jeszcze dla niej, że to wszystko umie, ale lubiła zawsze ręczne roboty. Umie też trochę gotować i sama sporządza pożywienie dla siebie i dziecka, szczególnie dla dziecka, tam u ognia, palącego się wiecznie na kominię praczek. Jada prawie to samo co praczki i pracuje tak samo jak one, innym tylko sposobem ale tak samo, od świtu do nocy prawie. Dwa razy na tydzień chodzi do więzienia, gdzie przebywa godzinę, zresztą, nie wychodzi nigdzie, bo i ochoty do tego nie ma i oszczędza obuwie i lęka się przebywać schody prawie ciemne, przegniłe, pełne ludzi nieobyczajnych i palących okropny tytuń. Jak długo przyjdzie jej żyć w ten sposób i co z nią stanie się potem, w najmniejszym stopniu przewidywać tego nie może...

Tak mi się ona zwierzała bez krzyków i wyrzekań, nie łamiąc dłoni, ani szlochając, cierpliwa i cicha. Tylko jej małe ręce nieruchomo spłotły się na ciemnej, ubogiej sukni i na schyłym czole wyraźniejszymi stały się cieniutki i długie linie... Ze swjej strony nie miałam jej do powiedzenia nic wesołego. Szczęśliwsza od niej tém, że pod starym dachem pójcowskim schronienie znalazłam, nie miałam już także swojego gniazda i na krót-

kiój drodze wiele swego bezpowrotnie pozostawiłam. Potém, powstawszy, stanęłyśmy przy oknie, którego szyby przez lat mnóstwo płókanie przez słoty i palące się w słońcu zmętniały i mieniały się przygasłemi barwami tęczy. Melka otworzyła je naościę. Nizko pod sobą ujrzałyśmy główny, środkowy plac miasta i początki kilku wypływających zeń ulic. Jakże odmienną postać przybrały te miejsca z tą, w jakiej ukazały się nam owe zimy zabaw i pustot, owój pierwszej zimy naszego życia w świecie! Nie było teraz ani pięknych i licznych powozów i zaprzęgów, ani sklepów, napelnionych tłumami kupujących, ani okien, których wewnętrzne ozdoby zapowiadały mieszkania pełne dostatku i wykwintu. U schyłku tego letniego dnia panowały tu wszędzie cisza i martwość, z suchego bruku ulic wiało skwarem i znużeniem; znużonym krokiem przebywali je rzadcy przechodnie, kilka dorożek ze śpiącymi dorożkarzami i drzemiącemi końmi nieruchomo stało u stóp gmachu. Wyżej za to, wysoko, pod błękitnym niebem, olśniewająco igrały wszystkie linie, barwy i blaski górne. Obłoki śnieżne, srebrzyste, różowe jak rubiny, opalowe tęczami nalane, złotem obrębione, wydłużone nakształt powiewnych szat, w regularne i wypukłe owale porzniete, postrzępione i przezroczyście jak podarte krepy, skrzydlate jak ptaki, płynęły górą, pojedynczo lub gromadnie, goniąc się,

zlewając z sobą i rozdzielając znowu, niby radośne i świetne geniusze wolności i blasku. Zapatrzyłam się na tę szczęśliwość podniebną, aż uwagę moję zwrócił szelest ptasiego skrzydła, które tuż przed moją twarzą przeleciało. Była to jaskółka z łupem w dziobie, wracająca do uwitego pod gziemsem gniazda. Spostrzegłam zaraz, że nie była ona jedną, ale, że było tu ich mnóstwo. Przypatrzwszy się dostrzegłam nawet wiele gniazd, pouczepianych do wszystkich gziemów i framug; daleko więcćj zostawać musiało niewidzialnemi, ale istnienie ich zdradzał wirujący dokoła budowy prawdziwy rój ptasi. Ze swém podłużném ciałem, białemi pierśiami i czarnym szafirem skrzydeł, spadały one niejako z góry, albo wznosiły się w górę, odlatywały trochę, wnet wracały, zakreślały w powietrzu koła i zwroty, zwieszały się nad gniazdami, karmiąc małych, albo siadały na gniazdach, okrywając je ciepłem drgających skrzydeł. I tak jak w chórach niebieskich obłoków, dziwna lotność i wesołość panowały w tym ptasim narodzie.

Długo patrzałam na ptaki, z radośnym szczebiotem krążące dokoła gniazd swoich; Melka patrzała na nie także. Potém spojrzaliśmy wzajem na siebie i z piękącemi łzami w źrenicach, jednomyślnie rzekłyśmy obie:

— Szczęśliwe jaskółki.

*

*

*

Po wielu latach, znowu o schyłku pięknego dnia letniego, szłam ulicą, prowadzącą ku owemu staremu gmachowi, teraz bezludną i cichą jak grób. Lecz był to grób upalny, duszny, z dwu stron opasany wysokimi ścianami, a za wieko mający długi pas błękitu, po którym płynęły niebieskie dyamenty. Dołem słał się wązki szlak gorących kamieni, okryty warstwą popiołu i garbami gruzów, a wysokie ściany stały z obu stron jego bezludne i nieme; z rozwartymi szczerbami swych nagich wierzchołków, z niedoścignionymi okiem rzędami martwych otworów. Powierzchnie ich pałały czerwonością ogołoconych cegieł, wśród której rozwierały się próżnie szerokie, napelnione ciemnością, pełną majających i powikłanych zarysów zniszczenia. Zewsząd tu wiało śmiercią i pustką; na warstwie popiołu okrywającej kamienie, nie było nawet śladu stóp ludzkich. Nikt tedy nie chodził i nie przejeżdżał, bo droga ta do niczego już i do nikogo nie wiodła. Może jakieś ocalałe myszy przebiegały jeszcze spodem téj mogiły; tłum ludzki, który ją przedtém napelniał, wyparły ztąd furye ogniste i ptaków nie było; spłonęły albo frunęły daleko, bo gdzież-by żyć miały, gdy przez rozwarte próżnie wyzierały gdzieniegdzie suche, sztywne, zezerniałe skielety pomarłych drzew.

Jednak nagle o słuch mój uderzył ogromny krzyk ptaków i szumny łoskot ich skrzydeł. Spoj-

rzałam w górę. Al! dom Batorego! Ta sama ściana, którą niegdyś dziecięcym oczom moim ukazywała pomarszczona dłoń mojej babki! A tam wysoko, to okno, przez które niegdyś dwie młode kobiety, z sercami pełnemi ruin przyglądały się szczęściu jaskółek. Ale teraz i jaskółki już gniazd swych nie mają. Ogromném stadem wzbily się nad wierzchołki ścian nagich, wyzębionych, obleczonych w ponurą czerwoność i wyprawiają w powietrzu zawrotny taniec rozpacz. A powietrze tam w górze takie przezrocze i czyste jak kryształ: drgają w niem złote iskry i unoszą się dwie wielkie gromady. Wyżej, we wdzięcznej i lotnej gonitwie igrają obłoki śnieżne, srebrzyste, różowe jak rubiny, opalowymi tęczami nalane, złotem obrębione, niby radośne i świetne geniusze wolności i blasku. Niżej ptaki czarne, zdjęte szaleństwem bólu i trwogi szukają swych gniazd zburzonych. Było ich mnóstwo. Jedne latały wciąż wokółko, wokółko, z rozwartych dziobów wydając przeciągłe wołania; inne wzbijały się wysoko, jakby swą skargę pod błękity nieść zamierzały, lecz wkrótce, z obwisłymi skrzydłami, spływały ku dołowi, na ostre kanty padając białymi piersiami. Były też takie, które z wydłużoną szyją zaczynały lecieć kędyś w linii prostej, naosłep, i błyskawiczny zwrot czyniąc w powietrzu, niewiedzieć dla czego i poco znowu wracały tam, dokąd ich przyciągała niezmienna siła

pamięci. Nad ruinami te nieszczęsne ptaki wydawały się falującym skrzydlatym całunem. Wydawały się one jeszcze wojskiem, rozbitém przez siłę przemożną i z resztkami niewygasłego męstwa, obiegającym pole straconej bitwy...

ZA DOLINĄ RÓŻ.

W kwitnącym sadzie, jak w mlecznej topieli, stał ten domek stary, szary, trochę krzywy z jednym kominem i małym gankiem, przed którym siedziały nadęte krzaki piwonii i stały się pulchne drobną zielenią nakrapiane zagony warzywne. Nizki mech, zielony i brunatny, który strzechę domu porastał, blask słońca zmieniał na połyskliwy pyszny aksamit. Nad tą strzechą, z blado-zielonych gałęzi wiązu, idylla ptasich śpiewów wzbijała się pod błękitne niebo; wzdymało ją niekiedy słodkie gruchanie oblatujących komin gołębi, lub przerzynało ostre, długie pianie koguta, którego pióra z za niskiego płotu, na młodej trawie podwórka, świeciły purpurą i złotem. Z jednej strony domku i z drugiej wiał się na znacznej przestrzeni pas tak samo kwitnących sadów, wśród których bliżej do drogi lub dalej od niej, większe, mniejsze, starsze, nowsze, stały takie same domki, z takimi samymi aksamitnymi płachtami mechu na strzechach, gdzieniegdzie ze złocistymi w słońcu łatami świeżej słomy. Było

ich kilkadziesiąt, a nad każdym prawie podlatywały stada gołębi i płynęły z kominów srebrne wstęgi dymu.

Ale domek pod wiązem, najgłębiej od drogi cofnięty ku brzegowi wązięk, krętęj, z za domków i sadów stalowo pobłyskującej Swisłoezy, tworzył z niskimi płotkami swemi wyosobnioną, w tój szlacheckiej okolicy, zagrodę, jakby na tle rozległego obrazu wyraźnie odrzynający się szczegół.

Tego kwietniowego poranku po raz pierwszy zobaczyłam tę nadświsłocką okolicę i poznałam właściciela tój zagrody. Stał on w sadzie, tuż przy domku, plecami oparty o gruby pień wiazu, w postawie zupełnego spoczynku i spokoju. Wysoki, barezysty, w kapocie, której poły opadały na zrudziałe cholewy obuwia, w czworokątnej czapce, baraniem futrem oszytęj, zdala już wyglądał na silnego wyrobnika ziemi, na oracza i siewcę tych pól szerokich, płaskich, które, miejscami ciemne jak chleb razowy, a miejscami od młodej runi szmaragdowe, cicho teraz drzemały pod złotym płaszczem słońca. Zdala już widać było, że z pod brwi nawisłych wodził on oczyma po tych polach spokojnie i pogodnie. W nieruchomości jego było coś z pogody i wspaniałości siły, spoczywającej po pracy. Na jednej dłoni łokieć opierał, a drugą trzymał przy ustach krótką fajkę, z której ulatujący dym błękitnawy, nad baranią jego czapką czepiał się

młodych gałązek drzewa. Kiedy ścieżką pod płotkiem biegnącą, a potem pasem murawy, przez koła zbrudżonym i sad przeżynającym, zbliżałam się ku niemu; na pozdrowienie moje odpowiedział grzeczném pozdrowieniem i lekkim podniesieniem nad głowę czapki, którą wnet przecież osłonił znówu siwiejące swe włosy i czoło poprzecznymi zmarszczkami zorane. Widok osoby obcej i nieznanęj nie zmieszał go, nie uradował, ani przykrości mu żadnej nie sprawił.

Wśród tych płotków, które z zagrody jego czyniły osobne królestwo, pod tém wysokim drzewem, ręką któregoś z pradziadów zasadzoném, był uprzemym, ale zupełnie spokojnym. Siwe jego źrenice czyste i błyszczące, z trochę tylko ciekawości przesunęły się po mojej twarzy, poczem, zaraz gościnnie wskazał spory płaski kamień, tuż przy chrapowatęj ścianie domku leżący:

— Proszę usiąść i spocząć, — zaprosił.

Fajkę, z której popiół wytrząsł, do kieszeni kapoty schował; stopą zdeptał kilka na trawę upadłych iskier. Potem ręce poniżej piersi złożył i wtedy dopiero, na tle ciemno-brunatnej kapoty ku sobie zbliżone, przykuć one musiały do siebie wzrok i uwagę patrzącego, bo wyglądały daleko mniej na zwykłe ręce ludzkie, niż na symbol lub hieroglif. Wyglądały one na symbol czegoś potężnego i niezmordowanego, a jednak dziwnie sté-

ranego, wykoszlawionego i zezerniałego; na hjeroglif, który w swych boleśnie połamanych linjach, zawierał jeden z wiekuistych wyrazów ludzkiego losu. Widać było, że z pracowni natury wyszły one kształtne i nawet niezbyt wielkie, ale teraz ze skórą ziemistą, a tu i owdzie cegląstą barwy, z żyłami podobnemi do sinych powrozów, z mnóstwem dziwnych blizn i węzłów na palcach, niby plamami wapna białą paznogi u końców świecących, przypominały one żelazo lemieszy, ostrza kos, twarde grudy ziemi, srogie wichry, upały, zamiecie i długie, długie już przeżyte lata. Wogóle, zbliżka wydawał się on daleko starszym niż zdaleka.

Około sześćdziesięciu lat mieć musiał. Reszta wielkiej, snadź niegdyś siły, utrzymywała mu jeszcze ciało w liniach prostych i wyniosłych, ale poniżej karku plecy jego były już przygarbione, a oprócz tych fałd, które pod opadającemi na nie siwującemi włosy, przerzynały mu czoło, dwie inne, głębokie, rozdzielały ściągłe policzki od oczu z pogodną i czystą źrenicą, aż do ust bladych, trochę filuternie uśmiechających się pod krótkim i jeszcze płowym wąsem.

Kiedy uczynił parę kroków i grzecznie połą kaptoty ocierał pył z kamienia, na którym usiąść miałam, spostrzegłam, że stopy jego ciężko i powoli odrywały się od ziemi, i że zbyt krótki oddech grał mu w szerokiej piersi lekko skrzypiącą chryp-

ką. Jednak nie znać było po nim weale, aby cierpiał. Plecami znowu oparł się o drzewo, i z filuternym uśmiechem, zapytywał mnie o miasto, z którego przybyłam. W filuterności tej było coś trochę i łagodnie urągliwego.

— Przyznam się pani, — mówił, — że mnie i zrozumieć nie łatwo, jak ludzie po tych miastach wyżyć mogą. Spojrzawszy, zdaje się, że tam i pięknie, bogato, wesoło; w oknach różne towary błyszczą, na ulicach muzyczki grają. Ale zato ścisli, huki, tłumliwość taka, jakoby gąszcz leśna i nieprzenikniona... A smrody, aż obłoków prawie nie widać! A jeden drugiego ściga, popycha! Żeby tak długo, to człowiek, zdaje się, albo-by ze wszystkiem zgłupiał, alboby go z pochurności i smętku nieprzyrodzona śmierć spotkała...

Mówił powoli, z rozważą, z uśmiechem; gdy wspominał o obłokach, przelotnie spojrzenie ku niebu rzucił. Kiedy, odpowiadając, mówiłam o różnych, złych i dobrych stronach życia wiejskiego i miejskiego, parę razy potwierdzając głową skinął.

— Rzecz to pewna, — zaczął znowu, — że od smętków i trudności nigdzie na tym świecie człowiekowi ubiedz nie można. Głogowe drzewo na wszelkiej ziemi rośnie, a czy to w mieście czy na wsi, nikomu ptaki same do garści nie lecą. Ale zawsze tu lepiej. Może to i od uzwyczajenia zależy,

że człowiek na wsi, a osobliwie we własnym zaciszku żyjący, nawet w smętku i umęczeniu, łatwiej sobie pociechę i miłe odpocznienie znajdzie... Czy pani da wiarę, że kiedy ja nieboszczkę żonę swoją utraciłem, i myślałem, że z żalu za nią duszę wyzionę, to mnie ot te drzewo i te ptaszki, co w jego gałęziach śpiewają, i te pólko, które trzeba było codzień to z pługiem, to z broną nawiedzać, przy życiu i rozumie ostać dopomogły?

Trochę zmieszany umilkł.

— Człowiekowi prostemu trudno to wszystko, co czuje, wypowiedzieć,—dokończył,— a osobliwie na starość i język robi się ciężki.

Uważnie, ciekawie przysłuchiwał się temu, co o paru wielkich miastach opowiadałam, a gdy umilkłam, zaczął znowu:

— Mało ja o tém wszystkiém wiedzieć mogę, bo, nie wstydząc się, powiem pani, że przez całe życie, dwa razy tylko przyszło mi prawdziwe miasto nawiedzić, raz w kawalerskich jeszcze czasach z fantazyi i ciekawości, drugi raz, z chora żoną, do doktorów. Do miasteczek często gęsto jeździć wypada, to na targ albo kiermasz, to za różnemi tam interesami, do kościoła też uczęszczam, krewnych nawiedzam, ale to wszystko w bliskości o milę, o dwie, najwięcej zaś kiedy o trzy... A dalej, to tylko dwa razy w życiu mojem wyjeżdżałem. Nieboszczka moja żona do Ostrejbramy piechotą cho-

dziła; ja nie. Mnie i tu do Pana Boga pomodlić się dobrze: czy to w polu, czy pod tém drzewem, czy też kiedy rankiem jutrzeńka z nad wody wychodzi, a ptaćtwo i żywioł wszelki po swojemu Pana chwalić zaczyna.

Z zamyśleniem, ciszej, po niebie, trawie i kwitnących drzewach wzrokiem wodząc, dodał.

— Wszędzie jest Pan Bóg... w niebie, na ziemi...

— W sercu uczciwego człowieka... wtrąciłam.

Przyjaźnie na mnie popatrzył.

— A tak, sprawiedliwie pani powiedziała. Uczciwość, to najpierwsza i najważniejsza religia, a kto uczciwy, ten Boga w swoim sercu ma...

Dziwny blask cichego zadowolenia, prawie szczęścia, zajaśniał mu na sfaldowanym czole, z którego na chwilę czapkę zdjął, i znowu nią głowę osłoniwszy, fajkę z kieszeni, a woreczek z tytuniem z-za poły kapoty wyjął.

Ruchem tym odsłonił na piersi białą, kuźelną koszulę z kołnierzem u szyi tasiemką związanym, a kiedy tytuń do fajki nakładał i głowę pochylił, z za grubego, ale śnieżnie białego płótna, szyja jego wychyliła się, aż do czerwonoci gorzała, z sinemi sznurami grubych żył, koścista i chuda silnego, ale starego człowieka.

Chwilę milczeliśmy oboje, w zamian szczygły śpiewały i pliszki na zabój świegotały w gałęziach wiązu, a z wnętrza domku, wyraźniej dochodziło

głuche, miarowe stukanie tkackich krosien. Biała gołębica frunęła z nad strzechy i uleciała w przeciwną stronę sadu; za nią przemknął powietrzem różowy gołąb', i wnet oboje w gęstwinie kwitnących wisien zagruchali to razem, to znów naprzemiany.

W powietrzu zmęciło się coś, zadrgało; puszysty zwój białych obłoków przepływał pod słońcem zasłaniając je, to odsłaniając. Ruchome cienie ślizgały się po drzewach i przykrywały trawę, liście wiążu szeleściły, kogut za płotem kilka razy przeciągle, żałośnie zapiał. Ale trwało to przez parę minut zaledwie, po czém, puchy obłoków popłynęły dalej błękitnym przestworzem, kogut umilkł, drzewo znieruchomiało, świat stanął znowu w jasnej i cichój pogodzie, wśród której tylko szczygły rozśpiewały się ze zdwojoną mocą i słodziej jeszcze, miłośniej niż wprzód gruchały gołębie.

We wnętrzu domku, tuż za ścianą, przy której siedziałam, krośna tkackie rytmicznym tentnem zegara, stukwały ciągle, ciągle.

W tém, ze wszystkiemi otaczającemi nas odgłosami natury i życia, złączył się śpiew z tak niewielkiej odległości dochodzący, że dokładnie rozpoznać było można nie tylko nutę jego, ale i słowa. Rozgłosnie, donośnie, każde słowo pieśni z wyrazistością wielką wymawiając, męzki, młody, czysty głos, wśród szerokiego pola śpiewał.

„O Boże mocny, Boże nasz łaskawy,
Niepojęte są te czynów twoich sprawy,
Kogo chcesz dźwigniesz, kogo chcesz poniżysz,
Fortuny umkniesz, to ją znów przybliżysz.

Nuta téj pieśni przypominała kościół i psalmy. Przewlekła, poważna, prośbą i czcią szeroko płynęła w powietrzu, jedną jak gdyby całość splatając z błękitno-złotą barwą dnia, i coraz mocniejszą wonią zoraną a rozgrzaną ziemi.

Gospodarz zagrody fajkę od ust odjął, ku polom spojrział.

— A to już Kazio teksty swoje wywodzić zaczął. Młodemu, a głupiemu tylko śpiewanie w głowie...

Żartobliwie to mówił, uśmiechał się znowu, ale szczerzej i cieplej niż wprzód. Na polu, po zagonie, siedł człowiek, którego rysy znikwały w oddaleniu, lecz z którego wysmukłej i zgrabnej postaci odgadnąć było można młodość i rzeźkość.

Siedł powoli, lecz lekkim i doskonale miarowym krokiem jedną ręką trzymał u piersi okrągłą korbalkę ze słomy, drugą miarowym także ruchem rzucał na zagon krótkie, a gęste i wciąż jednostajne deszcze ziarn.

Powietrze było tak przejrzyste, że gdy przybliżył się ku końcowi zagona, drogą tylko z sadem zagrody rozdzielonego, widać było wyraźnie, jak te ziarna bujne, żółte, okrągłe, blisko siebie, a prze-

cież każde z osobna pomykały ku dołowi i padały, wciąż padały na ciemne puchy ziemi.

Nad tą zaś rosą, która oblewała ziemię, z towarzyszeniem miarowych stapań i nieustannych, rytmicznych ruchów ręki młodego siewcy, brzmiała dalej i szeroko rozlewała się po przestworzu poważna psalmowa nuta:

— „Z małego wielkim, wnet z wielkiego małym.
Uczynisz snadnie, strząśniesz światem całym,
Króla, pacholkiem, a królem oracza,
Nędzarza panem, nędzarzem bogacza.

Ta nuta i te słowa, wydawały się także jakąś siejbą rzuconą w powietrze, gdy tamta padała na ziemię. Wydawało się też, że i ona sprowadzić musi plon jakiś, tylko napowietrzny, niewidzialny, niewidzialnie ludzi żywiący. Któż to był ten Kazio, który rzucał na świat te dwie razem siejby?

— Czy to syn pana?

— A jakże! groch sieje. Trochę to już na tę siejbę i spóźniona pora, ale inaczej nie było można, bo przymrozki ziemię chwytaly. A groch, widzi pani, to takie ziarno, że jak pod przymrozki je rzucić, z całego zasiewku nic nie będzie..

Siewca teraz przeszedł na drugi zagon, i plecami do zagrody zwrócony, oddalał się w stronę przeciwną. Ziarno padające na pole widzieć przesta-

łam, ale słowa pieśni przez chwilę jeszcze rozróżniałam wyraźnie.

— Słabemu moc dasz, wnet słabości mocnemu,
I w lot zwycięstwo dziś zwyciężonemu.

Teraz już słowa przestały mi być słyszalne i tylko nuta ich, w niewielkiem oddaleniu, nie utraciła nic z rozciągłości swojej i monotonnej, poważnej melodyi.

Stary człowiek w kapocie i baranięj czapce, nad którą znowu wzbijały się i na młodych gałęziach zawisały sine zygzaki dymu, profilem ku mnie zwrócony, ku polom patrzył.

— Cały to mój gospodarz teraz i wyręczyciel... Wezas też wyrósł, bo choć dusza i chętna była-by jeszcze do pracy, gliniane ciało domaga się odpocznienia. A jakże!

Śmiał się cichym, piersiowym śmiechem, w którym słyhać było i rozradowanie głębokie, i do gwizdania fleciku podobną chrypkę. Zapytałam, co-by ta chrypka oznaczała, i jakie dolegliwości w piersi uczuwa? Czy w twardeńm życiu, tak bardzo przywykł do fizycznych cierpień, że o jedno mniej, albo więcej wcale nie dbał, czy też tak był zewnętrznym światem zajęty, że na siebie samego uwagi nie zwracał? ale pytanie moje zdziwiło go i nawet rozśmieszyło. Ręką machnął.

— Głupstwo! zaśmiał się, żeby więcej biedy na

świecie nie było! Wiadomo, starość grubijanka nikogo nie zdoła. Mnie też głos odmieniła. Przeszłego roku ta dudka do piersi mi wlażyła, kiedy z Kazim na mokrą łacę przenocował. Daj Boże moim dzieciom tyle dni szczęśliwości, ile ja razy w moim życiu na mokrych łąkach i na zgniłych kopcach nocowałam, a nigdy nie szkodziło. Teraz zaś zaszkodziło. Starość. Jak bardzo rozkaszałam się, córka ziołek ugotuje, napiję się i ulży, a choć i nie ulży, mnie o to bynajmniej! Umrzeć od tego może i nie umrę, a choćbym i umarł, to co? Śmierć czasu nie opowiada, kiedy podoba się jej, to dziś przyjdzie, kiedy nie podoba się, to jeszcze i za lat dziesięć. Dzieci, chwała Bogu, same sobie radę już dadzą. A jakże! Wielkie porosły wszystkie, i aby im tyle rozumu co urody.

Wewnętrzny spokój tego człowieka był niezmiernym i w dodatku oświeconym łagodną, ciepłą wesołością, płynącą niewiedzią: może z czystego sumienia, zadowolonego serca, z przestronego i świeżego pałacu przyrody, w którym życie spędził, a w tej chwili może i z tej pieśni, której nie tylko nuta ale i słowa, znowu zbliżka i wyraźnie od pół dochodziły.

Młody siewca szedł zagonem, znowu twarzą ku zagrodzie obrócony, krótkie, a ciągle deszcze ziarna ciemną rolę rzucał i śpiewał:

— „Fortuno ludzka, twoja to zabawa
Rzucać jak piłką; wszelka nasza sprawa,
Od ciebie swoje ma dependencyą,
Z ciebie upadek, z ciebie promocyą!”

Fajkę ku piersi usuwając, to znowu na chwilę przybliżając do ust, gospodarz zagrody powoli, z rozważą, z częstymi uśmiechami rozmawiał dalej, opowiadał.

Siedmioro dzieci Pan Bóg mu był dał, ale dwoje zawczasu też odebrał, z pięciu zaś pozostałych troje w świat poszło, a dwoje najmłodszych w domu ostało. Już to na zawsze jeden tylko Kazio przy nim zostanie, bo Jadwisia, tak samo, jak dwie starsze siostry, niebawem pewnie za mąż pójdzie. Takie już przeznaczenie kobiety. Dwie córki jego były więc zamężne, a co się tyczy najstarszego syna, ten w młodych jeszcze latach na obowiązek poszedł. Czytać, pisać, rachować umiał, i wszystkie jego dzieci to umieją, bo cościś przez trzy lata wspólnie z sąsiadami guwernera do nich trzymał. Ale ten jego najstarszy, osobliwą zdolność do nauki miał, książek i świata nad miarę był ciekawy, tedy wojskową służbę odbywszy, pisarzem najprzód w jednym sąsiednim dworze został, a potem do innego pana, daleko, bo aż o trzydzieści mil ztąd na ekonoma wyjechał. Syna tego bardzo rzadko teraz widuje. Nie zapomniał on o ojcu i o domu, ze dwa razy na rok listy przysyła, ale przyjeżdża le-

dwie raz na lat parę, a teraz, to już i czwarty rok jak nie był. Kawał świata, wiadomo! przebywać go często ani czas, ani kieszeń nie pozwalają, teraz osobliwie, kiedy żonatym już jest i troje dzieci własnych ma. Nareszcie, co z oczu zbiega, z pamięci wycieka. Największe kochania gasną bez dmuchania. Do tego, wie on dobrze, że stary ojciec bez pomocy nie jest, bo i Kazio już dorósł i Jadwisia póki co, w domu jeszcze siedzi. A te dzieci zupełnie tak jak inne. Wyrosły bez matki, która wprędce po urodzeniu Jadwisi, więc ośmnaście lat temu, umarła. On im był tedy i ojcem i matką, ale że, przy roli pracując, nie zawsze miał czas ich doglądać, jedne drugim niańkami były. Uśmiechając się, wypowiedział litanią imion swoich dzieci.

— Franuś na rękę swoich wynosił Stefkę i Elżusię, Elżusia Kazia, a Kazio Jadwisię. Nacierpiały się dość dzieciska, osobliwie młodsze, a zawsze nietyle, ileby może od macochy cierpieć musiały.

Kiedy owdowiał, czterdzieści tylko lat mu było. Ludzie do drugiego ożenienia się namawiali, nawet niebrzydkie i nieubogie panny swatali, ale on nie chciał. Piérwsza rzecz, że macochy dla dzieci nie chciał, a druga, że tamtéj, nieboszczki, zapomnieć nie mógł. Szesnaście lat z nią przeżył, a była taką, że i w śmierci ją opuszczać za niegodne i sercu

trudne uważał. Zresztą, żeniąc się po raz drugi, Bóg wie na jaką-by natrafił!

— Bo to — uśmiechnął się — ani na wsi, ani w mieście, nie można wierzyć niewieście, a na tym świecie, pocziwój żony, tak samo jak ojca i matki, za grosz nie kupisz.

Chciałam wiedzieć, ile posiadał ziemi. Chętnie odpowiedział, że ma jój morgów piętnaście, licząc w to mokrą łączkę, na której właśnie przeszłog lata piszcząca dudka do piersi mu wlaża.

— Nie jest to wiele, ale i niemało — mówił. — Ludzie mniej mają a żyją. I my chwała Bogu, od dziadów pradziadów żyli tu, łaski bożkiej tylko potrzebując. Jedna tylko bieda, że w bezleśnych stronach drzewo drogie, tedy chatę wyreperować i gumno nowe postawić niełatwo.

Ale nad tym kłopotem niech już sobie Kazio głowę łamie. On tu gospodarzem teraz jest i na zawsze ostanie. Ożeni się, może z posagiem dziewczynę weźmie, a jeżeli nie, to jakkolwiek tam tę biedę z chatą i gumnem zmoże. Wprędce też pewno i ożeni się, bo gdy Jadwisia za mąż pójdzie, pusto i smutnie zrobi się w chacie.

Żartowałam, że wkrótce wnuki mieć będzie, nie takie już jak po tamtym synie, których nigdy jeszcze nie widział, ale takie, od których w tym sadzie i na tym podwórku zrobi się wesoło, wesoło!

— A jakże! zaśmiał się, już to inaczej nie może

być! Już tak być musi, aby i staremu robota jaka na świecie była! Choćby wnuki kołysać!...

— I całować! — dorzuciłam.

— A jakże! i bez tego nie obejdzie się pewno! Niema kochania, bez całowania!

Cicha wesołość, która i wprzód pobylikiwała mu w oczach i uśmiechu, wśród żartobliwej rozmowy o wnukach, wzmogła się w śmiech głośny i długi, a w śmiechu tym i w zamaszystym ruchu ręki, który uczynił, ozwalało się niby echo jego raźnej, rubasznój, ognistej młodości.

Od paru minut, rytmiczne stukanie krosien we wnętrzu domku, przestało wtórzyć rozlegającym się w sadzie, gruchaniom gołębi i szczebiotom szczygłów, natomiast, tuż nad moją głową, z za szyb zamkniętego małego okna, zabrzmiał donośnie głos kobiety.

— Ociec! z kim ociec rozmawia?

Stary z uśmiechem na okienko patrzył i milczał.

— Z kim tam ociec rozmawia? — trochę niecierpliwie powtórzył głos.

— Kiedyś ciekawa, to zobacz! — z flegmatyczną żartobliwością odpowiedział.

Podniosłam nieco głowę. Jednocześnie, ze stukiem, okienko otworzyło się i zamknęło tak prędko, że niby w świetle błyskawicy mignęły mi tylko przed oczyma: wazonik z blade zielonem piżmem, biała koszula, jasny warkocz i twarz młodej dziewczyny, tak gorąco zapłoniona, że błękitne jej oczy

wyglądały jak niezabudki w krzak karminowej róży wplątane.

Przez małą szybę patrzyłam do wnętrza domku, widziałam świeżo pobieloną świetlicę, grubą podłogę, ajerem posypaną, łóżko z pościelą, wielką skrzynię z bombiastym wierchem, część krosien zasnutych granatowemi i czerwonymi niemi, ale dziewczyny nie widziałam. Jakby w ziemię zapadła. Przez szpary okienka dochodziły mi wyraźnie zapachy ajeru i piżma, słyszałam, jak stary, za plecami memi z niezadowoleniem mruczał.

— Wstydliva! schowała się! Dziczka w lesie wyrosła, czy co?

Nagle drgnęłam. Niespodzianie i gdzieś bardzo blisko, silny głos jakiś, na nutę skoczną i raźną huknął.

— Hej, dziewczyno kochana
Czemuś taka splakana,
Czy rozbiłaś dzban może?...

Wydało mi się, że ta piosnka nad samą głową moją wybuchnęła, ale gdy twarz ku sadowi obróciłam, przekonałam się, że zabrzmiała ona za gęstemi splotami grubój jabłoni, jak z za śnieżnego, napowietrznego haftu, wyszedł ten sam chłopak, który przed kwandransem siał groch na polu i, z głową podniesioną w górę, na gołębie może, które strzechę oblatywały spoglądając, śpiewał dalej:

— „Pozwól, chwacko się sprawię
Ślicznie dzbanek naprawię,
Tylko nie płacz...

Teraz, spostrzegłszy osobę obcą, u ściany domu siedzącą, umilkł i na chwilę pod kwitnącą jabłonią stanął. Dąb to był nie mężczyzna, ale dąb, który żadnej zimy srogiej, ani ulewy, ani gromowego uderzenia jeszcze nie znalazł: młody, wysmukły, zgrabny. Pod białą koszulą i przeżynającemi ją na krzyż szelkami, plecy miał gładkie i wyprostowane, policzki ściągłe, ogorzale i rumiane, pod ciemnymi brwiami duże oczy z siwą żrenicą. Wąs złotym puchem zaledwie wysypywał mu się nad koralową wargą, złotawe włosy świeciły z pod zgrabnej czapeczki. Przestał śpiewać i na chwilę, pod jabłonią stanął, ale nie zadziwił się wcale, ani zmieszał, a wkrótce szedł już ku domowi krokiem szerokim i giętym, ręką, w której pustą kobiałkę trzymał, zamasyżście nieco u boku wymachując. Takim samym za młodu musiał być ojciec jego, który, przez życie uciszony i przygaszony, teraz jednak ze spokojnym i zarazem filuternym swym uśmiechem z syna żartować zaczął.

— Więc tam pewnie na polu naśpiewałeś, niż nasiałeś! Aż wróble na dachu dziwowały się twojemu śpiewaniu. Ze trzy garnce grochu wysiałeś, co?

— Już, ojcze, tyle ile trzeba było wysiałem, — dźwięcznym głosem odpowiedział chłopak i, grzecznie przede mną czapki uchyliwszy, z kobiałką w spuszczonej ręce obok ojca stanął.

Miał rok dwudziesty pierwszy, i nad wiek swój wydał mi się dojrzałym. Wprawdzie, siwe żrenice jego miały dziecięcą prawie, kryształową przejrzystość, ale w postawie była powaga dojrzałej siły, a usta układały się w wyraz zamyślenia. Łatwo było-by domyśleć się, że był on tym samym, który na szerokiem polu śpiewał pieśń z poważną psalmową nutą, i że zaśpiewanie skocznej piosnki o zapłakaną dziewczynie i rozbitym dzbanku, musiało być wybrykiem młodej i szumnej, lecz u niego nieczęstej wesołości. Stary tymczasem, bez żartu już prawil:

— A pani w łaskawości swojej, doprawdy pieśń twoję chwaliła.

— Piękna pieśń, — potwierdziłam.

Śmiało i poważnie na mnie patrząc, z naiwnem lecz głębokiem przekonaniem, powtórzył:

— A piękna!

— Jakim sposobem ję się nauczył?

— Jest napisana, — odpowiedział.

— Chciałam ją całą przeczytać.

— Czemuż nie? — uprzejmie podjął stary i do syna się zwrócił.

— Idź-że, przynieś pani swoje pieśni!

Chłopak zawahał się, trochę jakby zawstydzil.

— Nie tam osobliwego niema... — zaczął.

— Idź-że zaraz i przynieś! — powtórzył ojciec,

Szerokim, giętkim swym krokiem ku małemu gankowi podszedł, a po chwili trzymałam w ręku dwa spore zeszyty, z których jeden na okładce swój nosił napis: *Teksty nabożne*, a drugi *Teksty świeckie*. Biedne to były okładki, stare, zbrudzone, połamane: biedny papier, z którego składały się zeszyty: żółty, siny, stary; biedne pismo papier ten okrywające: niewprawne, koszlawe, poplamione! Z nad tego papieru i pisma, wzrok na młodego człowieka podnosząc, zapytałam:

— A nuty zkąd?

Wzruszył lekko ramionami.

— Czy ja wiem? — odpowiedział.

Ale po namyśle, z uśmiechem, w którym z za warg koralowych białe zęby mu błysnęły, a jednak i z powagą dokończył:

— One prawie w powietrzu są rozsypane, i kto sobie chce, ten je łapie!

Kilkanaście miesięcy minęło. Dzień był letni, skwarny, słońce za wysokimi murami kamienie niewidzialne, rozpalało przecież te mury i kamienie bruku do gorącości takięj, że cała ulica długa a wązka, wydawała się olbrzymim, dusznym piecem.

Na ulicy panowały ścisk, huk, tłumliwość taka, jakoby gęszcz leśna i nieprzenikniona. Obłoków prawie nie było widać, bo dmący od czasu do czasu wiatr upalny i suchy, z pod kół powozów, z pod stóp przechodniów podnosił gęstą kurzawę i żółtym tumanem zawieszał ją w powietrzu, lub skłębionemi słupy podnosił ku niebu. Wystawy sklepów za spuszczonei firankami i roziskrzonemi szybami okien drzemały, ludzie z twarzy zmęczonych pot ocierali i ścigali się, popychali, śpieszyli, śpieszyli do cienia i ochłody mieszkań, biór, sklepów, warsztatów.

W tém, pomiędzy liczne odgłosy, które o wczesnej lecz już bardzo upalnej godzinie napelniały miasto, wmieszał się odgłos zupełnie do wszystkich innych niepodobny, a przez każdego od razu usłyszany. Był to odgłos turkotu, do wszystkich innych turkotów niepodobnego, a przeciągającego się nieustannie, monotennie i w miarę przybliżania się rosnącego w prawie ogłuszającą siłę. Na tle zwykłej wrzawy ulicznej, rozlegało się to naksztalt nieskończenie przedłużanego huczenia basu, wśród cienkich i drobnych nut wiolinowych. Obracania się kół, w huczeniu tém słyhać nie było, tylko w ponurą jego basowość wpadały czasem do kłektu podobne uderzenia o bruk kopyt końskich, lub metaliczne brzęki łańcuchów. Nikt jeszcze nie wiedział zkąd huczenie to pochodziło, a jednak mnóstwo ludzi

stało na chodnikach, z twarzami obróconemi w stronę, z której się ono zbliżało; a kilka jednokonných dorożek pośpiesznie zjechało na stronę, lub nawet pod sklepienia najbliższych bram zawróciło. Domyślając się, albo nie domyślając widoku, przez ten odgłos oznajmianego, wszyscy czuli, że to, co się zbliżało było czémś ogromném, centnarowém, potężném, niezmiernie ważném.

Jakoż, u skrzyżtu ulicy w żółtej kurzawie, ukazał się naprzód człowiek, jadący konno i od złotych ozdób ubrania błyszczący, za nim bardzo zwolna poczet konnych i zbrojnych ludzi, a za tym poczem dopiero, z za skrzyżtu ulicy wyjeżdżać i w nieskończoność jakby wyciągać się zaczął sznur koni, żelaznemi łańcuchami połączonych z sobą i ciągnących sznur przedmiotów wielkich, cylindrowych, ukośnie na zielonych kołach położonych, z których brązowój, wypolerowanój powierzchni słońce krzeszło oślepiające blaski.

Po dwie pary, idące, konie pobrękujące sprężającemi je łańcuchy, z wygiętymi karkami, z szerścią jak smoła czarną, ciągnęły te złote, rozplamienione cylindry, które ustami zwracały się ku niebu, a każda para posiadała jeźdźca i kierownika swego, i za każdym cylindrem jechał zbrojny, złotemi ozdobami ubrań połyskujący poczet. Tak na wązkiej ulicy, w spiecu i kurzawie, z nieprzerwaném basowém huczeniem, z kłopotem końskich kopyt i brzę-

kiem łańcuchów, długim sznurem sprężonych koni, zbrojnych pocztów i rozplamienionych armat, wyciągnęła się opuszczająca miasto artylerya.

Jak żelazna pokrywa przytłumia szum gotującego się w kotle kipiątka, tak przesuający się ulicą widok i huk, stłumił uliczną wrzawę. Przechodnie ścianą na chodnikach stanęli. Była to ściana, oczyma ciekawemi i wzruszonymi natykana. Świadomie, lub nieświadomie wszyscy czuli, że oglądają rzecz, która na globie ziemskim, jak ryłec na wózku, wy-ciska rysunki dziejów. Wszyscy też wiedzieli, że ta rzecz ogromna, kulami i ludźmi wyładowana, kieruje się w daleką, południowo-wschodnią stronę, w której teraz właśnie toczy się wojna.

Nagle, wzrok mój pochwyciła i do siebie przykuła twarz jednego z jeźdźców, nie tych, którzy pocztami armaty oskrzydłali, ale tych, którzy je wieźli. Ktoś znajomy! ale kto? Jak młody dąb silny, wysmukły i zgrabny, plecy, pod czarnym, żołnierskim, mundurem wyprostowane i gładkie, zarys ust zamyślony...

Tak, poznałam go; był to Kazio z nadświsłockiej okolicy, chłopak z domku pod wiązem i z pod kwitnącej jabłoni... Jak przykutyy, jak kamienny na jednym z dwu czarnych koni siedział; przed nim inny człowiek w takim samym ubraniu kierował parą drugą; a za nim, na zielonych kołach sunęła armata.

Śliczna to była, złota, zgrabna, ku niebu patrząca armatka! Wdzięków jęj nawet kurzawa szczydziła, szybko ześlizgując się z jęj wypolerowanego łona, samo słońce ubierało ją w suknię błyszczącą i osypywało pocałunkami, z których tryskały płomienie. Zdawała się być drogocennym klejnotem świata, z miłością i sztuką wymodelowanym odłamek moenego bronzu ziemi; i jak klejnot drogocenny, jak część samego szpiku ziemi oskrzydlał ją i strzegł poczet konnych męzów.

W tym długim, huczącym, ściśliwym sznurze koni, wozów, żelaznych łańcuchów i uzbrojonych męzów, Kazio wydawał się atomem, automatem, ziarnkiem pyłu w chmurze kurzawy, tak zupełnie niczem, jak niczem jest wola człowieka, wobec mocy żelaza, dusza człowieka wobec bronzowych i ołowianych kości ziemi.

Od czasu, gdy go widziałam, zmienił się trochę; na twarzy schudł, w ramionach jeszcze poszerzał, bujniejszy wąs puścił się mu nad wargą, teraz do zbladłego koralu podobną i oczy jego z większej jakby głębokości na świat poglądały. Nie były już one, ani kryształowe, ani ruchliwe jak dawniej, lecz omglone i nieruchome, ze szklistą zadumą utkwily w dalekim punkcie przestrzeni.

Co tam daleko spostrzegał? Domek pod więzem? pola szerokie? gołębie nad strzechą? czy kraje nieznanne? wysokie góry, bogate winnice, dolinę róż?

czy walkę? czy śmierć? Któż wiedzieć może? Na wojnę jechał.

...,Fortuno ludzka, twoja to zabawa
Rzucac jak piłką...

Sporo czasu minęło znowu. Na wilgotnej drodze, pod niebem jesiennymi chmurami usłaném, u brzegu zczerniałego pola, na które stara wierzba sypała osiwiłe językowate swe liście, stałam na przeciw tego człowieka zmieszana, prawie przelekniona, niewiedząca, jak mówić mu o tém, o czém wiedziałam, że myśleć on musi ciągle.

Okolica stała teraz cała w pomarańczowo-żółtych i brunatnych liściach, z za których tu i ówdzie wychylał się mętny rąbek Świsłoczy; wysoki wiąz przybrał cielisto-drewnianą barwę i deszcz misternie przegrywanych liści opuszczał na mokry i żółkły mech strzechy, pod którą domek szary, stary, bardziej niż wprzód krzywy, niżej niż wprzód przysiadł ku ziemi. Ogród nagiemi badyłami sterczał, gołębie skryły się przed wilgotnym chłodem, w czerwonych liściach jabłoni krakała wrona.

Nadchodząc, zobaczyłam go z plugiem parą koni zaprzężonym, wychodzącego z zagrody. Konie i plug na skraju pola zatrzymał, ręką czapki baraniej dotknął, stanął, i jakby czegoś ode mnie oczekując, nileżał. Zgarbione jego plecy zakreślały wypukłe półkole, na policzkach, obok téj fałdy,

która je przedtém rozdzielała na dwoje, powstała druga, trzecia i widocznie powstawać zaczynała czwarta. Wyglądał bardzo staro i nędznie; ciemna kapota niezgrabnie obwieszała jego wychudłe ciało, koścista, ciemna szyja, wychylała się z pod niewybielonego płótna koszuli, a piskliwa dudka, ta, co z mokrych traw łąki do piersi mu wlaźła, chrypiała i gwizdała tak, że ją już o kilka kroków słyszać było.

Widząc, że milczę, sam rozmowę zaczął.

— Pani więc... — zaczął i usta mu zadrżały, a siwe oczy z dziwnym wyrazem skargi i zamyślenia nieruchomo we mnie tkwiły.

Widziałam i zapytałam go, kiedy i jakim sposobem sam o tém uwiadomiony został.

— A jakże? — z ręką na ramieniu pługa opartą, odpowiedział — papier przyszedł, a w tym papierze... tak i tak... pisali... taki i taki... z takiej i takiej wsi. Wtedy i wtedy... honoru dostąpił... w batalii od kuli... familii oświadczyć przykazano...

Umilkł. Mówił teraz tak powoli, że pomiędzy jednym wyrazem a drugim upływało parę sekund, był zaś w mowie ludzkiej jeden wyraz, którego za nic wymówić nie mógł. Dwa razy już przychodził mu on na usta, i dwa razy dobywający się mu z piersi wnętrza chłodny powiew, wargami jego zatrzęsł, jak zwiedłemi liśćmi, i ściał je lodem milczenia.

Zapytywałam go teraz o to, co mię zawsze, gdy o nim myślałam, dziwiło. Czy nie spodziewał się, że syn jego losowi ogólnemu ulegnie? Czy o tém nie myślał? Na kilka miesięcy zaledwie przed odaleniem się jego z domu był tak spokojny! Obaj byli tak spokojni!

— A jakże! — zaczął — naturalna rzecz, że nie spodziewałem się, nie myślałem. Mówili, że kiedy ociec ma tyle i tyle lat, to syn przy nim ostać powinien... A ja i więcej jeszcze miałem. Mówili, że kiedy syn jeden u ojca... A on że jeden przy mnie był, pokazało się, że trzeba było jeszcze żeby... tamtego na świecie nie było...

Niżej pochylił głowę.

— Żeby tamtego nie było... żeby tamten nie żył... — zaszeptał.

I nagle stała się z nim rzecz jakaś straszna. Twarz odwrócił, rękę ku czołu i piersi poniósł.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... — wymówił prawie z krzykiem, w którym czuć było i przerażenie ogromne i jakiś srogi, samemu sobie uczyniony wyrzut. Byłam pewna, że popełnił on w téj chwili grzech żalu nad trwającym życiem jednego z synów, i że ten grzech aż do śmierci będzie mu przytłaczać i dręczyć sumienie. Po chwili jakby uniewinnić się usiłując, jakby przed kim tłómacząc się, z szerokiemi giestami ramion i rąk, mówił:

— Czy ja z tym drugim żyję? czy ja go widzę kiedy? Czy ja jego żonkę i dzieci znam? Pięć lat już nie przyjeżdżał... na wielkanoc ostatni raz pisał, świąt winszował, chustkę na szyję i funt tytoniu w prezencie przysłał... „dobrze mnie powodzi się, ojcze, pisał, do domu nie powrócę i sam orać nie będę, bo już-bym i nie potrafił.“ Ot jak! Niech jemu tam Bóg Najwyższy we wszystkim błogosławi, ale on nie mój!.. tamten był mój...

Pobłogosławiwszy syna, którego przed chwilą ciężko w myśli skrzywdził, uspokoił się i ciszej, w ziemię patrząc, dokończył.

— Cóż robić? Umarli z grobów nie powstają! Cierpieć trzeba... Cierpliwość w niebo wводи...

Spojrzał na chmurne niebo.

— Bóg wysoko... — wyszeptał, a wzniesiony wzrok jego, nabierał coraz więcej zdziwionego, pytającego wyrazu. Ramionami powoli wzruszając, bardzo cicho, chmur zapytywał:

— Za co? na co? dla jakiej przyczyny?

Potém jakby nagle coś sobie przypomniał, na mnie spojrzenie zwrócił i zapytał:

— Niechaj pani będzie łaskawa mnie powiedzieć, w której to stronie znajduje się ta... Tureya? Ukazałam mu południowy, ku wschodowi zbliżony punkt widnokregu. Domyślałam się, o co mu chodzi. Chciał wiedzieć dokładnie, w którą stronę za znikniętym synem oczy ma obracać. Może tam na

chmurze deszczowej, czy na różanym płaszczu jutrzeńki, Bóg litościwy ześle mu cień Kazia... Natychmiast też we wskazanym punkcie widnokregu wzrok utkwiał, patrzył, patrzył i głową powoli trząsł.

— Dalekoż... on pozostał... daleko... za lasami... za górami...

— Za doliną róż — dodałam.

Wyrazy te uderzyły go i zadziwiły.

— Za jaką doliną? — ożywając się nieco, zapytał.

Za nie w świecie nie-bym mu teraz nie powiedziała o górach ostrych, wąwozach nieprzebytych, wałach śnieżystych, przepaściach, które wiekuiście i nieubłaganie otwierają żarłoczne swe paszcze, ale długo mówiłam mu o dolinie rajskiej, od krańca do krańca okrytej różami, których szkarłaty prześcigają w świetności królewskie purpury, a wonie słodkimi snami kołyszą może głowy nawet umarłych. Omdlały wzrok jego dawną, pogodną wesołość przypominał.

— Cudności! — rzekł — cudności! A może i teraz choć w jesiennej porze, te róże tam kwitną?

Chciałam, aby myślał, że kwitną tam one ciągle przez rok okragły.

— Ciągle, przez okragły rok one kwitną.

— Cudności! — zadziwił się, jeszcze na południo-wschód spojrzał, a potém palcami policzka do-

tykając, przenikliwie, z tajemnym jakimś upragnieniem we mnie się wpatrzył.

— To może on... pod temi różami? — zaszeptał.

Oddech w piersi zatrzymać musiał, bo gwizdząca dudka na chwilę w niej umilkła.

— Najpewniej! — odpowiedziałam.

Uśmiechnął się.

— To dobrze, to chwała Bogu! piękny nadgrobek...

Uśmiechając się do myśli własnych, mileżał chwilę.

— A za tą doliną... co tam?

— Za tą doliną są winnice, pyszne, pachnące, po zielonych wzgórzach rozpięte, złotemi gronami jagód osypane.

— To może on za tą doliną... pod temi winnicami?

Może. Mileżał, myślał.

— To już inaczej być nie może, — z rozważą i stanowczością zaczął — albo na tej dolinie, albo za nią... albo pod różami, albo pod winnicami...

Zapytałam, czy Jadwisia za mąż wyszła.

— A jakże! Na Wszystkich Świętych skończy się rok już po jej godach weselnych. Jeszcze wtedy nijakiej wiadomości o Kaziu nie było. Jeszcze myśleliśmy, że kiedykolwiek...

Kował, w południowo-wschodnią stronę nieba spojrział.

— W dolinie róż... hm! mój ty Boże... pod różami...

Mówić zaczęłam, że strasznie pusto musi być teraz w jego domu! Zupełnie samotnym przecież być nie mógł; czy ktokolwiek z nim mieszka?

— A mieszkają... mieszkają — z widocznym roztargnieniem odpowiedział. — Babę starą do niej ciężkiej pracy już niezdatną wziąłem, aby tylko jeść warzyła a płachty czasem wyprała. Dla pomocy zaś w gospodarstwie, chłopiec jest, najmnik, niedorostek... do bydła i do brony ledwie zdatny, bo dorosłego opłacać... opłacać...

Stawał się tak roztargniony, że tego co mówił, dokończyć nie mógł. Natomiast, ze wzrokiem w dalekie chmury utkwionym, zaszeptał:

— A może i za doliną róż! Mój ty Boże! może pod winnicami...

Teraz w takie już wpadł zamyślenie, że zupełnie o mnie zapominając, machinalnie położył dłonie na rączkach pługa, i na konie przeciągle zawołał:

— Heeej!

Konie ruszyły, lemiesz zarył się w ziemię, a na nim, ze zgarbionemi plecami i krokiem tak ciężkim, jakby za każdym razem stopy jego rwać musiały jakiś łączący je z ziemią węzeł, postąpił ojciec Kazia... Silny powiew wiatru zakłębił nad nim mgłą chłodną i mokrą, i jak ciemne skrzy-

dła rozwiął poły jego kapoty. Po chwili jednak uspokoiło się znowu powietrze, a z-za przeredzonej mgły zobaczyłam starego oracza, samotnie wśród szerokich pustych przestworów, popychającego pług po czarnej ziemi. Raz, iść za pługiem nie przestając, podniósł głowę, twarz ku południowschodowi obrócił, po ruchach ust jego odgadłam, że szeptał:

— Może w dolinie... może za doliną róż!



Niemen tam płynie pomiędzy bardzo wysokimi brzegami, z których na jednym, wśród zbożowych łąków rosną gdzieś starych grusze, brzozy i topole, a u szczytu drugiego ciągnie się pas ciemnego i gęstego lasu. W tym lesie, niby zaklęte głosy, na każde zawołanie budzą się śliczne, srebrne, przeciągłe echa. Budzą się i wnet znowu w zaczarowany swój sen wpadają. Ale, czasem, wymawiają piękne wyrazy.

W jednym szczególniejszym miejscu, gdzie wysoko jeszcze nad rzeką, ale pośrodku góry, na małej płaszczynie wyrasta odwieczna topol srebrnolistna, trzeba tylko zawołać: mi-łość! aby głos leśny wyraźnie, srebrnie, przewlekłe odpowiedział także: mi-łość! Czasem, zdjęty jakby radością odzyskanego na chwilę życia, po trzy razy wtórzy jednemu słowu. Gdy pod topolą zawoła kto: bracia! coraz wprawdzie

dalej, słabiej, rozwiewniej, ale trzy razy odpowie-
on: bra-cia! bra-cia! bra-cia!

O, miłe echo!

* * *

Śliczna to była chwila, w końcu dnia letniego, o zachodzie słońca, którego wielka tarcza w orszaku purpurowych i złotych obłoków płynęła coraz niżej ku ciemnemu pasowi lasu. Merze światła zalewało szerokie pola, nad którymi stała wielka cisza a w światłości i ciszy, skowronki jak strzały, szybko, pionowo, ze srebrnym dzwonieniem wzbijały się tak wysoko, że tonęły i znikwały aż w błękitach nieba. Powietrze, niby czara, nalana mocnym i wonnym napojem, pełnym było zapachu traw, teraz właśnie koszonych na pobliskich łąkach. Nad drogami stały słupy owadów, złote, drżące, podobne do nieprzerwanie i monotonnie brzęczących strun. W dali turkotały wozy, zwożące z łąk skoszoną trawę; zdala i czasem, przylatywały krótkie, zgrzytliwie brzęki ostrzonych kos.

Szłam drogą, rozdzielającą pole z ogrodami niewielkiej wsi. Wśród okrytych niedojrzałym zbożem zupełnie w tej chwili bezludnych pól, droga ta była pustą i bezludną. Jednak, gdy wraz z nią wspierałam się na małą wypukłość gruntu, nagle, zobaczyłam stojące u dołu dziecko. Małe, może trzyletnie,

bose, w grubiej koszuli, u szyi spiętej błyszczącym szkiełkiem, miało ono na głowie, tak zwaną tutaj, czapkę z czerwonej bawełnicy, która okrągło i ściśle okrywała całą jego czaszkę, od brwi rzadkich i jasnych aż do tego miejsca, w którym nad samym karkiem, widać było lnianej białości włosy. U samego środka czaszki sterczało mu dość wysoko coś podobnego do kokardy i zarazem do koguciego grzebienia. Zupełnie samotne, stało ono wyprostowane, nieruchome, z małym palcem utopionym w czerwonych jak malina ustach i wielkimi oczyma, gdzieś daleko zapatrzonemi. Wśród nieruchomości postawy i rysów, tylko te oczy tryskały życiem: turkusowe ich źrenice rozżarzało słońce i igrały w nich blaski cichy, w sobie skupionej, wewnętrznym chichotem śmiejącej się wesołości.

W znacznym od wsi oddaleniu, rozdzielona z nią całą szerokością ogrodów i lankiem puszystego grochu, pod niską ścianką niedorosłego żyta, pośrodku pustej drogi—drobna ta, nieruchoma figurka wyglądała ucieszenie i prawie fantastycznie. Można-by ją było wziąć za wyrosłego z ziemi gnomka, bosonogiego i z czerwonym czubkiem nad głową. Czego to maleństwo tu przyszło? Co je na tym miejscu zatrzymało? Jaki widok: wzlającego ptaka, czy błyszczącego owadu, czy kwiatu, podnoszącego z nad żyta jaskrawą koronę, tę cichą, zachwyconą radość wlewała mu w wielkie błękitne

żrenice? Trudno było odgadnąć, ale wzamian pewnem się wydawało, że groziło mu w tém miejscu niejaki niebezpieczeństwo. Dwukonne wozy, po wylądowaniu siana wracające na łąkę, ukazywały się już zdala i wnet, wnet, ze spadzistości gruntu, wprost na nie zjeżdżać miały. Przyspieszyłam kroku, oczy dziecka powoli zwróciły się na mnie i w tej samej chwili, w mgnieniu oka, zaszła w niém dziwna zmiana. Najprzód, drżenie przestachu wstrząsnęło całym jego ciałem, a potem drobne ręce wzniosły się ku głowie i czerwoną czapkę ścisnęły kurczowym ruchem przerażenia, które téż wykrzywiło mu rysy i do niepodobieństwa prawie szeroko rozwarło oczy. Pomyślałam, że malec przeląkł się nieznaną sobie istoty ludzkiej. Nic w tém jeszcze nie było dziwnego. Z uśmiechem i pieszczotliwemi słowy zbliżałam się ku niemu, kiedy nagle, z osłupienia i oniemiaenia swego przebudzony, wydał on z siebie krzyk przeraźliwy i uciekać począł, ale tak uciekać, że aż drobne stopy plątały mu się po piaszczystej drodze, że aż upadał, nosek i bez tego już czarny od pyłu, w piasek pogrążając, lecz ze wszelką możliwą sobie szybkością podnosił się z ziemi, biegł dalej, drobne ramiona rozpościierał i wydawał coraz przeżliwsze krzyki, wśród których wyraźnie różniałam słowa:

— Zjé! zjé Mamo! oj zjé! dalibóg zjé Mamo! Mamo. Biegł wprost pod koła szybko nadjeżdżających

wozów. Dogonić go, pochwycić i na brzeg łąku, gęstwiną grochu porosłego usunąć—było rzeczą łatwą. Ale wtedy przestach malca wzrósł do stopnia, który zaczynał być dziwnym. Daremnie z czułością głaskałam go po głowie i twarzy, daremnie wyjęty z kieszeni karmelek usiłowałam włożyć mu w rozwarte i wykrzywione usta, daremnie do malego, czerwonego jak tulipan ucha, przykładalam dość długo tentniący zegarek, trwoga jego wzrastała, konwulsyjne prawie targania wstrząsać zaczęły członkami ciała, strumieniem łez zalane policzki drgały, w oczach malowała się zupełna i zarazem bolesna nieprzytomność. Nie widział, nie słyszał, nie czuł nic; z nieludzkim już prawie wzdzieniem, z zadziwiającem wyężeniem wszystkich sił swoich, wrzeszczał wciąż jedno:

— Zjé! zjé! dalibóg zje! Mamo! mamó! oj! oj! oj! zjé!

Co tu robić? Choć wozy już przejechały, porzucić to małeństwo wśród drogi i w takim stanie wydawało się niepodobieństwem. Zanieść je do wsi także było trudnem: większe siły mieć by musiał ten, kto-by je teraz utrzymać mógł na rękę.

Wtém, z zielonej gęstwiny najbliższego ogrodu, z pomiędzy wysokich konopi, lebiody i żółto kwitnącego piżma wychyliła się i przez zagony niskich wierzbyw przeskakując, szybko ku nam biegła kobieta młoda, wysoka, gruba i rumiana. Widać bieliznę

w chacie prała, bo wielkie, czerwone jej ręce były mokre. Z żółtą chustką na czarnych włosach wykrzywioną, w krótkiej spódnicy i pasiastym fartuchu do nas przypadła i w mgnieniu oka malca pochwyciwszy, przycisnęła go do szerokiej i wydatnej swjej piersi, na której, w fałdach koszuli, wiła się czerwona tasienka, z brązowym u końca krzyżykiem. Rozognioną i spoconą twarzą swą do głowy dziecka przykładając i mokrą ręką ocierając z lez jego policzki, gniewnym głosem mówiła:

— *Chwaroba* ty! *ka*b ciebie *u*dużyło! Czego ty wrzeszczysz, aż w chacie slychać? Oj, przelękałam się, że aż mnie trząść zaczęło!

W objęciu matczyném uspokoił się natychmiast, krzyczeć przestał i tylko jeszcze ciche chlipanie długo mu w piersi ustać nie mogło. Odwróciwszy się ode mnie, czoło oparł o szyję matki, a czarny od piasku nos, zupełnie prawie na jej piersiach spląszczył, tak mocno do niej twarz przycisnął. Ona szerokim krokiem dążyć zaczęła ku chacie, której nizka ściana, przyzbą otoczona i wąskie podwórko ukazywały się z za ogrodu.

— Czego on tak się przelękł? — zapytałam.

— Durny! bardzo on jeszcze głupieńki... — odpowiedziała.

— Nie wiecie, dla czego on krzyczał: *zję!* *zję!* O kim on myślał, że go *zję!*

Wzruszyła ramionami, ale z wyrazu zakłopotania, który twarz jej okrył, odgadłam, że wie, do brze wie. Opowiedziałam, gdzie spotkała malca, o pustej drodze i nadjeżdżających wozach. Przelękł się.

— Oj Bożeż mój! — zawołała — ot i przypadek zdarzyć się mógł! Czy to trudno o nie-szczęście.

Z głosem emoknięciem malca w głowę pocałowała i wnet gniewnym głosem zaczęła znowu:

— Czego ty tam szedł, *chwaroba!* licha cię tam niosło!

— Jak mu na imię?

— Francis.

— Trzy lata mieć musi?

— Na Pokrowy mu będzie trzy i dwanaście niedziel...

— Ładny chłopczyk, takie ma śliczne błękitne oczy!

Zaśmiała się szeroko, z zadowoleniem, malca po plecach dłonią poklepała i na mnie przyjaźniejsze spojrzenie rzuciła.

— Ładnienki sobie i rozumnienki... Nie żart jaki rozumny... wszystko już rozumie...

— A dla czegoż dziś tak przelękł się?

— Ot, widzicie, *dzie*d straszy...

— Jaki *dzie*d?

— A mego, znaczy, ojciec... nie żart jaki stary. Robić już nie może, to tyle jego pomocy w chacie

że na piecu, albo na przyźbie siedząc, dzieci pilnuje. Ot i dopilnował dziś... *kab jeho*.

— Czemże on dzieci straszy.

Jednocześnie z tém zapytaniem zajrzałam w twarz Francisia, którą on zwolna i jeszcze z obawą z nad piersi matki zaczął podnosić i prędko, krzywiąc się znowu do płaczu usta jego, włożonym w nie karmelkiem zamknęłam. Macierzyńskie zadowolenie kobiety wzrosło.

— Zwyczajnie stary — odpowiedziała — ze wszystkiem zgłupiał... Wmawia w dzieci, aby uciekały, jak kogo w czarném odzieniu zobaczą...

— Dla czego?

— Zwyczajnie głupi... Zjedzą, mówi...

Zaśmiała się, ale z widocznym przymusem. Nie chciała odmawiać odpowiedzi na pytanie moje, a czuła się zakłopotaną.

— Kto zje? — zapytałam jeszcze.

— A niby to te ludzie, co w czarném ubraniu chodzą... Nie gniewajcie się, bądźcie laskawi, on od starości zupełnie zdurzał... Raz jemu Francis sprzeciwiał się: „A czemu, mówi, ciebie dziadku, nie zjedli?” Jedli, gołąbku, mówi, jedli, tylko ja taki twardy był, że skórę i kości zostawić musieli!” I mój, nie żart, jak czasem gniewa się na niego. „Na co, *baćku*, mówi, takie rzeczy gadać?” „Trzeba, synku, mówi, trzeba; niechaj zawczasu wiedzą, kto ich jeść będzie...”

U ściany chaty, na przyźbie, składającej się z grubej, twardo ubitej warstwy piasku i położonej na niej półokrągłej kłody drzewa, zobaczyłam siedzącego starca. Wyglądał na lat 70, ale zgrzybiałym, ani bezsilnym nie był. Wysoki, barczysty, chudy, grubą i dość brudną koszulę miał tak u szyi rozwartą, że w znacznej części obnażała mu ona pierś szeroką, jak bronz ciemną, kościstą i długim włosem porosłą. Ogromne, płaskie jego stopy, wyżej niż do kostek obnażone, ciemnym pyłem okryte, zdawały się być zrosniętymi z żółto-zieloną ziemią podwórka. Łokcie opierał o kolana, ręce spleść i połową ciała naprzód podany, tak wyciągał chudą, ciemną i żylastą szyję, jakby umyślnie głowę swą trzymał pod ciepło i migotliwie pieszczącym ją promieniem słońca. Głowa ta była wielka u góry splaszczona i prawie zupełnie оголоcona z włosów, które tylko z tyłu czaszki, od skroni do skroni, tworzyły półokrągły wieniec, śnieżną i srebrnie połyskującą frendzlą opadający na wystające kości karku i osuwający się z nich kołnierz grubiej koszuli. Twarz jego długa i chuda, z zapadłemi policzkami i naprzód nieco wystającą szczęką dolną, otaczał owalny, krótki zarost, podobny do twardej, żółtawej szczotki. Wśród tego zarostu wargi jego były zupełnie prawie niewidzialnemi, a nad głęboko osadzonemi oczyma zwisały z wypukłych brwi długie, białe włosy. Czoło, w tył uciekające,

ale rozszerzone łysina, wydawało się ogromném i jak pole, po którem przeszła brona, okryte było mnóstwem, tak prawie jak włos cieniutkich, wzdłuż, wszerz i ukośnie krzyżujących się zmarszczek. Powieki miał zamknięte: dumał, czy spał. Przypominał dąb próchniejący, lecz jeszcze potężny, z wierchołkiem długo przez wiatry łamanym i ogołacanym z liścia, ale z pniem niezłomnie tkwiącym w ziemi. Ogromne jego stopy podobne były do podstawy ciężkiego kolosu, a głowa do głowy Sfinksa, mieszcząc w sobie zagadkę dawniej, wiekowej, dla niego tylko niezapomnianej przeszłości.

Zaledwieśmy weszły w bramę podwórka, Francisz wyrwał się z matczynej objęcia i swoim kaczym, na obie strony kołyszącym się krokiem ku dziadowi pobiegł. O strachach zapomniał i śmiał się teraz prawie tak głośno; jak przedtém płakał. Z radośnym i prawie dzikim wizgiem przypadł do dziada, który powieki podniósł, rozplótł powoli swe wielkie, prawie jak ziemia czarne, węzłowatemi żyłami wyrzeźbione ręce i bez uśmiechu, bez słowa, bez najlżejszego poruszenia rysów ujął w nie dziecko. Wyglądało ono w tej chwili, jak kruche cacko w rękach olbrzyma. Trochę tylko wyprostował się i jednym ramieniem u nagiętej i włosistej swjej piersi umieszczając malca, dłonią drugieją okrył całe prawie jego plecy. Matka, uśmiechając się

tak szeroko, że z za warg mięsistych i purpurowych ukazał się rząd nie tylko zębów białych jak perły, ale dziąseł czerwonych jak krew, zapraszała mnie, abym spoczęła na przyźbie. Ale stary, rzuciwszy na mnie przelotne spojrzenie, w którem, naksztalt dwu iskier, przelatujących w zaroślach, oczy jego błysnęły z za zwisających włosów brwi, nie przemówił nic, głową nie kiwnął, ruchu najmniejszego nie uczynił i tylko nieco niżej ku wnukowi głowę pochylił. Zdawać się mogło, że zaraz, zaraz, maléj téj główce, ściśle okrytéj okragłą, czerwoną czapką i kogucim grzebieniem zjeżonej, opowiadać zacznie bajkę o strachach, chodzących w czarném odzieniu.

Oj, dziadu, dziadu! po jakich to twardych i kamienistych drogach chodziły twoje ogromne stopy? Jakie to zęby przenikliwe i ostre zabronowały ci wysokie czoło? Jakie zawzięte bóle i gniewy nieostyglým dotąd warem napełniły twe szerokie, brązowe piersi?

* * *

Tego wieczora, o zmroku, zbiegłszy do połowy wysokiego brzegu Niemna, z pod srebrnolistnej topoli rzuciłam leśnym, zaklętym głosem wyraz: miłość! W głębi ciemnego lasu, głos napowietrzny, srebrny, przeciągły, odpowiedział: przeszłość!

Co to było? złudzenie wyobraźni, lub odgłos własnych myśli?

Raz jeszcze i donośnie powtórzyłam czarodziejskie słowo. Głos leśny, zrazu srebrnie i wyraźnie, a potem, oddalając się wciąż i mdlejąc, coraz rozwinniej trzy razy mi odpowiedział: prze-szłość! prze-szłość! prze-szłość!

O smutne echo!

SEN ABARYSA.

Abarys. Śpię, czy czuwam? Widzę, czy marzę? Zaledwie głowę strudzoną i niespokojną do snu pochyliłem, a już ubogą izdebkę moję zalały światła, te cudne i straszne dwa światła... Jedno podobne do błękitnego świtu, drugie do łuny pożaru... Co to? ktoście wy, istoty dziwne i prześliczne, któreście w tych światłach, — każda w inném, — przedemną zawisły i patrzycie na mnie, każda innym wzrokiem? Takeście do siebie niepodobne, że jedno tylko dostrzegam w was podobieństwo: dziwność i prześlizność. Ty, owinięta błękitnym światem, w szacie z płynących kryształów, oczy masz takie jasne, wesołe i śmiałe, jak gdyby w nie nigdy nie zajrzał cień smutku i trwogi; w płowych twych włosach rozsiane kwiaty, u piersi tulisz gniazdko ptaszęce, a po twém białém i pogodném czole ślizga się i igra swawolny promień słońca! Na wieszczkę strumienia wyglądasz, o czarodziejko! A ty, w szkarłatnej dumie, jakże przenikające, głębokie i bezden-

nie smutne są twoje źrenice! Czarne jak heban włosy, w bystrym zapewne locie, zwichrzyły się i stanęły nad twym czołem bladym, chmurnym, a takim dumnym, jakbyś świat cały do walki wyzywał. Wzrost twój ogromny, ramię potężne, skrzydła z płomieni drgają i unoszą się w górę, jakby je wciąż porywały wichry. Wydajesz mi się duchem ognia i boju, o Panie! Po cóż oboje zlecieliście w moje ściany? Czy was wzywałem? Może. Wszak wszystkie duchy i moce wzywałem, aby mi z radą spieszyły. Czyście usłyszeli rozpaczny trzepot mój myśli, pochwyceną w sieć wiedzy i niewiedomości? Czy was tu przywołał dzwon mego serca, na ratunek od chłodu i próżni bijący? Może jesteście wytworem własnych źrenic moich, do bólu, do męczarni wyteżających się w przestrzeń, gdzie tyle dróg, tyle u końca ich ponęt, a ja nie wiem jeszcze, po której z tych dróg, do której mrugających ku mnie gwiazd, iść chcę i zdołam. Widzicie, jam młody, samotny, długo w księgach utapiałem duszę, aż nie wiem, czy od nich to wziąłem, czy w tkankach mózgu i we krwi serca znalazłem, czy mię duchy jakieś, pokrewne wam, tak zakłęły, ale uczułem, że moja dusza nie może być gąbką nieruchomo wpitą w drzewo ludzkości, ani kamieniem, z jednaka biernością powierzchnią swą wystawiającym na świetne blaski słońca i ślizkie bryzgi błotne. Uczułem, że moja dusza jest czémś żywem, do ruchu i wzrostu

zdolnym, czémś ciekawym, głodnym i niespokojnym co we mnie skrzydła rozwija i coraz silniej niemi o falę myśli i uczuć potraça. Chcę iść, dążyć, zdobywać, posiadać, rozdawać; chcę z niskich krzaków zrywać czerwone róże i z wysokiego nieba zdejmować złote gwiazdy; w żyłach moich płyną poematy do drżących, namiętnych pieśni słowiczych podobne, a w mózgu powstają i krążą wielkie, żelazne, groźne epopee. Jestem, jak chaos atomów, który z trudem się zwija w przedziwny porządek życia, jak odłam kosmicznej materii, której jądro powoli wyrasta w świat. O, bądźcie mi pomocnymi, goście moi dziwni i prześliczni! Abarysem nazwała mnie matka moja, przez pamięć owego prastarego wieszczą, któremu bóstwa złotą strzałę włożyły w dłoń, aby nią odrzucił zasłony przyszłości, bóle ludzi leczył i wznosił świątynie. Marzycielką była moja matka i Abarysem nazwała mnie dla tego, abym żył i czynił jako ów wieszcz prastary. Ale wy wiecie, nadziemskie istoty, że właściwie, na imię mi: młodość. Wy wiecie, — bo na obliczach waszych widzę odwieczne trwanie z nieśmiertelną młodością zmieszane, — jaką siłą i niemocą, jaką burzą i tkliwością, jakim gromem i jaką pieśnią jest to: czemu na imię: młodość. To war, z którego buchają pary, czasem jak welon oblubienicy czyste i przezroczyste, czasem ciężkie i mętne, jak wyziewy bagnisk, a czasem takie krwawe, jak dym całopaleń. To

delikatny liść lilii, na którego miękkim atlasie, zgłóski swe kreślą i pieszczoty zefirów i ostrza błyskawic. Wy wiecie, więc przyjaznemi i pomocnemi mnie bądźcie. Przemówcie! kim jesteście? Pomoście ku mnie zstąpiły?

Wieszczka strumienia. — Ja naprzód, ja pierwsza przemówię, bo milczeć mi trudno i słuchać nie lubię, a za szezebiotem i śmiechem przepadam, cha, cha, cha, cha. Powabna, lekka, wesoła, zalotna, nie mogłam pośród wspaniałości nieba wytrwać w powadze i czci. Ilekroć Serafy najuroczystsze z pieni swych zawiodły, ziewałam skrycie lub pomimowoli wspaniałe akordy maciłam swawolną strofą i nad hymn chwały rzucałam miłosny trel. Nigdy, a nigdy odgadnąć nie mogłam, po co mi skrzydła do ramion przypięto, i nie do twarzy mi było bardzo w długiej i zawsze rozpaczliwie białej szacie anielskiej. Cheruby zasiadały do narad o sprawach wszechświata, a ja tymczasem coprędzej biegłam do milego kącika raj, kędy szybą bez zmayı świeciło jezioro i nad tém zwierciadłem schylona, długo, z zachwytem samęj sobie patrzyłam w oczy. Ciasno mi było w rozległym niebie; o szafiry wrót jego skrzydłami biłam, płacząc nad swemi nadaremniemi wdziękami, a czasem z gniewu i żalu, Serafinom i Cherubom wyrządzając złośliwe psoty. Aż rozgniewany płochością moją Stwórca, skrzydeł mię pozbawił, na ziemię stracił

i lekkiej, powabnej, swawolnej, zalotnej, rozkazał być wieszczką wąskiego, płytkiego, szumnego, lśniącego strumienia. Zleciałam na ziemię, śmiejąc się i błyszcząc i odtąd cała płynę blaskiem, śmiechem, cha, cha, cha.

Abarys. — Gama perel śmiech twój toczy się i dzwoni... usta masz rozkoszne...

Wieszczka strumienia. — Przypatrz mi się dobrze. Błękitną wstęgą przepasuję łąki, a z urwisk spływam brylantowym sznurem śmiało i hyżo, przepasę nie widząc i nie dbając o nie, bo w jary najgłębsze wcisnę się jeszcze srebrzystą niteczką i biegnę, tańczę, śmieję się tam, gdzie w chłodzie i cieniu nawet trawy mdleją i milkną ptaki. Ale wśród gładkich, swobodnych przestrzeni najlepiej się bawię. Czy widzisz, w jakie drobne i figlarne fale układają się moje płynące kryształ? Czy słyszysz, jak słodko, rzewnie, melodyjnie szemrze pod gęstą zielenią lotoci? Wdzięcznemi wianki obejmują mię błękitne kępy niezabudek, kaliny chylą nademną swe śnieżne czoła...

Abarys. — Daj mi ze swych włosów biały kwiat kaliny...

Wieszczka strumienia. — Pójdź ku mnie! Nie bój się! Toń mam niegłęboką, a na dnie, jakież piękności i skarby. Piasek mój złoty, mech szmaragdowy, a kiedy w biegu na kamyki wpadnę, tu topaz, tam opal, tam rubin i agat, a owdzie perło-

wa koncha. Cicho! przysięgnij milczenie, to ci coś wielce ciekawego powiem. To złoto, to prosty piasek, topazy, opale, agaty, to zwykle krzemienie a z konch perłowych... cicho! o nie zdradź mnie nigdy! wykluwają się brzydkie żaby. Lecz oto jakam ja czarodziejka! Blask słońca, rozkochany we mnie, miłośnie łono me przenikając, wszystko co moje złoci i zdobi. Co mi tam prawda czy złuda! Co mi tam! Cha, cha, cha, cha!

Abarys. — Lubię ten promyk, który tak swawolnie, w kółka i zygzaki zwiija się na twém czole...

Wieszczka strumienia. — Dobrą jestem. W łonie swém żywię mnóstwo drobnych rybek i kąpię ptaki w perlistej mojej rosie, a czasem trochę zbywającego mi piasku lub mułu, co mi dokucza wyrzucam na pole rolnika. Ale najwięcej sprzyjam kochankom. Gdybyś ty wiedział, ile rozkoszy kryją u mych brzegów cienie oleh i głogów! Ostrożnie dokoła obiegam pachnące ustronia, szmerem mym wtórzając miłosnym szeptom, a pocałunkom dźwięcznym pluskaniem. Gdybyś ty wiedział, jak w księżycowe noce miękko i zwolna, cicho, rytmicznie, kołysze się na mój srebrnej strudze łódka, wioząca rozkochaną parę. Wiosło beczynn timeru u brzegu spoczywa, sama ich niosę, kołyszę, pieszczę, a gdy już ujrzę splecione dłonie i rajske słodycze w żrenicach, szybko, cichutko ulubieńców swych kryję

przed łagodnym nawet księżycem i wraz z niemi wślizguję się w tajemniczą, głęboką grootę leszczynową, nad której ciemnością rozlega się śpiew słowika...

Abarys. — Przestań! umilknij! gdy dłużej mówić będziesz, na wieki zawisnę u twój falistój, kryształowej szaty! Nie mogę przecież! pragnę a nie mogę. Zaczekaj, nie znikaj, takas ponętna! Ale ten wielki, groźny, płomienny z takim wyrzutem obraca ku mnie swe przepaściste wejrzenie! Panie! Porwał mię i zachwycił tój czarodziejki szczebiot, lecz głosu mi twego potrzeba... jak poemat szmerze jój słodka mowa, lecz krzyki tragedji zda mi się, słyszę w szumie twych skrzydeł... O, bądź mi pomocnym...

Duch ognia. — Raz, z wysokości niebios Bóg oblicze ku ziemi pochylił i wnet je podniósł, wydając ciężkie westchnienie. Czy nad drobną planetą rozwarły się wtedy czarne skrzydła moru? Czy o słuch jego uderzył krzyk sere pękających z rozpacz? Czy z oceanu cierpień wzniosły się ku niemu gryzące i gorzkie opary? Bóg wydał westchnienie, z którego ja wziąłem życie. Poczęty z westchnienia Boga, duchem wiecznie tęskniącym niespokojnym, chmurnym, bo niedościgłej wiecznie doskonałości spragnionym, zstąpiłem na ziemię. Jam ten, który przed wędrowcami pustyni sunie ognistym słupem i nad otchłaniami zawiesza prze-

wodnie latarnie. Światłem geniuszu jaśnieję na szczytach; współczuciem bezbrzeżném rozlewam się po nizinach. Pod pruchniejące gmachy wkradam się zarzewiem i na gnijące bagniska spadam milionami iskier, które w ciemnościach nocnych, rozpościérają po ziemi łańcuchy krwistych pochodni. U kresów pól omglonych, pod ciemnymi ścianami lasów, chórem błyskają na wiejskich cmentarzach sinawe moje płomyki, a kędy tę żałobne latarnią zawieszę, lud skarbów ukrytych szuka. Nad skarbami tam świecę, nad ukrytymi w grobach zbolalemi kośćmi, nad sercami dobrymi, które dręczone kochały jeszcze, nad cnotami cichymi, których nigdy nikt nie opiewał, nad bezpłodnemi ziarnami geniuszu, które w ciemnościach uwiędły.. Nocami im przyświecam, a we dnie wichrem latam po 'ziemi i opowiadam ich podziemne gwary, jęki, westchnienia, wspomnienia...

Abarys (nieśmiało i z chciwością). — Czém więcej jesteś, Panie? czém jesteś?

Duch ognia. — Odwagą jestem w piersi rycerza, o sprawiedliwość w bój idącego, siłą w ramieniu robotnika, który głaz ciężki toczy do nowej budowy; bystrością kojarzenia i żądzą szukania w mózgach badaczy i wynalazców; ostrzem żrenie proroków; iskrą, która w szlachetnych sercach, wznieca bunt świętych obywateli; skrzydłem, na którym krzywdzeni i w proch wdeptywani, zrywają się z łoża

zgniewów

udręczeń i hańby. Ja dumne wargi zamykam pieczęcią milczenia, by nie wydały skargi w tęsknocie i krzyku w męczarniach; ja drzę i płonę na ustach matki, gdy w duszę dziecięcą, kropla po kropli przelewa święte lecz niebezpieczne chryzmaty. Ja gram na lirach poetów, i żelazem stałości tkwię w męczennikach, których sam na stos prowadzę. Walką jestem, czynem, ofiarą, ciągłym stawaniem się, wieczném dążeniem, dumą dla hardych, gniewem na gwałtownych, potokiem łez dla tych co cierpią...

Abarys. (zrywając się). — Wszystkiego tego przeżucia w sobie miałem... tego pragnąłem... Ja z tobą, Panie... do twego pocztu...

Wieszczka strumienia. — Jeszcze jeden odejdzie w ponure strony, jeszcze jeden umknie moim pieczętom! Hej, mój orszaku! Rusalki! Sylfy! duchu zwątpienia i ducha omdlenia, na pomoc!

(Ku lewej stronie izdebki, dokoła wieszczki zlatują istoty lekkie, strojne i wszystkie razem wybuchają chórem perlistych śmiechów, których dźwięki zlewają się w pieśń wabną i rozmarzającą. Rusalki trzymają w ręku pęki kwiatów, złote sieci i długie splety podwodnych bluszczów, sylfy, z rogów obfitości sypią złoty piasek i drogie kamienie; duch zwątpienia niedbale bawi się tęczę; duch omdlenia przychyła do ust czarę z upajającym trunkiem).

Jedna z rusalek. — Abarysie, chcesz róży z mojego wianka?

Druga z rusalek. — Chcesz pocałunku.

Trzecia z rusalek. — Chcesz sławy, którą za bezcen, darmo, wyśpiewuję na tym perłowym rogu.

Jeden z sylfów. — Topazy, opale, rubiny... jak błyszczą! jak brzęczą!

Drugi z sylfów. — Giętkim trzećcinom śliczne wyśpiewuję pieśni.

Trzeci z sylfów. — Temu, który sam sobie jest bogiem i celem, liśćmi lili uścielałam łożo.

Duch zwątpienia. (chmurnie). — Myślałem kiedyś, że po tej tęczy wedrę się do nieba, dziś widzę, że to wątły lachman.

Duch omdlenia. — Znużony jestem i senny a wiecznie spać przecież nie można. Więc budźcie mnie, wskrzeszajcie mnie: piosnko, trunku i miłości!

Abarys (do ducha ognia). — Przebacz, panie, że tak długo w tamtą stronę zapatrzony stoję. Tyś wielki, lecz ona tak piękna i orszak jój tak wesoły!

Duch ognia. — W odwiecznym i nieustannym locie zmierzyłem wszystkie otchłanie słabości i moce pokuszeń. Hufcu mój, do mnie!

(Z prawej strony ukazują się widma mędrców i wynalazców z księgami i narzędziami nauki w dłoniach, wieszczów ze snopami promieni w żrenicach;

lirników ze strunami, które ociekają płomieniami i łzami; męczenników, ukazujących zakrwawione serce w rozwartych piersiach. Za nimi przybywa blady, wynędzniały tłum cierpiących, zgniebionych, zmęczonych).

Wieszczka strumienia. — Patrzenie! patrzenie! Już legion żebraczy przybył pod wodzą głupców i szaleńców! Głód, lachmany, szkielety zwiędłą ociągnięte skórą, wybladłe czoła i rozdarte serca, śliczne to, ponętne, nieprzeparte wdzięki, cha, cha, cha, cha!

Orszak wieszczki. — Sidła dla głupich! pastki na bezrozumne myszy! cha, cha, cha, cha!

Głos 1 (z prawej strony). — Jam wynalazł prawo liczby i wymiaru...

Głos 2. — Ja ruchy słońca zbadałem i ich wielkością zmierzyłem małość ziemi...

Głos 3. — Jam dostrzegł nieskończoność małości, która buduje nieskończoną wielkość.

Duch zwątpienia. — Cóż z tego wszystkiego wynikło? Czy gorzkiej wody ubyło w morzach, a na łąkach przybyło słodczy?

Głos 4 (z prawej strony). — Przeciw wiatrom siejemy i ziarna nasze długo tulają się po przestrzeni i czasie, nim plon wydadzą.

Chór sylfów. — Nie dla was plon wydadzą, nie dla was, komedya wielkości oszukani!

Głos 5. — Nie dla siebie na świat przyszedłmy.

Jedna z rusałek. — Przemówiłeś, enotliwy Sokracie! A smaczna była cykuta? Pewno-byś wolał całus Aspazyi?

Głos 6. — Nad zgon wyższa wola czynu. Kto w poświęceniu zmarł godzinie, ten się przelał w drugich!

Duch omdlenia. — Czyn! poświęcenie brrr! jakie to fatygujące! Nie rodzić się śmiertelnym było-by najlepiej, lub zrodzonym jak najprędzej przebyć Hadu wrota i spać, na oczy nasunawszy błota jak najwięcej. Ponieważ jednak urodziłem się, a błoto jest... nieprzyzwoite, sylfie, daj wina! Z wina także utworzyć można błoto do zamykania powiek. — tylko piękniejsze nad to, które tworzy pomieszanie wody z piaskiem...

Głos 6, z prawej strony. — Ja usnąć i zemdląć nie mogę, choćbym chciał, bo nazywam się milion i za miliony kocham i cierpię!

Duch zwątpienia. — Dużo z miłości twój ludziom przybyło! Czubią się sobie dotąd w najlepsze i jeden drugiemu skórę z kości zdziera. Niegdyś... Niegdyś... płakałem nad tém jak mazgaj, teraz śmieję się z ciebie, z nich i ze wszystkiego, cha, cha, cha, cha! O gorzki mój śmiech, boli mię mój śmiech! Nie mogę zapomnieć, że niegdyś wierzyłem... cha, cha, cha, cha!... o!

Głos 8. — Pociesz się, najnieszczęśliwszy z duchów! Jam prorok, widzę! U kresu wieków, mie-

eze przekują na plugi, a dziecię bezpiecznie igrać będzie w gnieździe węzów...

Duch omdlenia. — A tymczasem, te wszystkie klótnie i krzywdy, okropne miliony ludzi sfatygują...

Głos 9. — Błogosławieni, którzy pragną i łakną sprawiedliwości, albowiem oni będą pocieszeni...

Wieszczka strumienia. — Dziękuję! Wolę nie łaknąć i nie litować się nad nikim, bo od głodu i żalu przygasły-by może moje piękne, promienne, turkusowe oczy, cha, cha, cha!

Głos 9. — Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią...

Duch zwątpienia. — Gdzie?

Chór rusałek. — Nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje!

Głos 9. — Błogosławieni pokój czyniący...

Duch zwątpienia. — O, jak ja to niegdyś, niegdyś... Wielbiłem! precz z żalami! la, la, la, la! W imię twoje dokonano wielkich bezlitości i stoczono mnóstwo wojen, okrutnie pokój mącących, cha, cha, cha, cha! O, boli, śmiech mój mię boli!

Głos 9. — U kresu czasów Boga chwalić będą nie w świątyni i nie na górze, ale w sercach...

Chór głosów, (z prawej strony). — W sercach czystych, dobrych i silnych...

Wieszczka sumienia i jej orszak (chórem). — A tymczasem, okup Sodomski, okup Sodomski złóćcie! Jedną perłę, za tysiąc grudek piasku, jedną siłę za-

tysiąc słabości, jednego żywego ducha, za tysiąc uśpionych nam dajcie! Sodomski okup złóżeie. Inaczej, pod deszczem kwiatów i gradem pocałunków Atlantyde waszę zagrzebiem!

Głos 4, (z prawej strony).—Żeglowanie ku Atlantydy jest racją bytu naszej planety.

Duch wątpienia.— A może znaczący coś i dla wszechświata? Szczęśliwi! oni mniemają, że od ich cnót i mądrości, Merkury mniej plonąć, a Uranus mniej marznąć będzie! cha, cha, cha! o, szczęśliwi!

Głos 4.— Gobelin haftujem, złą stronę materyi ściegami naszemi napelniając. Jaki obraz powstaje na stronie dobrej, nie wiemy... ściegi nasze gonią i naśladują wzory na naszych duszach wyryte...

Chór rusalek.— Nad haftowaniem tém takeście wybledli, że żadnego z was nie chciałybyśmy na oblubieńca. Biedni! Dzieje się wam niesprawiedliwość cha, cha, cha!

Głos 9.— Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości...

Chór sylfów.— Prześladowanie! co to? ehłosta? Nie! nie! My dzieci bardzo lękamy się różeg!

Głos 6.— Biada temu, kto ze strachu wpadł w pustynię nicości!

Duch omdlenia.— O, co za hałas! Nie wytrzymam, głowa mi pęknie od tych sprzeczek i narad. Przecież, wszystko to nudne i nieestetyczne; (usy-

piając) nie budźcie mię... śnią mi się piosnka, wino i miłość... miękkie twe łono, błogi śnie!

Wieszczka strumienia.— Abarysie, do mnie! za mną! za mną!

Duch ognia.— Wybieraj, Abarysie!

Abarys (wstaje i z rękoma do ducha ognia wyciągniętemi, modli się).— Abarysem nazwała mię matka moja dla tego, abym jak wieszcz prastary złotą strzałą odrzucił zasłony przyszłości, leczyl bóle ludzi wznosił świątynie. Nie zawiodłaś się na mnie, matko! Za tobą idę, straszny lecz wielki i szlachetny duchu ognia i boju. W pierś moję wstąp odwagą, w ramię siłą, jasnowidzeniem żrenice. Bądź mi ognistym słupem na pustyni i nad otchłaniami przewodnią latarnią. Daj mi w palec czerwoną iskrę do wypalania zgnilizny bagnisk i płomyk sinawy, którym przyświecać będę ukrytym w grobach kościom zbolałym, cnotom niewysławionym i bezdzietnie pomarłym geniuszom. Wlęj w moje serce morze współczucia, a usta zamknij pieczęcią dumnego milezenia, abym nie wydał skargi w tęsknocie i krzyku w męczarniach. Niech cyfry, cyrkle, miary i wagi, rozkładające ostrza i spajające cementy twych mędrców, będą mi pomocą w szukaniu śród labiryntu świata drogi najpewniejszej ku prawdzie i dobru, niech mię nauczą mierzyć siły własne i czyny miłości przymierzać z prawami mądrości, obdarz mię, panie, także stru-

na, co ocieka płomieniem i łzami — i rylcem, który na rozwiewnym piasku ziemi rzeźbi niezmiennie linie ideału. Za tobą pójde wszędzie: w spokojne morze rozmyślań i w war walki, w otehlanie badań i w żelazo czynów, w obłoki pieśni i w mrowisko pracy, na szczyty i na niziny, w niebo i w męczeństwo. Twoim jestem od lat niemowlęcych, w których sny mgliste już mi obraz twój przynosiły, — twoim będę do chwili skonu, w której po raz ostatni na przebytą obejrzawszy się drogę, cokolwiek wśród niej ujrę, ku tobie zawołam: dzięki ci, żeś mię wywiódł z krainy snu, z domu hańby i z jałowej pustyni nicości!

Wieszczka strumieni i jej orszak. — Wpadł w pastkę! w sieć się złapał! Bezrozumny, zgubiony, szalony! szalony! cha, cha, cha, cha!

Duch ognia i jego hufiec. — Błogosławiony! Na trudną, wysoką drogę bądź błogosławiony!

„POKOCIŁO SIĘ” i „DAM NOGĘ.”

Scena z życia dwóch braci.

O S O B Y:

WITOLD GAWDYŁŁO, obywatel wiejski, lat 40.

JADWIGA, jego żona, lat 25.

ZDZISŁAW PRĘDKOWSKI, koroniarz, brat Jadwigi,
lat 30.

Rzecz dzieje się w Szydoszycach, majątku Gawdyłły,
na Litwie.

SCENA I-sza.

JADWIGA I WITOLD.

(Salonik wiejski wygodnie, lecz skromnie urządzony. Na kanapie, przed stołem, zarzuconym dziennikami, siedzi Jadwiga; Witold, w długim wygodnym surducie, stoi przed nią i na rozpostartych rękach trzyma motek włóczki, którą ona zwija).

JADWIGA.

Mój drogi! prędzěj poruszaj rękoma! prędzěj! prędzěj! bo takim sposobem do wieczora chyba włóczkę tę zwijać będę.

WITOLD (*gderliwie i z mocno litewskim akcentem*).

Prędzěj! prędzěj! a to dopiero niewiasta, w gorączej wodzie kąpana! mnie łokieć już tak zbolał, że niech Pan Bóg broni, a ona jeszcze: prędzěj! wszystko jēj prędzěj! czysta koroniarka z ciebie!

JADWIGA (*zwymówką*).

Wstydz się, Witoldzie! znowu wymawiasz mi, zem rodem z Korony... a tyle razy już cię prosiłam...

WITOLD (*zawstydzony*).

No przepraszam, przepraszam cię, kiciu! Tak mi się to jakoś niechcący wypstryknęło. Ale bo, widzisz, duszeczko, to ten Zdzisław drażni mię trochę temi swemi koroniarскими bzikami. Odkąd przyjechał tu trejkocze a trejkocze, a to czemu nie ubierzesz się staranniej? a to: czemu u was meble takie staroświeckie? a to: czemu zaprzag taki...

JADWIGA (*upuszczając umyślnie klębek*).

Widziu! klębek mój! klębek!

WITOLD (*pośpiesznie rzucając się za klębkiem*).

Oj, pokociło się! pokociło się! pokociło! (*Wsuwa głowę pod kanapę; Jadwiga, śmiejąc się, popycha nogą klębek, który zatacza się pod fotel. Witold biegnie ku fotelowi, ciężko upada na klęczki i wsuwa głowę pod fotel. Śmieją się oboje*).

WITOLD.

Koci się! koci się! Jezus, Panna Marya! ot i znowu pokociło się!

SCENA II-ga.

CIŻ I ZDZISŁAW.

ZDISŁAW (*Staje we drzwiach w eleganckim ranném ubraniu, z laseczką w jednej ręce, a cylindrem w drugiej*).

Co się stało? Jadwisiu, zlituj się, co się tu u was stało? koci się! okociło się! pod fotelem... w salo-

nie... Adio! daję nogę i nie zobaczycie mię, jak na objad!...

JADWIGA.

Zdzisiu! dajże pokój z żartami temi... chodź.

WITOLD (*Z klębkiem wydobytym z pod fotela w rękę, z osłupieniem, z za którego przebija się ironja, do Zdzisława, który zbliża się ku siostrze*).

Co dajesz? co dasz? nie dosłyszałem, nogę... czy co? jak to: dasz nogę? komu? na co? za to? żebyś jeszcze rękę dawał, no to połóżmy... ¹⁾ ale jakże to można dać nogę? co?

ZDISŁAW (*Mówi płynnie i prędko, żartobliwie ale z odzieniem wyższości w głosie i postawie*).

Cóż dziwnego, szwagierku? usłyszawszy, wchodząc rozpaczliwe wołanie twe, mniemałem, że miał tu miejsce wypadek... nieestetycznej wcale natury, a że właśnie przed chwilą napawałem wzrok mój cudowną zielenią niw, a powonienie uroczą wonią kwiatów, nie chciałem rozkosznych wrażeń psuć trywialnością gospodarskiej katastrofy i zawołałem: dam nogę! to jest: ucieknę!

WITOLD.

Ach! będę teraz wiedział, że: ucieknę! mówi się w języku panów koroniarzy: dam nogę!

ZDISŁAW (*z żywą gestykulacją*).

Nie inaczej, szwagierku, i jeżeli zechcesz być

¹⁾ Przypuśćmy.

sprawiedliwym, podziwiać będziesz dosadność, co mówię, artystyczną plastyczność wyrażenia tego. Przez jakież bowiem znak zewnętrzny objawia się ucieczka? Przez przyspieszone stąpanie. Co czyni człowiek, który pośpiesznie stąpa? Posuwa on nogi swe prędko, coraz prędziej. Kędyż posuwa je? pośród przestrzeni, w której objęciach szuka ratunku przed nienawistnym lub zatrważającym zjawiskiem. Czémże więc jest w samej istocie swój owa mechaniczna czynność, dokonywana przez ustrój uciekającego człowieka? Najpewniej, nie jest ona czém inném, jak tylko podawaniem, lub też dawaniem nóg jego przestrzeni. *Diwi.*

WITOLD (*na stronie*).

Ależ gada? no gada! to dopiero język gdyby taradajka!... ¹⁾ (*głośno z udaną pokorą*): Słuchałem, podziwiałem i umocniłem się w mniemaniu, że nas biednych, zająkliwych litwinów, Pan Bóg na to musi być ²⁾ stworzył, żeby panowie koroniarze śmiać się z kogo mieli. Śmiecie się sobie, drwijecie, kpijcie, na zdrowie! a my taki ³⁾ co wiemy, to wiemy. Języków nam, tak jak wam, białoskórniczy ⁴⁾ nie wyprawiali, aby mleły mowę człowieczą, niby pytel ziarno, a kiedy przyjdzie do pracy, do czynu, wtedy... oho! kochanieńki, dążajmy się... dążajmy się... ⁵⁾ ile wlezie...

¹⁾ Bryczka terkocząca. ²⁾ Zapewne. ³⁾ Pomimo wszystko. ⁴⁾ Garbarze, ⁵⁾ Probójmy kto silniejszy.

ZDZISŁAW (*z lekkim podrażnieniem*).

Dążajmy się! dążajmy się! co prawda zbyt często panowie litwini mówicie o tém, że przewyższacie nas na polu pracy i czynu, tak często, że mamy już tego dosyć...

WITOLD.

Jeżeli wy możecie wyśmiewać się z mówienia naszego, niechże i nam wolno będzie błędy wasze wytykać. Mamy tego dosyć, jest wyrażeniem wcale nie polskiem, ale galicyzmem, czystym przekładem z francuzkiego: *vous en avez assez*. Litwini też umieją czasem po francuzku tylko, że, mówiąc po polsku, z francuzkiego tłomaczyć zwyczaju nie mają. Myśmy wierni mowie ojców naszych.

ZDZISŁAW.

Znowu przechwałki!

WITOLD.

Wcale nie przechwałki, bo, jak żyję, nie słyszałem, żeby było rzeczą lishnią ¹⁾ mówić prawdę. A prawdą jest, żeśmy od was, panowie koroniarze, pracowitsi, wytrwalsi, poważniejsi, moralniejsi..

ZDZISŁAW (*z ironią*).

Skromniejsi...

WITOLD.

E! kochanieńki, daj pokój, tykoż już ze skromnością, daj pokój, i brakiem jój nam nie przytykaj,

¹⁾ Zbytęcną.

bo wie o tém dobrze świat i korona polska, kędy to najżyźniej urodziła blaga...

ZDZISŁAW (*wesoło*).

Wiem, wiem! w Koronie! wiecznie nam blagę tę w oczy rzucacie, ale mamy już tego dosyć. Muszę ja raz z tém skończyć i wytłumaczyć tobie, szwagierku, w szczególności, a całej twojej Litwie wogóle, czego to właściwie objawem jest ta, tak przez was okrzyczana blaga. Owoż, wiedzieć macie, że istnienie blagi w kraju jakimś, dowodzi współrzednego istnienia w nim cywilizacyi... czémże bowiem jest blaga, jeżeli nie naśladowaniem i udaniem wszystkiego, co świetne, wytworne, wielkie i piękne... słowem cywilizowane. A któż naśladować może to, czego nie widzi, nie słyszy, nie dotyka? gdzie są naśladowcy, tam musi być wzór; gdzie więc istnieje blaga, tam musi istnieć i cywilizacya...

WITOLD (*z osłupieniem*).

Otóż przewróciłeś kota do góry nogami!... No, już ja ciebie, braciszku, winszuję z takim wyobrażeniem o bladej i cywilizacyi.

ZDZISŁAW (*parskając śmiechem*).

Cha, cha, cha, cha! winszuję ci *ciebie*... cha, cha, cha! winszuję ci *ciebie*!... z takim wyobrażeniem! cha, cha, cha! Winszować kogoś z czémś!.. po jakiemu to, szwagierku, bo przecież nie wtrynisz we mnie, że to po polsku.

WITOLD (*zmieszany trochę*).

No, cóż tam wielkiego, Jezus, Panna Marya! chciałem powiedzieć: winszuję tobie: i tak mi się to jakoś w innych przypadkach wypstryknęło... Ale powiedz że mi i ty z łaski swojej, co to znaczy: nie *wtrynisz* we mnie?... jak żyję nie słyszałem...

ZDZISŁAW (*nie zmieszany bynajmniej*).

To jest, szwagierku, *lapsus linguae*, czyli: poślizgnięcie się języka...

WITOLD (*z tryumfem*).

Aha! to i wam także języki ślizgają się czasem, choć jesteście tak cywilizowani, że aż macie blagę... A co się tyczy tej cywilizacyi... to jeżeli mię słuch nie omylił, powiedziałeś, że na Litwie cywilizacyi niema ani ksztyunki... ¹⁾.

ZDZISŁAW.

Jako żywo, nigdy o żadnej krztynce nie mówiłem...

JADWIGA (*rzucając na stół robotę*).

Boże! jaką mi te sprzeczki przykreść sprawiają!

WITOLD.

Powiedziałeś kochanieńki...

JADWIGA (*z prośbą do męża*).

Mój Widziu...

WITOLD (*do Jadwigi*).

Nie przeszkadzaj, kiciu, bo zapomnę, co mia-

¹⁾ Odrobinki.

łem powiedzieć... (*do Zdzisława*): powiedziałaś kochanieńki, powiedziałaś, że litwini ciemni, jak tabaka w rogu, barbarzyńcy... Naturalnie, naturalnie, my ciemni, barbarzyńcy, ani słowa! Powiedz mi tylko z łaski swojej: zkąd to był rodem Mickiewicz? co? słyszysz, braciszku? Adam Mickiewicz! musi być z ucywilizowanej korony był on rodem, co?

ZDZISŁAW.

Wiem, wiem, słyszałem tysiąc razy! Mickiewicz jest konikiem, na którym zawsze jeździcie, ilekroć zamarzy się wam o wyścigach z nami... Prawda, Mickiewicz był litwinem. Posiadacie tę wielką chlubę przeszłości waszej. Ale myśmy postępowi, więcej myślimy o teraźniejszości niż o przeszłości... Wejdźmy na pole teraźniejszości i tu dopiero (*z ironią*) dążajmy się...

WITOLD (*z tłumionym gniewem*).

Powtarzasz pan wyrażenia moje... ale cóż zrobieć... znosić trzeba... a przy tém...

JADWIGA.

Mój Witoldzie...

WITOLD (*do żony*).

Nie przeszkadzaj, duszeczko, bo zapomnę... (*do Zdzisława*): przytém, dowiedzieć się chciałbym, co nam tak ważnego pokazać możecie na tém polu teraźniejszości?

ZDZISŁAW.

W dziedzinie rolnictwa: gospodarstwo płodozmienne...

WITOLD.

Jest i u nas, jest i u nas!...

ZDZISŁAW.

Gdzie?

WITOLD (*zmieszany trochę*).

No, tak... tędy owędy...

ZDZISŁAW.

Aha! rozumiem. W dziedzinie przemysłu: miast fabryczne takie, jak Łódź, Zgierz...

WITOLD.

Niemieckie kochanieńki, niemieckie...

ZDZISŁAW (*na stronie*).

Pal djabli! prawdę mówi! (*głośno i śmiało*): co zaś do umysłowości: zkąd na wiejskie ustronia wasze leje się rosa, deszcz, co mówię, ulewa myśli i wiedzy, w postaci tych oto (*wskazuje na stół z dziennikami*), tych oto wytworów pracy naszej postępu naszego...

WITOLD (*mruklawie*).

Takież tam wytwory.. Jezus, Panna Marya! jak za grosz pistolet!...

ZDZISŁAW (*z umiesieniem*).

Co? co? co? jak za grosz pistolet! Otóż to wdzięczność wasza za to, że oświecamy was i cywilizujemy! Otóż to ocena, którą praca nasza spo-

spotyka od panów litwinów! To już doprawdy przechodzi wszystko! to już dalej nie idzie (*porywa ze stołu zeszyt „Ateneum“ i przyskakuje z nim do Witolda*). Patrz! patrz na szacowne wydawnictwo, czy i ono także, jak za grosz pistolet?

WITOLD (*namyśla się*).

Hm, to prawda. Pismo to porządne, niema co mówić, porządne, seryozne, człowiek się zeń dużo nauczyć może... (*uderzając się dłonią w czoło*) ależ... aha! Kto wydaje te piękne książeczki? powiedz! kto to taki i jak się nazywa?

ZDZISŁAW (*nie dorozumiewając się, o co idzie*).

Któż? Spasowicz. To wiadomo. I cóż ztąd?

WITOLD (*chichocząc z tryumfu*).

A gdzież on urodził się, ten wielki mówca... ten szlachetny obywatel kraju... ten... ten... E! o nim, panie dobrodzieju, skórę wołową można-by zapisać i jeszcze by nie stało... Gdzież on urodził się: musi być na waszém Królestwie! co! Ehe! urodził się on w gubernii Mińskiej, którą geografowie nie *uśpieli* jeszcze w granice waszego Królestwa włączyć... ha, ha! ha!...

ZDZISŁAW (*smutnie*).

Masz racją... masz racją... (*namyślając się*): ależ on sam pisma swego nie redaguje... mieszka gdzieś indziej... redagują je w Warszawie, a sam przyznałeś...

WITOLD (*z powagą*).

Redaktor: Oskierko. Jak żyję nie słyszałem, żeby Oskierkowie byli koroniarze...

ZDZISŁAW (*niecierpliwie*).

Ale czyż to jedno Ateneum jest na świecie... masz oto starożytne, zasłużone, pełne różnych osobliwości, pismo, prenumerujesz je przecie...

WITOLD (*patrząc na pokazywany mu dziennik*).

A! Tygodnik Ilustrowany!... Prawda, że nie litwin... (*z nagłym tryumfem*): Ale żonaty z litwinką! Jak Boga mego kocham, dokumentalnie wiem; że żonaty z litwinką... z Lidzkiego powiatu... czy co?

ZDZISŁAW (*śmieje się z przymusem*).

Słowem, żeby nie było litwinów i żonatych z litwinkami, świat skończył by się dziś albo jutro... (*przerzuca gazety i jedną z nich wysoko podnosi*). Eureka! Aleksander Świętochowski... Pióro świetne jak tęcza, a ostre jak sztylet... Znakomity publicysta, autor Helwii, Niewinnych, nowelli O życie, etc., etc... Ten chyba litwinem już nie jest...

WITOLD (*z wahaniem*).

Powiadają coś o nim... że... kacerz!... (*po namyśle*). Ale taki pięknie pisze, niema co mówić! Jak on, panie mój, w Helwii Cezara tego stremendził ¹⁾, to aż mię aniołowie do nieba brali, albo w Borucie nędzę tych Szlązaków tak opisał, że płakaliśmy

¹⁾ Zgniótł, zdruzgotał.

z Jadzią oboje, jak bobry... Co prawda, to prawda... *(przykładając sobie rękę do czoła)*. Ależ ja słyszałem o jakichś Świętochowskich na Litwie!... jak Boga mego... *(z wybuchem)*: Ot i znałem nawet pannę Świętochowską, gdzieś w Grodzieńskim... Jadziu, prawda, że znałem? Zdaje się nawet, że się w niej podkochałem troszynkę... przed poznaniem się z tobą, Jadziuniu, przed poznaniem... Tak, tak, to litewska familia, ci Świętochowscy... a tylko on jeden... ten tam Aleksander, jakimśś przypadkiem do Korony zakocił się...

JADWIGA.

Czy wiecie, moi drodzy, że tak mię nudzicie temi wiecznemi...

WITOLD *(do żony)*.

Ależ nie przeszkadzaj, lubciu, bo zapomnę... Ot i zapomniałem! A takiego coś ważnego miałem na języku... O! przypomniałem... *(do Zdzisława)*: Kraszewski jest litwinem!

ZDZISŁAW.

Urodził się w Warszawie.

WITOLD.

Co tam, że urodził się! Taki człowiek, jak on, wybornie bez urodzenia się swego obejść się może... Ale rodowe gniazdo jego...

ZDZISŁAW.

No tak, tak! Ale... czyliż nam brak ludzi znakomych na wszystkich polach, abyśmy o jednego

spierać się musieli! Naprzykład, lekarze nasi: Chałubiński, Baranowski, Kosiński...

WITOLD.

I u nas! i u nas! Nieboszczyk Wróblewski, nieboszczyk Habicht, nieboszczyk Zdanowicz...

ZDZISŁAW.

A światłość wiekuista niech im świeci... nasi żyją i prosperują...

WITOLD.

Nasz Cywiński téż żyje...

ZDZISŁAW.

Cieszę się tém. Ale idźmy dalej. Artysci dramatyczni: Królikowski, Żółkowski, Modrzejewska, Derynżanka, Popiel...

WITOLD.

I u nas! i u nas! Był Surewicz, była Palińska...

ZDZISŁAW.

Nasi są i świat wogóle, a prasę w szczególności sobą napełniają...

WITOLD *(z rozpaczliwym giestem)*.

Na miłość Bożką! człowiecze! idźże po rozum do głowy! Jakim że sposobem, gdzie nasi artyści dramatyczni być i świat napełniać sobą mogą? Nie-szlachetnie jest wymawiać komuś niedostatki, pochodzące z niezależnych od niego okoliczności!

ZDZISŁAW *(zmieszany trochę)*.

Prawda... przepraszam... ale przecież malarstwo

nie ulega już chyba okolicznościom niezależnym...
Gdzież są wasi wielcy malarze? u nas Matejko ..

WITOLD.

Galicyanin...

ZDZISŁAW.

Ale nie litwin... Brandt, który na obrazach
swych podpisuje się: Brandt z Warszawy, dla tego
zapewne, aby go sobie w przyszłości Litwa nie
przywłaszczyła.

WITOLD (*z wybuchem*).

Siemiradzki nasz!...

ZDZISŁAW.

Siemiradzki nie jest ani litwinem, ani koronia-
rzem... Jest on rzymianinem; bo do dzieł swych
bierze zawsze siuzety rzymskie...

WITOLD.

Siuzety rzymskie! Dobry to rzymski siuzet,
który najpiękniejszą i najdroższą pracę swą ofiaro-
wał w darze Sukiennicom krakowskim, który głośno
i śmiało mówi wszędzie i wszystkim: kim jest i ja-
ka matka go rodziła... E! daj Boże, aby panowie
koroniarze jak najwięcej takich rzymskich siuzetów
mieli... żeby wszyscy w takie siuzety przemienili
się... Wtedy to dopiero przyznalibyśmy im wyż-
szość nad nami.

ZDZISŁAW.

Bagatelka! chce, abyśmy przemienili się w pięć
milionów Siemiradzkich... żąda cudu, aby szacu-

nek nam swój ofiarować... ale mniejsza oto, myśmy
i bez cudu żadnego koronę kraju...

WITOLD (*z udaną pokorą*).

To prawda... a my już chyba ten tylko, co pod
koroną!

ZDZISŁAW

Więc... niby... głową?

WITOLD (*pokornie*).

Musi być...

JADWIGA (*z niepokojem*).

Zdzisiu! proszę cię: skończ tę sprzeczkę! Zdzi-
siu, mój drogi, ustąp...

ZDZISŁAW (*do siostry*).

Dla ciebie to zrobię! co tam zresztą. Witold
poczeiwy, a tylko uparty i zarozumiały, zwyczaj-
nie jak litwin!

WITOLD (*zrywa się i w patetycznej pozie przed żoną stojąc*).

Otóż i znowu, otóż i znowu wymyśla nam od
upartych i zarozumiałych! Powiedz, Jadziu, po-
wiedz że mu ty, duszeczko, czy ci źle jest na Li-
twie między litwinami? czy żałujesz, żeś za litwi-
na poszła? czy ja jestem tyran, okrutnik, barba-
ryńca...

JADWIGA (*żywo*).

Ależ nie, nie, Witoldzie. Nietylko bratu memu,
ale i całemu światu, w każdej chwili powiedzieć
jestem gotową, że ani przez jedną chwilę nie
pożałowała tego, iż pomimo uprzedzeń rodziny,

a po części i własnych, zdecydowałam się zostać twoją żoną... Litwa jest piękną, malowniczą, uroczą, krainą, a tyś najlepszym z mężów...

WITOLD (*tryumfując do Zdzisława*).

Słyszysz, kochanieńki, co? czy o którymkolwiek koroniarzu z ust kobiecych wyjść może podobne zdanie?

ZDZISŁAW.

O! dla Boga! czemuż-by nie! wychodzą różne i jeszcze lepsze; lecz co się tycze natury litewskiej, w żaden sposób zgodzić się nie mogę na oddawanie jej przez Jadzię pochwały.

WITOLD.

A toż dla czego?

ZDZISŁAW (*patetycznie*).

Znasz ty ten kraj, w którym Karpaty się wznoszą?

WITOLD (*zajękliwie*).

A ten... ten... w którym odwieczne puszcze wiewają...

ZDZISŁAW.

Sam wasz Kraszewski opiewał Wisłę... (*deklu-muje*):

„Wisło moja, Wisło szara, czemu mętne wody twoje?

„Jakże mętne być nie mają, kiedy do nich lży padają.

WITOLD (*idzie w drugą stronę i deklamuje także*).

„Willa naszych strumieni rodzica, dno ma złoci-ste, a niebieskie lica, piękna litwinka...“ (*uderza się dłonią w czoło i staje*) ależ u nas natura, to,

Jezus, Panna Marya, jaka piękna! Białowiezka puszcza... sosny pod niebo... u stóp sosen mech... brusznice i co tam więcéj... aha! zubry! zubry, panie mój, ostatnie w Europie zubry... czy to psy? co?

ZDZISŁAW (*lekko*).

U nas żubrów niéma, ale téż i niedźwiedziów niéma...

WITOLD (*hamując gniew*).

Czy to przytyk do... do tego, że to my litwi-ni... niedźwiedzie?

JADWIGA (*w stronie*).

Boże! oni się naprawdę pokłóca! jak tylko do niedźwiedzi przyjdzie, to już źle... (*wstaje zamy-sła się, po chwili z figlarnym giestem*): Poczekaście! zaraz ja was pogodzę! (*wybiega*).

ZDZISŁAW.

Pocóż bo zaraz wszystko brać do siebie, chy-ba na téj zasadzie, że sztuknąć w stół, nożyce się odezwą...

WITOLD (*ze złośliwém uradowaniem*).

Sztruknąć! sztukać! sztuka! sztuka! Jak pano-wie koroniarze pięknie po polsku mówią, to aż miło... Ale... ale... zapomniałem zapytać się o h. Coście zrobili z naszym h? z naszym ojczystém, piękném naszym ukochaném h? coście uczynili z tą częstką narodowej spuścizny naszéj, z tą

zgłoską, którą ojcowie nasi wymawiali, gdy mówili: honor? Gdzieżecie je pochowali? ¹⁾ Czemuscie ją na potratę ²⁾ oddali? Mówże pan! odpowiesz oczekuję! gdzie jest...

ZDZISŁAW (*w osłupieniu*).

Jakie *ch*? co za *ch*? nie rozumiem.

WITOLD.

Nie rozumiesz! zapewne! powiedz-że: honor.

ZDZISŁAW.

No, chonor, chonor i cóż z tego.

WITOLD,

To, że mówi się po polsku nie chonor, ale honor; nie cherbata, ale herbata; nie chotel, ale hotel; nie chrymnąć, ale hrymnąć... ³⁾ H... h... h... h... słyszysz, kochanieńki, h...

ZDZISŁAW (*z niecierpliwością*).

Ależ mniejsza o to! mniejsza o to! aż mi w uszach od waszego *ch* zachuczało! Prawdę mówiąc, bez tego waszego *ch* wybornie żyć można... ale... bez czego życia nie pojmuję, to... to... zgadnij!

WITOLD.

No i bez czegoż tam? bez mazowieckich piachów...

¹⁾ Schowali, ukryli.

²⁾ Na zatracenie.

³⁾ Upaść, runąć.

ZDZISŁAW.

O nie! bez takich kobiet, jak nasze korniarki...

WITOLD.

O Jezus, Panna Marya, cóż tam takiego wielkiego te wasze kobiety?

ZDZISŁAW.

Pełne gustu i estetyki...

WITOLD.

Strojnisie!

ZDZISŁAW.

Pełne wdzięku...

WITOLD.

Kokietki!

ZDZISŁAW.

Wymowne..

WITOLD.

Wygadane!

ZDZISŁAW.

Ładniutkie...

WITOLD.

Malowane!

ZDZISŁAW.

Zgrabne, żwawe...

WITOLD.

Lafiryndy... fertki...

ZDZISŁAW.

O! za pozwoleniem! z pomiędzy tych to, jak je nazywacie lafirynd i fertek, wyszedł cały szereg kobiet bohaterek, kobiet uczonych i poetek, zaczynając od Wandy, która wołała rzucić się w objęcia śmierci, niżli Niemca.

WITOLD.

Galicjanką była nie koroniarką... z Krakowa rodem...

ZDZISŁAW.

Potem Jadwiga która dla dobra kraju oddała rękę swą barbarzyńcy Jagielle.

WITOLD.

Wielki to był dla niej zaszczyt...

ZDZISŁAW.

Chrzanowska... która...

WITOLD.

E! oklepana historia!

ZDZISŁAW.

A teraz... czy istnieje u was, jak u nas, liczne grono kobiet autorek, redaktorek i instytuterek, — kobiet, które działają na polu publicznych prac i zasług, które...

WITOLD.

Niewiasty nasze cnotliwe są. Doma siedzą i len prądą.

ZDZISŁAW.

A czy w przedzeniu żadne nie zachodzą pauzy?

WITOLD.

Jakie pauzy? co za pauzy? Niema żadnych pauz! Są one skromne...

ZDZISŁAW.

Gęsi...

WITOLD.

Oszczędne...

ZDZISŁAW.

Flądry...

WITOLD.

Gospodarne...

ZDZISŁAW.

Kucharki...

WITOLD.

Dobre matki...

ZDZISŁAW.

Kokosze...

WITOLD.

Wierne żony...

ZDZISŁAW.

Różnie bywa...

WITOLD (*bez tchu prawie*).

Co? co? co? czy dobrze słyszałem? Różnie bywa... znaczy to, że... czasem bywa... E! tego już za wiele! czarne kalumnie wasze dosięgły już cnoty i niewinności matek, żon i sióstr naszych... pa-

skudném podejrzeniem dosięgły aż do naszych ognisk domowych... Tego już za wiele... mówiłeś: gęsi! zcierpiałem...

ZDZISŁAW.

Mówiłeś: fertki, — zniosłem.

WITOLD.

Mówiłeś: flądry, — przebaczyłem.

ZDZISŁAW.

Rzekłeś: lafiryndy, — nie dosłyszałem.

WITOLD.

Kucharki, kokosze, — uśmiechnąłem się tylko szydersko...

ZDZISŁAW.

Malowane... wygadane,—puściłem mimo uszu...

WITOLD.

Ale „różnie bywa“ o! Jezu, Panna Marya, panie dobrodzieju mój, tego „różnie bywa“ ani ścierpieć, ani przebaczyć nie mogę. To: „różnie bywa“ jest pieczęcią, którą pan przypieczętowałeś wszystkie... wszystkie... dzisiejsze blagi i... i... impertynency swoje... których nadal nie życzę sobie we własnym domu... zno... zno... znosić!...

ZDZISŁAW (*wzburzony*).

Znaczyć to ma, że mi pan dom swój wymawiasz... Postępek ten, ze strony pana, jest bardzo dobrze... Gościnność, ta sławna gościnność litewska, o której tyle słyhać za górami, dalej już iść nie może! I owszem... i owszem... rad nawet jestem,

że zajście to skróci pobyt mój w tém pół dzikiem miejscu, w którym nudziło mi się śmiertelnie... (*porzuca laskę i kapelusz*). Za kwadrans już mnie tu nie będzie... choćbym miał pieszo ztąd wyjść... muszę tylko pożegnać siostrę... Pozwolisz pan, że chwilę jeszcze poczekam tu na moję siostrę... (*siada przy stole, ukrywa twarz w dłoniach i mówi do siebie*): Biedna siostra moja! biedna Jadwiga za barbarzyńcę Witolda wydana.

WITOLD (*plecami zwrócony do Zdzisława na stronie*).

Cości niegrzecznie znalazłem się... Jadzia będzie zmartwiona... Ale już taki i święty nie wytrzyma téj koronarskiej impertynentności... Fumy, panie dobrodzieju mój, fumy... blaga... płochosć i do tego—złość... O złość! wygaduje na nas, głumi się ¹⁾ nad nami, a potem jeszcze o kobietach naszych powiada: „różnie bywa!“ Dość już tego! — nadojadło! ²⁾.

JADWIGA (*Wchodzi powoli boczniemi drzwiami, z otwartą książką w ręku i, nie spostrzegając niby obecnych, głośno, z pięknym polskim akcentem i głębokim przejęciem się czyta*):

..... „ty jesteś jak zdrowie,

Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,

Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie

Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie“.

(*Nie podnosząc oczu z nad książki, siada na fotelu; ciszej*

¹⁾ Znęca się. ²⁾ Sprzykrzyło się.

w zamysleniu powtarza): Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił!... (*Zdzisław podnosi twarz i patrzy na siostrę*).

WITOLD (*patrząc w ziemię*).

Kto cię stracił!

JADWIGA (*czyta*).

Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz bramie!

Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
Tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono...

ZDZISŁAW (*z westchnieniem*).

Powrócisz!

WITOLD (*półgłosem*).

Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz
bramie...

JADWIGA (*czyta*).

Tymczasem przenies duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą...

ZDZISŁAW (*zrywając się*).

Jakie to piękne!...

WITOLD (*plecami zawsze do Zdzisława zwrócony*).

Przepyszne...

ZDZISŁAW!

Co za język!...

WITOLD (*jak wprzód*).

Cudowny!...

ZDZISŁAW (*z lekkim uśmiechem*).

Choć kaleczymy go...

WITOLD (*zwracając się profilem do Zdzisława, porывczo*).

To i cóż! Ale w dziełach geniuszów, panie do-
brodzieju mój!...

ZDZISŁAW.

Wznosi się on nad niedołęztwa nas pospolitych
biedaków i duszę nam czaruje...

WITOLD (*z uczuciem*).

Aj, aj! jak czaruje!

JADWIGA (*od niechcenia*).

Bo jest naszym ojczystym i wspólnym. (*czyta
znowu*).

Sród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany,
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tém bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni...

ZDZISŁAW (*do siostry ze smutkiem w głosie*).

Pamiętasz, Jadziu? tak właśnie wyglądał dwo-
rek rodziców naszych... tam... nad Pilicą. Opuści-
liśmy go w dzieciństwie jeszcze, wraz z odjeżdża-

jącym na zawsze ojcem i nigdyśmy już tam więcej nie wrócili...

WITOLD (*do żony*).

Nie to, duszeczko! nie martw się, kiciu! Tak samo chwala Bogu wyglądają dotąd jeszcze Szydyszyski nasze!...

ZDZISŁAW.

Takie dwory wiejskie, to prawdziwa pamiątka, to kartka z historii obyczaju naszego, która dziwnie jakoś do serca przemawia...

WITOLD (*wzdychając*).

Aj, aj! jak przemawia!...

JADWIGA.

Bo jest on obyczajem ojczystym, naszym, wspólnym... (*Witold i Zdziław zwracają się ku sobie twarzami, ale nie patrzą na siebie, Jadwiga przerzuca karty*). Alboż ten ustęp z muzyki Jankiela! (*Czyta*).

Muzyk bieży do prymów, przerywa takt, zmaca, Porusza prymy, bieży z drążkami do basów, Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów, Takt marszu, wojna, atak, szturm, słychać wystrzały, Jęk dzieci, płacze matek... Tak mistrz doskonale Wydał okropność szturm, że wieśniaczki drżały, Przypominając sobie ze łzami boleści.

ZDZISŁAW (*z uniesieniem*).

O, jak potężnie z kilku wierszy tych przemawia przeszłość...

WITOLD (*nieznacznie ocierając łzę z oka*).

Oj ta przeszłość... przeszłość!...

ZDZISŁAW.

Z całą boleścią swoją...

WITOLD.

Aj, aj! i jaką...

JADWIGA.

Wspólną...

(*Witold i Zdziław podnoszą oczy i patrzą chwilę na siebie w milczeniu*).

JADWIGA (*wstając żywo*).

No, uściskajcie się bracia! prędjéj!

WITOLD (*z wahaniem i gderliwie*).

Prędjéj! wszystko jój prędjéj!

ZDZISŁAW (*poważnie*).

Witoldzie! ona ma rację...

WITOLD.

Musi być ma... ale...

ZDZISŁAW (*śmiejąc się*).

Co tam za ale... Ja nie już nie pamiętam i ty zapomnij i przebacz... (*roztwiera szeroko objęcia*) drogi! kochany! „Pokociło się!”

WITOLD (*rozrzucony, ocierając znowu łzę z oka*).

Najdroższy, „Dam nogę!” (*ściskają się i całują serdecznie*).

JADWIGA (*wesoło*).

Brawo! brawo! Takim powinien być raz na zawsze, koniec waszych domowych sporów i rywalizacji...

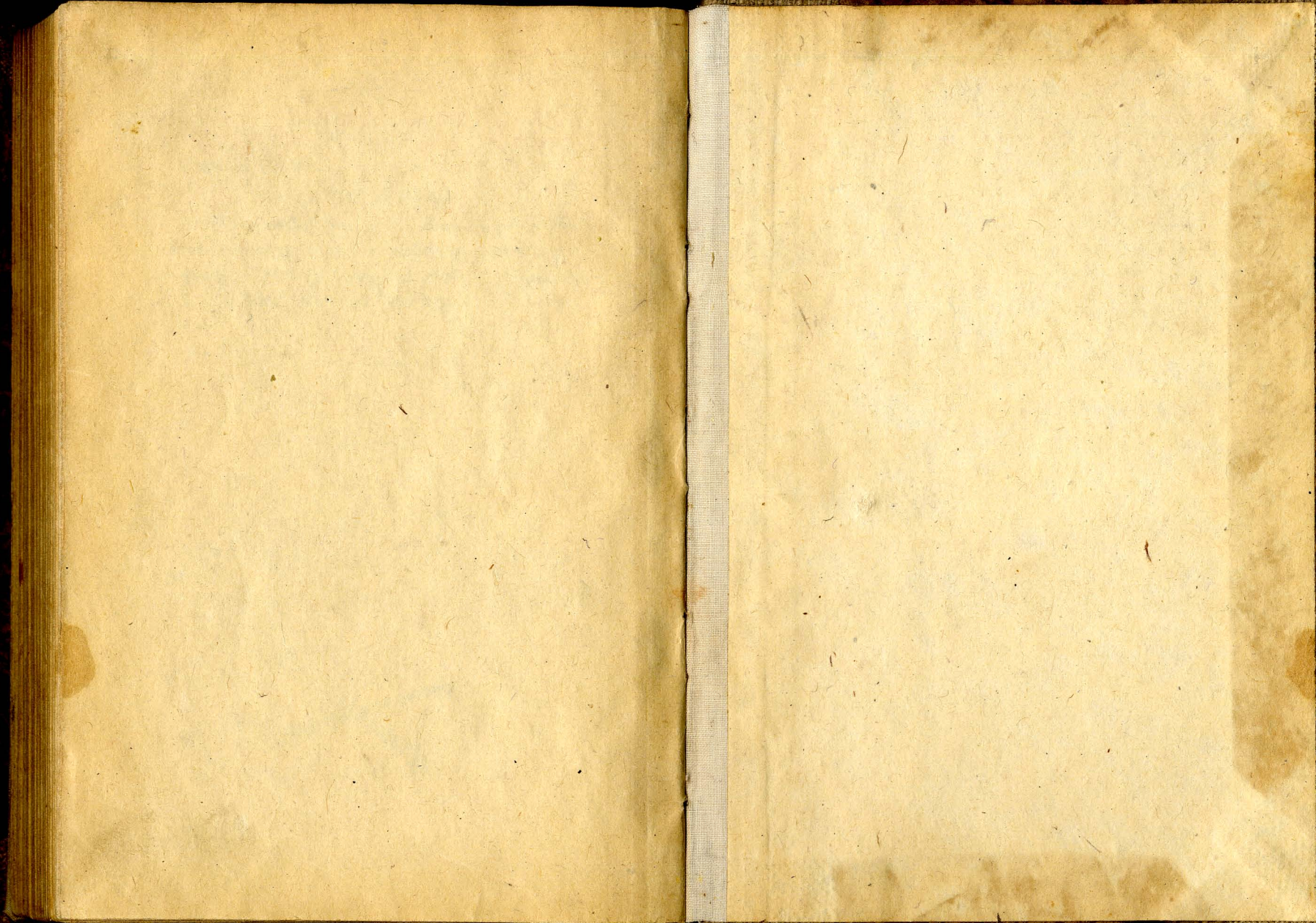
ZDZISŁAW.

Prawda! prawda!

WITOLD (*całując Zdzisława*).

Święta prawda! (*przestaje całować i przez chwilę w milczeniu patrzy w oczy Zdzisławowi, potem z wyrazem prośby i zarazem tryumfu w głosie*): A taki, kochanieńki, Mickiewicz był litwinem!





884-3
Orzeszkowa Drobi.